

SCOTT SIGLER



CZERWIEŃ

KRWI



Spis treści

Tytułowa

Dedykacja

WSTĘP

CZERWONY CZŁOWIEK

WILK

TAJFUN W IOWA

WIELKIE POLOWANIE NA SNIPY

ŚWIĘTE KROWY

NUMER JEDEN Z KULĄ

MT. FITZ ROY

HUNTER HUNTERSON I SYNOWIE

SCOTT SIGLER

CZERWIEN KRWI

Przełożył: Przemysław Ryba



*Dla Paula Witcovera i Joshuy Bilmesa. Dziękuję za wyprawienie
mnie w tę podróż.*

WSTĘP

Znam was.

Lubicie fikcję.

Rozumiecie, co was łączy i nie potrzebujecie recenzenta, żeby mówił wam, co powinno wam się podobać.

Lubicie rozrywkę.

Wiecie, że przekleństwa się zdarzają.

Nie przeszkadza wam, że się trochę... pobrudzicie.

Witam w domu.

Jeśli pierwszy raz buszujecie ze mną na sianie, piszę fantastyczno-naukowy-grozo-thriller. Mam na koncie takie powieści jak: *Infekcja*, *Zakażenie* i *Transplantacja*¹. Wydaję również pełną napięcia serię dla młodzieży o kosmicznej, zawodowej lidze futbolowej, skorumpowanej przez przestępczość zorganizowaną.

Siedem opowiadań z tego zbioru ukazało się jako darmowy audiobook na mojej stronie internetowej: scottsigler.com. Ponieważ ebookowa rewolucja trwa, pomyśleliśmy, że fajnie będzie, jeśli je zbierzemy i wsadzimy w ten słodki elektroniczny format.

Po każdej historii zaserwowałem wam informacje, jak powstawała i czym się inspirowałem. Jeśli chcecie zapytać: „skąd czerpiesz pomysły?”, tam znajdziecie odpowiedź.

Nadal wydaję darmową, czytaną przeze mnie audiofikcję, w każdą niedzielę na scottsigler.com. Czeka tam na was niezliczona grupa fanów.

Kto wie? Może po przeczytaniu tego zbioru sami dołączycie do moich Junkies². Mam nadzieję, że historie wam się spodobają i do zobaczenia.

CZERWONY CZŁOWIEK

Ktoś znowu się na mnie gapi ze stolika w rogu.

Ma już swoje lata, na oko czterdzieści pięć, a może to ciężkie życie sprawiło, że tak wygląda. Tu wielu ludzi nie ma lekko. Nie ma co się dziwić – to restauracja w Hunters Point.

Kobieta ma brązowe, strąkowate włosy i mimo że w pomieszczeniu jest dość ciepło, nadal siedzi opatulona w nędzny, żółty płaszcz. Wnętrze knajpy wypełniają brzdęknięcia, skrobania, siorbnięcia i gwar klasy robotniczej; grupy, do której kiedyś należałem. Kobieta nie zwraca na to uwagi. Tak jakby wyciszyła wszystko oprócz mnie. Jestem celem nienawiści zrodzonej z agresywnego, opiekuńczego strachu o jej dziecko.

Jej mały rudzielec jest nieświadomy tego wzroku. Ma umazaną twarz, mlaszcze, pochłaniając miskę Cocoa Puffs. Kolor włosów musiał odziedziczyć po ojcu. Zastanawiam się, czy suka w ogóle wie, kto jest ojcem chłopaka.

Większość ludzi tylko na mnie zerka albo przygląda się kątem oka. Gdy na nich spojrzę, odwracają wzrok. Ale nie ona. Za chwilę wypatrzy mi dziurę w głowie. Już dwa razy jej odpowiedziałem, raz uśmiechem, drugi raz najbardziej oburzonym grymasem, na jaki mnie stać. Trwał zaledwie kilka sekund, potem się poddałem. Jej nienawistna maska nawet nie drgnęła.

Ona przynajmniej została w jadalni, żeby dokończyć posiłek; druga matka z dzieckiem wstała i wyszła, ledwo zdążyłem usiąść przy barze. Rzuciła dwudziestkę za kawę i bajgla, nawet się nie zatrzymując. To tylko dwa dolary napiwku. Niedużo, ale nie wydaje mi się, żeby kobieta w ogóle przejmowała się uczuciami kelnerki.

W stołówce jest jeszcze kilka osób, mam wrażenie, że część wie, kim jestem. Znają pewnie moją twarz, była we wszystkich wiadomościach nadawanych pięć lat temu. Niektórzy wiedzą, że zostałem niesłusznie skazany, wiedzą, że nie jestem pedofilem. Jednak fakt powoli zanika w społecznej świadomości. Coraz częściej obrzucają mnie spojrzeciami albo zostawiają na wpół zjedzonego bajgla i wyciągają z jadalni swoje pięcioletnie dziecko za umazany serem topionym rękaw.

Przeładam menu. Na ladzie wyświetlają się zdjęcia różnych potraw. Na jej dolnej krawędzi miga reklama Rol-Aids, wyniki sportowe razem z notowaniami giełdy przewijają się wzdłuż górnej. Moi Giganci przegrali dwa mecze z Oakland, tym samym ponosząc porażkę piąty i szósty raz z rzędu. Niektóre rzeczy się nie zmieniają. GenTel skoczyło 2 i 3/8 punktu procentowego. Ciekawe, co by powiedziała gapiąca się kobieta, gdyby wiedziała, że właśnie zarobiłem kolejne sto tysiaków na tym małym wzroście. Nigdy by mi nie uwierzyła, nawet gdybym jej powiedział, ale wątpię, żeby była w nastroju na pogaduchy.

Nikt nie ma ochoty na rozmowę z Czerwonym Człowiekiem.

Na porysowanym szkle lady widzę niewyraźne odbicie. Moja twarz stanowi kontrast dla obrazów jedzenia/wiadomości/sportu mknących poniżej. Wiejski smażony stek wygląda nieźle, mimo że wyświetlacz jest lekko rozogniskowany, brakuje mu też kilku pikseli. Przewijam dalej, skupiając się bardziej na swoim obliczu niż posiłkach.

Przyglądam się pasom na skórze – czerwony kolor wskazuje na to, że jestem przestępcą seksualnym, pierścienie wokół oczu, jak u szopa, dodają, że gwałcicielem, a poszarpane zebze pasy biegnące od jednego policzka do drugiego oraz w poprzek nosa – że pedofilem. Próbuję patrzeć na zestaw hot doga z chili, ale jedyne, na czym mogę się skupić, to moja twarz. W pewnym sensie jestem taki sam jak tamta kobieta – też nie mogę oderwać od siebie wzroku.

Dalej nie potrafię wyjść z podziwu, że w ciągu zaledwie ośmiu lat, odkąd rząd wykorzystał Wirus Znakujący Abigail Duersson do identyfikacji skazanych przestępców, każdy zdążył zapamiętać wszystkie kolory i wzory kodowe w takim stopniu, że tylko małe

dzieci muszą pytać, czym są te dziwne symbole. Ta wiedza wrosła w zbiorową psychikę Amerykanów jak kolory flagi albo poza Statuy Wolności – nikt jakoś nie pamięta, że moje oznaczenia to pomyłka.

Ta suka *dalej* się gapi. To miejsce publiczne. Mam takie samo prawo do jedzenia tutaj, jak każdy inny. Nie mogę już tego znieść, wstaję i wychodzę. Mimo że nie patrzę na kobietę, przez całą drogę do drzwi czuję na sobie jej świdrujący wzrok. Wychodzę na zimny, styczniowy deszcz. Gdy drzwi knajpy powoli się zamykają, słyszę ze środka echo aplauzu, a nawet kilka cichych gwizdów zwycięstwa. Zaciskam mocno oczy, ignoruję dźwięki, dopóki drzwi się nie zatrzasną. Następne co słyszę, to nerwowe trąbienie taksówkarzy, zgrzytające przyspieszanie samochodów powietrznych i ciągły syk hamulców. Gdy zamknę powieki wystarczająco szczelnie i jedynie słucham, mogę niemal udawać, że wszystko jest w porządku, prawie udawać, że ludzie z naprzeciwka nie wlepiają we mnie spojrzeń, tylko idą dalej.

Wewnątrz Elvisa zawsze jest lepiej. Elvis to moja duma i radość: zabytkowy Cadillac Roadster rocznik '19, ostatni naziemny luksusowy samochód. Oczywiście kazałem go dostosować, teraz osiąga sto pięć kilometrów na godzinę na pułapie sześćdziesięciu metrów, jak każdy inny pojazd klasy luksusowej. Ma przyciemniane, prawie czarne szyby; ze środka widzę bez problemu, natomiast z zewnątrz wszyscy dostrzegają jedynie ciemne, mgliste odbicia ich samochodów i swoje własne, normalne twarze.

Fajnie jest mknąć na wysokości sześćdziesięciu metrów. Przyjemnie być nad ciężarówkami, taksówkami i średniej wielkości samochodami tłoczącymi się półtora metra poniżej oraz – broń Boże, żebym nigdy więcej nie musiał tam jeździć – warzeniem małych samochodów klasy ekonomicznej, przepychających się trzydziestu metrów nad ulicą. Tam jest koszmar. Podróż z Sacramento do San Francisco zajmuje prawie czterdzieści minut. Jest o wiele szybciej, gdy stać cię na luksusową licencję – tę samą trasę pokonuję

w dwanaście minut, jeśli tylko unikam szczytu o siedemnastej, który wysypuje wszystkich pracowników technicznych.

Słyszę trąbienie z prawej. Nowy Lincoln Town Car rocznik '42. Kierowca trąbi, macha do mnie, pokazując kciuk w górę. Często tak mam. Ludzie kochają Elvisa. Bardzo rzadko można zobaczyć prawdziwego roadstera w jednym kawałku, a już na pewno nie takiego zdolnego do podróży na wysokości. Ludzie, widząc mój samochód, wiedzą, że kierowca nie tylko jest bogaty, ale też jest równym gościem.

Elvis ma styl. Trąbię i odmachuję. Wiem, że kierowca lincolna mnie nie widzi, jednak miło jest nawiązać z kimś więź, miło zobaczyć uśmiech skierowany w moją stronę.

Dużo czasu spędzam w samochodzie.

Przystosowanie Elvisa kosztowało fortunę. Pieniądze mam. W bród. Postarał się o to mój prawnik po tym, jak uchylono wyrok. Pozew nie opuszczał nagłówek na całym świecie. Użyli Wirusa Znakującego na setkach groźnych przestępców – to żadna nowość. To, że trwale zmienili pigmentację mojej skóry, na zawsze znacząc mnie jako brutalnego przestępcę seksualnego, a okazało się, że jestem niewinny – to już tak. Ława przysięgłych spojrzała na dowody – potem na moją twarz – i sprawa była zamknięta. Zainkasowałem około 400 milionów dolarów odszkodowania. Tak jak powiedziałem, pieniędzy mi nie brakuje.

Nie zrozum mnie źle. To nie jest tak, że mam coś przeciwko programowi naznaczania przestępców. Ludzie mają prawo wiedzieć, czy ich sąsiedzi albo nawet współpracownicy zostali skazani. W szczególności na tle seksualnym. Statystyki pokazują siedemdziesięciopięcioprocentowy współczynnik recydywistów przy poważnych przestępstwach seksualnych. Do cholery, ludzie powinni wiedzieć, kto co zrobił. Powinni mieć prawo do bezpieczeństwa, do ochrony swojej rodziny, samych siebie.

To świetny system. Przypnij gościa do stołu, nanieś odpowiedni wzór znakujący i pokryj odkryty obszar pastą. Pasta jest po prostu

pożywką agarową, która zawiera retrowirus. To proste, nawet nie szczypie. Zajmuje tylko dwie godziny. Przez tydzień nie widać końcowego efektu, za to później jesteś napiętnowany do końca życia.

Wirus wyszukuje chemiczne receptory w komórkach pigmentowych naskórka i dodaje pojedynczą nić RNA. Odwrotna transkryptaza w komórce przekształca RNA w DNA, które staje się częścią genomu komórki. Za każdym razem, gdy komórka się dzieli, nowe DNA znajduje się wewnątrz obu komórek potomnych. Ta nowa część DNA koduje – zgadnij – pigmentację naskórka.

Kolor określa, co skazany zrobił i co prawdopodobnie powtórzy. Czerwony dla przestępców seksualnych, zielony dla złodziei i oszustów, jaskrawy pomarańczowy dla brutalnych przestępstw. Pasy i wzory określają naturę zbrodni.

Mówią, że ludzie mają prawo wiedzieć. Najwyraźniej nie mają prawa wiedzieć, że jestem niewinny.

Gdy komórki twojej skóry przyjmą nowe DNA, jesteś oznaczony. Działa to tak samo na każdej skórze: czarnej, białej, żółtej czy brązowej. Jeśli spróbujesz ją wyciąć, zostaną ci blizny – tego samego koloru jak uszkodzona skóra. Dobrze przeprowadzony przeszczep skóry może usunąć kolor, ale przeszczepy skóry twarzy są bardzo skomplikowane, nawet najlepsze pozostawiają okropne łaciate blizny. A jeśli twój doktor spieprzy to chociaż troszeczkę, skończysz, wyglądając jak monstrum Frankensteina. Również chirurdzy plastyczni nie mają wprawy, ponieważ zmiana skóry poddanej Wirusowi Znakującemu jest nielegalna. Niewielu zaryzykuje licencję i prawdopodobny pobyt w więzieniu – już nie wspominając, że sami mogą skończyć z zielonymi symbolami – aby zdobyć doświadczenie.

Duersson do barwienia użyła genów płazów. Zieleni pochodzi z rzekotki zielonej, pomarańcz z salamandry, a czerwień z drzewołaza. Z DNA płazów łatwo się pracuje, a do tego jest ono bardzo wytrzymałe jako wprowadzone medium. Przynajmniej tak czytałem. Wiele się dowiedziałem o procedurze; wszystkiego, co się dało. Jeśli twoja twarz krzyczałaby *pedofil*, też byś był czytany skurwysnem.

Coraz częściej myślę o przeszczepie skóry, ale chciałbym wyjść z tego z moją starą twarzą *oraz* moją starą skórą, a nie z zestawem blizn, jakby napęd nadprzewodzący Elvisa nawalił, a ja spadłbym z wysokości sześćdziesięciu metrów i wyleciał przez przednią szybę. Liczę na to, że ktoś wymyśli lekarstwo na zmianę pigmentacji, ale niestety na tym froncie sprawy nie wyglądają różowo. Jak na razie jestem jedyną osobą, która ma prawo do usunięcia oznaczeń – jeden człowiek nie jest wart drogiego programu R&D.

Wydałem znaczną część mojej fortuny, próbując usunąć te pasy. Pomyślicie, że powinni wykonać podobny proces, stworzyć wirus, który odetnie część kodującą kolor czerwony i wstawi normalny odcień. Problem w tym, że Duersson wzmocniła jakoś wstawiony fragment kodu genetycznego – jak na razie nikomu nie udało się wymontować zmodyfikowanej części DNA.

Chcę się tego pozbyć, ale nie zamierzam eksperymentować na mojej twarzy. Widziałem programy pokazujące bogatych eks-skazańców, którzy próbowali niesprawdzonych metod. Skończyli, wyglądając jak ofiary trądu sprzed setek lat. Wolę już być Czerwonym Człowiekiem, niż mieć twarz pełną otwartych, ropiejących, gnijących wrzodów. Wydaje mi się, że Duersson nie życzyła sobie, aby ktokolwiek uciekł od hańbiących oznaczeń, ich wszechobecnego ostrzeżenia dla społeczeństwa.

Jedyną osobą, która mogłaby wymyślić lekarstwo, jest sama poczciwa pani doktor, ale ona milczy. Nie żyje. Zabiła się niedługo po tym, jak Wirus Znakujący został wprowadzony do standardowej procedury kodeksu karnego. Powinniście widzieć, jak wściekła się Amerykańska Organizacja Praw Człowieka, gdy Sąd Najwyższy uznał proces za zgodny z konstytucją.

Widzisz, doktor Duersson straciła swoje jedyne dziecko, siedmioletnią dziewczynkę, przez zwolnionego warunkowo przestępcę seksualnego. Wyobraź sobie, że mieszkał na tej samej ulicy. Nikt nie znał jego kartoteki. Wszystko wyszło na jaw dopiero po gwałcie i morderstwie siedmioletniej Cassie. Duersson udało się w pewnym sensie zemścić, zagwarantować, że już żadna rodzina nie padnie ofiarą takiego samego błędu. Nie można już przeoczyć eks-skazańca, to jest pewne. Podejrzewam, że po tym, jak Duersson

dopracowała Wirus Znakujący oraz zobaczyła jego wdrożenie, nie miała już po co żyć. Czasem naprawdę pojmuję rozumowanie, które pchnęło ją do ostatecznego, tak kreatywnego wykorzystania skalpela. Ostatnio rozumiem ją coraz bardziej.

Coraz bardziej.

Jestem głodny. Naprawdę potrzebuję dobrego burgera, trochę tłustych frytek i kubka kawy. Chcę usiąść, obejrzeć na ladzie najnowsze informacje o Warriorsach. Chcę posłuchać, jak ludzie zastanawiają się, czy w tym stuleciu Ninersom uda się wygrać mistrzostwa NFL. Chcę się zatopić w stłumionych rozmowach i rytmicznym dzwonieniu tanich sztuców uderzających o talerze. Chcę być normalny. Ale, mimo że tak bardzo tego chcę, nie mam siły na kolejne wpatrywanie.

Wygląda na to, że wrócę do domu.

Znowu zamówię coś z Domino.

Uwagi autora do *Czerwonego człowieka*

Chciałbym wam powiedzieć, że *Czerwony człowiek* to socjopolityczny komentarz do naszej kultury, w której nie potrafimy przebaczyć przestępcom, połączony z potrzebą ochrony naszych dzieci przed ludźmi biologicznie uwarunkowanymi to bycia pedofilami... ale wtedy zabrzmiałbym pretensjonalnie. To może zamiast tego pójdziemy na piwo i powiem coś w stylu: „Stary, zostać skazanym za przestępstwo, którego się nie popełniło, a do tego nie móc uciec przed piętnem, musi być parszywie, nie?”

Czekajcie, „piętno” to też wyszukane słowo. A, pieprzyć to.

W 1997 roku postanowiłem pisać i kończyć jedną historię tygodniowo, żeby przyzwycząić się do formy i nauczyć dyscypliny regularnego pisania. Wytrzymałem piętnaście albo szesnaście tygodni, nie pamiętam. *Czerwony człowiek* był pierwszym opowiadaniem napisanym w ten sposób i pozostał moim ulubionym.

Gdy ta historia powstawała, trwała zażarta dyskusja o rejestracji przestępców seksualnych. Czy nie mamy prawa wiedzieć, czy w okolicy przebywa drapieżnik? Może mieszka w pobliżu szkoły? No tak. Ale jednocześnie, jeśli ktoś został skazany przez przysięgłych i odsiedział wyznaczoną karę, to czy nie ma on prawa żyć swoim życiem? Dostać szansę na ponowne stanie się wartościowym członkiem społeczeństwa? No... Również tak.

Te dwa toki rozumowania nie pasują do siebie jak czekolada i masło orzechowe. Są ze sobą sprzeczne. Rejestr przestępców seksualnych to próba zagwarantowania, że przeszłość żadnego mężczyzny (lub kobiety) nie zostanie zapomniana, aby ułatwić trwałe oznaczenie, pozwalające wszystkim dowiedzieć się o ich wstrętnych czynach. Czułem wtedy, i nadal czuję, że jest to jedna z sytuacji, w której obie strony mają rację. Nie ma prostej odpowiedzi.

Opracowanie systemu oznaczeń było jedynie rozszerzeniem rejestru, sposobem, aby złożona sytuacja stała się bardziej osobista. Jest to również jedno z niewielu moich opowiadań, w którym nikt nie zostaje postrzelony, wysadzony w powietrze, przemieniony

w coś niemiłego i nikomu nie zostaje zjedzona pieprzona twarz, więc zawsze to jakaś odmiana.

A to miłe.

Tak na marginesie, *Czerwony człowiek* został odrzucony osiem razy. Od 1997 do 2002 wysłałem go do „The Magazine of Fantasy & Science Fiction”, „Talebones”, Tales From the Internet, „Aboriginal Science Fiction”, Altair Publishing, Terra Incognita, Deep Outside SFFH: Science Fiction, Fantasy & Horror, a na końcu do MOTA.

Zrobiłem z niego podcast w 2008. Wygrał nagrodę Parsec Award za najlepsze opowiadanie.

WILK

W czasach przed człowiekiem Ameryką rządziło jedno zwierzę. Wilk. Stada przemierzały kontynent, polując, zabijając i rozmnażając się. Były dominującym gatunkiem: cała wataha mogła pokonać każdego drapieżnika, nawet wielkiego niedźwiedzia grizzly. Zanim jednak wilki poznały śmierć chodzącą na dwóch nogach, pojawiło się zupełnie inne zagrożenie...

Czarnonosy skradał się wśród drzew. Cicha szara sylwetka niknęła w krętych zaspach i grubych zaroślach. Czasem pokryta śniegiem roślinność rosła tak gęsto, że musiał się przez nią przedzierać, strącając z pnączy czy gałęzi niewielkie bryły mokrej bieli. Nie widział żadnych obcych śladów, nie czuł obcych wilków.

Jednak coś zwęszył.

Woń była zła. Bardzo zła.

Pysk Czarnonosego wykrzywił się w mimowolnym grymasie. Ten smród nie przypominał niczego. Wilk znał swąd palonego drewna – już raz widział pomarańczowego potwora podczas ulewy, gdy błysk światła przemienił wysokie drzewo w drzazgi. Znał aromat żywicy z połamanymi gałęzi. Znał również ciężki zapach zruszonej ziemi, taki jak po obsunięciu skał albo powodzi.

Natomiast tych nowych nie znał. Nowych martwych zapachów. Nowego żywego zapachu.

Nowego, żywego zapachu na terenie *jego* sfory.

Czarnonosy podążał przez śnieg sięgający mu niemal podbrzusza. Na otwartej przestrzeni był on zdecydowanie głębszy, tak głęboki, że tylko głowa wilka wystawała ponad niekończące się połacie bieli. Tam musiał skakać, by przemieszczać się do przodu. Tutaj,

w lesie, pośród runa poruszał się jedynie z dźwiękiem słabego szeptu wiatru.

Nowy, żywy zapach na terenie *jego* stada.

Zbliżał się do niego.

Wiedział, że powinien zawrócić, pobiec po resztę, sprowadzić Półpyska. On pewnie by tego chciał. Ale Czarnonosy nie słuchał już Półpyska, nie tak jak kiedyś. Czuł ostatnio popęd. Pragnienia. Gniew. Wściekłość na przywódcę.

Zatrzymał się, aby polizać małą ranę na lewej przedniej łapie. To Półpysk mu to zrobił, gdy Czarnonosy nie ustąpił. Wcześniej zawsze się wycofywał, instynktownie warczał, chowając się przed siłą starszego wilka, jego okrucieństwem. To nie była pierwsza rana po ich starciu. I na pewno nie będzie ostatnia, Czarnonosy po prostu nie mógł się już powstrzymać. Walczyli wiele razy. Półpysk zawsze wygrywał, a Czarnonosy kończył na plecach, z podkulonym ogonem pomiędzy łapami, odsłoniętym gardłem, pokonany. Półpysk zawsze wygrywał.

Jednak tym razem Czarnonosy nie był jedynym poranionym. Odepchnął Półpyska, napierając silnymi łapami i wielkim, umięśnionym tułowiem sześciomiesięcznego szarego wilka. Pogryzł go, nadrywając ucho zwierzęcia. Posmakował jego krwi. Półpysk poruszał się szybko, tak szybko, że ugryzł Czarnonosego w łapę, przewracając młodszego wilka na grzbiet i zaciskając szczęki na gardle. To był koniec, tak po prostu.

Następnie Półpysk wypędził go ze stada. Kapitulacja nie wystarczyła, nie tym razem, nie po tym, jak przez niego Półpysk krwawił. Czarnonosy uciekł z podkulonym ogonem, czując zęby na swoim boku. Wiedział, że wciąż może wrócić... przynajmniej tym razem mógł. Pewnego dnia, niedługo, albo przepędzi Półpyska i przejmie władzę, albo sam zostanie wygnany – na zawsze. Czarnonosy czuł nowe, wzbierające emocje. Nienawiść. Gniew. Potrzebę *ataku*, potrzebę *rządzenia*.

Nowy, żywy zapach na terenie *jego* stada.

Nie potrzebował pomocy Półpyska. Sam przepędzi albo zabije na miejscu i pożywi się ciałem intruza.

Woń się nasiliła. Nadchodziła zza wzgórza. Warknął, pochylając łeb. Zanim zdążył się wspiąć, rzecz, która wydzielala nieznaną fetor, dotarła na szczyt pagórka.

Czarnonosy poczuł uderzenie lodowatego strachu. Wykrzywił bestialsko pysk, podkulił ogon głęboko między łapami, a uszy położył po sobie. Nigdy nie widział niczego takiego jak ta *rzecz*.

Nie wyglądała jak jeleń, ani niedźwiedź, ani puma, ani ptak, ani szop, ani *cokolwiek* co do tej pory widział. Nie była tak duża jak grizzly, co nie zmieniało faktu, że była znacznie większa od Czarnonosego.

Stała na dziwnych tylnych łapach, wrzeszcząc wyzywająco. To nie ryk, nie wycie, coś innego. Coś jak zawodzenie pumy albo wiele sów skrzeczących razem.

Stała na szczycie pagórka, sylwetka na tle nocnego nieba. Gdy opadła na cztery kończyny, dziwne łapy rozerwały ziemię, wyrrywając ogromne kawałki pokrytej śniegiem gleby. Ziemia drżała przy każdym kroku, przy każdym ryknięciu.

Rzecz chciała go przegonić.

Ale Czarnonosy już nie uciekał. Wściekłość gotowała się w nim, rozpalona po walce z Półpyskiem, podsycana przez wyzwanie dziwnego stworzenia. Ten teren należał do Czarnonosego i *jego* stada – nikogo innego. Poczuł niskie warknięcie wzbierające się w gardle. Jego ciało zadrżało ze złości. *Gniewu*. Potrzeby dominacji. Wydobył z siebie ochrypłe, prowokujące szczeknięcie, a następnie zaszarżował w górę wzniesienia, z obnażonymi kłami, wytrzeszczając wyzywająco żółte ślepie.

Rzecz skierowała się w dół, aby stawić mu czoło.

Niewyraźny nowy żywy zapach unosił się w lekkim porannym wietrze.

Wraz z nowym martwym zapachem.

Była jeszcze jedna woń, silna, zarówno nowa jak i znajoma.

Znana, bo należała do Czarnonosego.

Nowa, bo był to Czarnonosy cuchnący śmiercią.

Wataha pocłapała na szczyt wzgórza; spojrzeli w dół, wewnątrz zagłębienia.

Leżał tam wilk, a raczej to, co z niego zostało.

Czerwień krwi znaczyła biały śnieg. Rozbryzgana, jakby umazane nią króliki, biegając w panice, zostawiły czerwone, jaskrawe ślady. Nad truchłem unosiły się kruki, szarpały je czarno-czarnymi dziobami i odlatywały z wilgotnym srebrem zwisającego mięsa.

Cykady grały swoją pieśń wśród drzew. Walka się skończyła, Czarnonosy nie żył, a las miał to gdzieś.

Półpysk węszył w powietrzu, badając okolicę. Ślady krwi były nawet na niektórych drzewach, sięgały wysokości dwóch stojących wilków. Wnętrznosci Czarnonosego rozwleczono na boku leja, jakby wbiegł do środka, ciągnąc je za sobą. Z lewej tylnej łapy zwierzęcia nie zostało nic prócz zmiażdżonego krwawego ochłapu.

Pięć dorosłych samców, trzy dorosłe samice oraz czworo młodych, które przeżyły pierwszą zimę, patrzyło na okaleczone szczątki członka stada.

Nieząb zaskomlała. Pochyliła łeb, utkwivszy wzrok w ciele syna. Półpysk przyjrzał się towarzyszcze. Zawsze była silnie związana ze swoim miotem, nawet gdy młode wyrosły wystarczająco, aby walczyć o dominację. Prawdopodobnie nie widziała tego, co on – silnego, zdrowego samca rozerwanego na kawałki. Wiedział, że dostrzeżga jedynie szczeniaka, którym się opiekowała, którego udało się utrzymać przy życiu, gdy pięcioro z ośmiu maluchów nie przeżyło pierwszych śniegów. Teraz zostało tylko dwóch, dwa samce – Gryzący Stopę i Smarkacz, którzy również stali tu, patrząc na szczątki. Półpysk mimowolnie zastanawiał się, czy któryś z nich niedługo nie spróbuje sięgnąć po władzę w stadzie. Ale nie obawiał się, nie byli nawet w połowie tak waleczni jak ich brat.

Co zabiło Czarnonosego?

Sfora nie bała się niczego, ale samotny wilk?

To już inna historia. Samotny wilk musiał obawiać się pumy. Pумы zwykle uciekały, ale czasem puma stawała się głodna. Wystarczająco, aby zaatakować. Tylko że ona zaciągnęłaby swoją zdobycz w las, a cokolwiek rozerwało Czarnonosego, nic nie zjadło.

Zabiło go dla samego zabicia.

Półpysk zbiegł samotnie ze wzgórza. Stado pozostało w tyle.

Spłoszone kruki zakrakały zirytowane.

Lekki wiatr przemykał wśród drzew, wzburzając futro, unosząc w powietrze biały, tańczący puch znad gładkiej powierzchni śniegu. Wiało zza następnego wzniesienia, wraz z bryzą niósł się nowy żywy zapach. *Zły* zapach. Półpysk poczuł, że podkula ogon, a uszy lekko kładzie po sobie. Usłyszał zawodzenie sfory – jego strach pchnął resztę ku granicy paniki. Wilk przystanął, zmusił się do wyprostowania ogona, do postawienia uszu. Gryzący Stopę i Smarkacz byli już dorośli – nie mógł sobie pozwolić na okazanie słabości. Nie byli wystarczająco silni, aby go pokonać, mogli jedynie liczyć na szczęśliwe ugryzienie. W końcu on w ten sposób przejął władzę cztery zimy temu, kiedy zatopił zęby w gorącej krwi Długiego Ogonu.

Półpysk dotarł do Czarnonosego. Krew jego syna zdawała się być *wszędzie*. Nawet po śmierci woń *strachu*, albo *paniki*, przywarła do zwłok. Razem z niewyraźnym śladem *wyzwania*. Żołądek Czarnonosego był rozerwany. Połamane żebra wystawały jak suche gałęzie. Wyrwano jedno oko razem z większością futra po jednej stronie głowy. Ślady prowadziły do połowy wzgórza, gdzie spotykały się z tropem czegoś innego.

Tropem, którego Półpysk dotąd nie widział.

Czarnonosy próbował uciekać, lecz na trzech łapach było to trudne. Brakująca noga, jak zauważył Półpysk, leżała kawałek dalej. Od ciała do kończyny prowadziła wyraźna ścieżka krwi. Jego syn walczył, przegrał, następnie uciekł – cokolwiek to było, dogoniło go, a potem rozerwało na strzępy.

Półpysk zaczął warczeć.

Popatrzył na pagórek wzdłuż śladów walki Czarnonosego z nieznanym przeciwnikiem. Wiatr zawiał w pysk wilka, a razem z nim dotarły do niego nowe zapachy.

Wśród nich ta sama woń, która pokrywała ciało Czarnonosego.

Zabójca jego syna był niedaleko.

Półpysk podniósł łeb i zawył donośnie. To było zawodzenie bólu po stracie jednego z nich. To był również okrzyk bitewny.

Za nim Nieząb wydała z siebie swój własny lament, bardziej bólu niż gniewu. Gryzący Stopę ze Smarkaczem zawyli pełni wściekłości. Przyczajka i Stary Biały, pozostałe dwa samce, również się odezwały – Stary Biały wył zmęczony, lecz rozjuszony, Przyczajka zły tylko na pokaz.

Samice, Skoczka i Brudnonosa, dołączyły. Półpysk często się zastanawiał, czy one nie opuszczą stada, odejdą, aby założyć swoje własne. Już nie musiał się o to martwić.

Do zawodzenia watahy dołączył kolejny dźwięk – brzmiał jak ranna puma albo wiele sów skrzeczących jednocześnie.

Dźwięk dobiegał zza wzgórza.

Półpysk przestał wyć. Pozostali wzięli z niego przykład. Spojrzał na stado, szcęknął krótko, następnie ruszył na szczyt, podążając za śladami łap i krwi. Wataha dogoniła go – jedynie Brudnonosa została w tyle, żeby pilnować szceniąt.

Wyglądało tak dziwnie, jak śmierdziało.

Nieząb zaskomlała ze strachu. Przyczajka człapał nerwowo to w przód, to w tył, z uszami położonymi płasko i podwiniętym ogonem. Pysk Smarkacza skrzywił się na chwilę, a potem wilk wydał z siebie potężne kichnięcia. Oblizał się raz, stanął wyprostowany, sztywny tak jak jego brat, Gryzący Stopę, oraz jego dziadek, Stary Biały. Skoczka tylko warczała nisko, nienawistnie.

Półpysk trzymał swój ogon prosto, ale musiał się mocno na tym skupić.

Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widział.

Spalone, połamane i rozbite drzewa leżały wzdłuż długiej ścieżki, szerokiej jak rzeka. Tam gdzie kiedyś rosły, rozpościerała się wielka, głęboka szrama ziemi, skał i szerniałego drewna. W słońcu coś migotało, błyszczące jak kawałki lodu, tylko szare jak futro wilka. Ogromny odłamek, wielki jak klif, wystawał z gruntu, a przed nim piętrzyło się wypchnięte nowe wzniesienie gleby, śniegu, skał i drzew.

Wilk nie widział żadnego ognia, jedynie czuł unoszący się w powietrzu ciężki fetor palonego drewna. Przypominał mu ten potworny pożar, którego doświadczył pierwszego lata, gdy pomarańczowy potwór naznaczył jego futro, a zwierzęta uciekały niesione falami paniki. Swąd spalenizny niósł strach, ale woń była słaba, stara. Pomarańczowy potwór raczej nie nadchodził.

Za to pojawił się nowy.

Zobaczył ich. Zaskrzeczał wyzywająco.

Miał łysą skórę koloru modrosójki błękitnej i był *ogromny*, prawie jak niedźwiedź. Czarnonosy musiał być szalony, żeby zaatakować coś tak dużego. Na łbie znajdowało się czworo czarnych oczu, ale brakowało pyska. Głowa poruszała się na długiej szyi, jak u węża, grubej jak kłoda. Na niej znajdował się dziwny, poruszający się prążek, jak pierścienie, które się rozchodzą, gdy stanie się na nieruchomą wodę. Ten prążek, ta obręcz, wisiała swobodnie, jakby stworzenie przełożyło przez nią głowę, a potem już nigdy nie mogło jej zdjąć. Coś na obręczy rzucało rozmyte refleksy słońca, wydawało również ciche odgłosy przypominające dzwonienie sopli spadających z drzew na wiosnę.

Stworzenie ryknęło. Półpysk zobaczył w końcu paszczę pełną krótkich, zakrzywionych, czarnych zębów – tkwiła niżej w tułowiu, pomiędzy dwiema długimi przednimi łapami.

Mocne tylne kończyny, tak duże jak u niedźwiedzia, utrzymywały obłe ciało. Stało na tylnych łapach. Zrobiło dwa kroki w kierunku watahy.

Przyczajka zaczął się cofać z podwiniętym ogonem. Półpysk podbiegł do niego, atakując głowę. Przyczajka upadł na grzbiet, z łapami w górze i podwiniętym ogonem, lecz to nie zatrzymało napastnika. Ugryzł wilka w podbrzusze. Przyczajka zaskomlał i kłapnął zębami. Półpysk z łatwością uniknął nieudolnej obrony i zaatakował ponownie, tym razem gryząc w ucho. Przyczajka zerwał się i z opuszczonym łbem, znacząc moczem swoją trasę, pobiegł schować się za pozostałe wilki.

W porządku, mógł się chować za innymi, tak długo jak *był* z nimi. Ta rzecz znajdowała się na terenie stada. Musiała umrzeć.

Półpysk wiedział, że będzie potrzebował każdego członka watahy, żeby to zabić.

Sfora stała na szczycie wzniesienia; wyła. Wilki warczały. Szczekały. Futro na ich grzbietach jeżyło się gęstymi pasmami. Napuszały tułowiu, zruszały ziemię łapami. Zbiegły do połowy, następnie wróciły.

Wszystkie te znaki ostrzegawcze miały przekazać niebieskiej rzeczy, aby opuściła ich terytorium.

Ale ona się nie ruszyła.

Stała przez klifem z szarego lodu. Nie odejdzie. Zaryczała na nich, grzebiąc łapami, wykopując kawałki gleby, sygnalizując swoje własne wyzwanie. Chciała ich przestraszyć, przegonić.

Nie miała szans, oni nie odejdą.

To był *ich* teren. Nie pozwolą na to.

Półpysk przestał warczeć. Pozostali również. Chciał, żeby ta rzecz odeszła po dobroci, a tak się nie stało. Dał jej szansę. Nadeszła kolej na siłę, na bestialstwo.

Wataha pognała ze wzgórza. Siedem silnych sylwetek wzburzało śnieg. Głowy nisko, uszy położone, oczy utkwione w celu. Pędzili do przodu. Półpysk prowadził ich w stronę wroga.

Rzecz biegła im na spotkanie. Ziemia drżała z każdym jej krokiem, jakby przewracał się ranny łoś. Z czarnych zębów w tułowiu spływała żółta ślina. Wężowa szyja utrzymywała głowę w tyle.

Robili to setki razy, pokonując jelenie, łosie, otaczając pумы, nawet odganiając dorosłego niedźwiedzia. Półpysk poślizgiem zatrzymał się przed stworzeniem, szczekał zajadle w czasie, gdy pozostali cicho zamykali pierścień wokół. Rzecz nagle stanęła na tylnych kończynach, przednimi łapami próbując wciągnąć Półpyska do zębatej paszczy. Wilk uskoczył, lecz pazurzasta niebieska łapa

zdążyła zaorać długą szramę wzdłuż jego barku. Przeleciał w powietrzu, upadając niezdarnie, brunatna krew zbrukała biały śnieg.

Stary Biały natychmiast zajął miejsce na przedzie, szczekając, kłapiąc szczękami starał się zająć uwagę rzeczy. Zaatakowała ponownie – podstarzały wilk nie był tak szybki jak Półpysk. Dwa niebieskie szpony pochwyciły go brutalnie, ciągnąc w kierunku czarnych siekających zębów.

Ugryzienie było mocne. Jeden potworny skowyt, potem cisza.

Skoczka wybiła się w powietrze, jej lśniące, białe kły głęboko zatopiły się w długiej szyi rzeczy. Wykonywała ten manewr częściej, niż była w stanie pamiętać, używała swojego ciężaru, aby przewrócić jelenia, aby pozostali mogli się zbliżyć i zadać śmiertelne ugryzienie. Już w czasie jej skoku Gryzący Stopę razem ze Smarkaczem atakowali tylne łapy intruza, wilgotne zęby cięły w tańcu śmierci.

Rzecz zaryczała w panice. Ruch Skoczki działał tak niezawodnie, ponieważ jelenie nie mógł jej sięgnąć ani złapać. Ale to nie był jelenie. Łapy potwora błyskawicznie ją pochwyciły, odrywając od swojej szyi, jej zaciśnięta szczęka wyrwała ogromny, broczący zieloną krwią kawałek ciała. Jedna niebieska łapa trzymała Skoczke za barki, a druga owinęła się wokół, chwytając pod szczęką.

Oderwana głowa wilczyca poszybowała w powietrzu.

Przeciwnik niespodziewanie się obrócił, próbując odgonić Gryzącego Stopę i Smarkacza – umykali błyskawicznie w swoich młodych, szybkich ciałach. Sięgnął po Gryzącego Stopę, który z łatwością uskoczył, warcząc wyzywająco.

Nieżąb i Przyczajka ponowili atak na poranione tylne kończyny stworzenia. Znowu się obróciło, tym razem szybciej. Przyczajka zdążył jedynie kłapnąć zębami. Jak zawsze był gotowy do ucieczki – z łatwością uniknął pokrytych krwią niebieskich szponów.

Nieżąb została, by spróbować szczęścia jeszcze raz, jej szczęki oderwały kawałek ciała, nie była jednak wystarczająco szybka. Gdy próbowała odbiec, dosięgły ją pazurzaste łapy.

Silne szczęki Półpyska zacisnęły się na jednej z łap potwora. Zęby zatopiły się w grubej, niebieskiej skórze, łupiąc kości, które

wydawały się sztywne i jednocześnie giętkie. Rzec próbowała się wyrwać. Półpysk ciągnął ze wszystkich sił, szarpiąc łbem to w jedną, to w drugą stronę, aby zwiększyć obrażenia. Zielona krew obryzgała mu głowę i tułów. Wolna łapa stworzenia cofnęła się, aby zadać cios, ale Gryzący Stopę ze Smarkaczem zatopili w niej swoje kły, zanim zdążyła uderzyć.

Bestia bezskutecznie próbowała się wyrwać. Dorosły wilk waży ponad dziewięćdziesiąt kilo – przy całej swojej wielkości i morderczej szybkości, rzecz nie miała siły się uwolnić.

Nieżąb rzuciła się, wściekle gryząc brzuch stworzenia. Przyczajka dołączył do ataku. Półpysk razem z synami mocno trzymali bestię. Rzec ryczała w wysokich tonach bólu, gdy Nieżąb i Przyczajka zagłębiali się w jej brzuchu, wyrywając kawałek po kawałku. Zielona krew wylewała się, plamiąc śnieg.

Stworzenie zamarło, następnie ciężko upadło na jedną stronę.

Półpysk zwolnił uścisk na ubabranej zieleni niebieskiej łapie, prychnął, a następnie podbiegł do czworooocznej głowy. Zaatakował, zaciskając na niej swoją potężną szczękę. Szarpał głową w tę i z powrotem, aż poczuł, że coś zmiażdżył, że coś w środku ustąpiło.

Rzec leżała bez ruchu.

Półpysk dalej ciągnął i niszczył. Gryzący Stopę warknął, ugryzł długą szyję – dwa wilki ciągnęły i targały, szarpiąc w przeciwne strony, zapierając się do tyłu całym swoim ciężarem.

Głowa oderwała się; jeszcze więcej śmierdzącej, zielonej krwi obryzgało futro Półpyska.

Odrzucił zdobycz. Smakowała okropnie.

Zawył, długo i gniewnie, wyzywająco. To było *ich* terytorium.

Ci, którzy przeżyli, dołączyli do niego. Ocalali powąchalili Starego Białego. Umarł szlachetną śmiercią, walcząc dla watahy. Tak samo Skoczka. Nieżąb podeszła do Półpyska, zaczęła lizać jego rany na barku, chropowaty język ścierał zarówno czerwoną, jak i zieloną krew. Półpysk czuł się słaby. A potem zobaczył Gryzącego Stopę patrzącego na niego, z głową nisko, uszami położonymi.

Czy Gryzący Stopę zamierzał go wyzwać? Osłabiony bitwą Półpysk nie wiedział, czy da radę się obronić przed silnym synem. Nadal jednak znał kilka sztuczek, więc nie zamierzał oddać władzy.

Gryzący Stopę patrzył przed siebie; głowa nisko, ciało emanujące agresją.

Hałas przestraszył ich wszystkich. Dźwięk dochodził z bryły szarego lodu. Wilki się rozbiegły, a gdy zwolniły i zatrzymały się, spojrzały za siebie.

Półpysk ruszył do przodu; głowa pochylona, uszy z tyłu. Gryzący Stopę z Przyczajką podążyli za nim. Szli w kierunku krystalicznego klifu.

Były tam pęknięcia.

Z jednego z nich wydobywał się dźwięk.

Półpysk zobaczył, że coś się tam rusza. Coś dużego. Większego od stworzenia, które właśnie zabili.

Kolejny potwór? Nawet jeśli, to był na *ich* terytorium.

Półpysk trzymał się blisko ziemi, podkradając się do rysy, jego oczy przystosowały się ze światła dnia do mroku cieni.

Stworzenie. Większe niż poprzednie. Stało na swoich tylnych nogach, jak czasem niedźwiedź albo potwór, którego właśnie zabili. Z tym, że to nie opadało na przednie. Wyglądało, jakby mogło na tych tylnych łapach stać wiecznie.

Nie ruszało się, pomijając dreszcze strachu. Półpysk nigdy nie widział takiego futra ani skóry – miała inny kolor, była luźna, jakby nie należała do stworzenia, tylko wisiała *na* nim, jak suchy liść leży *na* ziemi, ale nie jest *częścią* ziemi.

Półpysk zobaczył, że jedna z kończyn była pokryta czymś białym. Białym z wieloma mokrymi kroplami zieleni. Zieleni jak krew potwora, którego właśnie zabili.

Nowe stworzenie było ranne.

I się bało.

Powinno się bać. To był teren stada.

Półpysk zawarczał i pobiegł do przodu. Synowie podążyli za nim.

Nowy wróg krzyknął, ale krzyk nie był długi.

Wyzywające wycie odbijało się echem.

Uwagi autora do *Wilka*

Ukończyłem tę historię w listopadzie 2002 roku. Głównie zainspirowałem się artykułem o dominacji wilków w Ameryce Północnej przez tysiąclecia. W dzieciństwie niezmiernie wpłynęła na mnie twórczość Jacka Londona. Przeczytałem *White Fang* (*Biały kieł*) więcej razy niż pamiętam, *A Dog Named Wolf*³ i *Call of The Wild* (*Zew krwi*) co najmniej pięć. *Sea Wolf* (*Wilk morski*) całkowicie zmienił moje życie, ale to historia na inną okazję.

Jestem pewny, że właśnie wpływ Londona popchnął mnie do wybrania zwierząt na moich protagonistów. Zanim ludzie przybili na ten kontynent, wilki stanowiły przerażającą siłę na całym obszarze (i nie, przez „przybycie człowieka” nie mam na myśli Europejczyków, ta historia dzieje się znacznie wcześniej niż emigracja ludzi przez Cieśninę Beringa, tych samych ludzi, którzy potem stali się plemionami rdzennych Amerykanów). Wilki były dominującymi, stadnymi myśliwymi, były zwierzętami społecznymi i prawdopodobnie najinteligentniejszymi w całym ekosystemie. Zastanawiałem się, co by się stało, gdyby taki dominujący gatunek skonfrontować z czymś całkowicie dla nich obcym.

Jaki wynik? Jack London zabiera H.G. Wellsa na whiskey, a o piątej rano klecą opowieść z dreszczykiem o terytorializmie i przetrwaniu. Potem Jack wali H.G po pysku, bo Jack tak zawsze kończy wieczór.

TAJFUN W IOWA

Część pierwsza

Pamiętam, jak śmiałem się, kiedy Bobby powiedział to po raz pierwszy.

Bobby to mój brat. Mieszkam z jego rodziną na Sullivan Street. Powinienem nazywać go Bob, tak woli, ale dla mnie zawsze będzie Bobbym.

Brzmiał, jakby żartował. To znaczy, czy ktoś kiedykolwiek słyszał o tajfunie w Iowa? Absurd, czyż nie? Ale tak powiedział, pamiętam, chociaż mgliście. Wydaje mi się, że im dłużej tu przebywam, tym bardziej zapominam o Przeszłości – i coraz bardziej chcę tu zostać. Podejrzewam, że ta druga część – ta o zostaniu, znaczy się – to już pewne. Za bardzo mi się tu podoba.

Fender's Pointe to teraz mój dom. Tak, mogę go tak nazywać – *mój* dom. Nie wyobrażam sobie życia gdzie indziej. Owszem, czasem tęsknię za Bostonem, ale ostatnio coraz słabiej. Właściwie to nie wiem, czy przestałem za nim tęsknić, czy raczej zacierają się wspomnienia o rzeczach, których mi brakuje. Czy to ma sens? Nie wiem, ale nie uciekaj, to jest ciekawa historia. Gubię fakty na potęgę, rzeczy z Przeszłości, zanim jeszcze zamieszkałem w Fender's Pointe. Przepraszam, muszę tak paplać, żeby to z siebie wyrzucić. Z drugiej strony wy, reporterzy, uwielbiacie słuchać takiej gadaniny, prawda? Mówisz, że jesteś z „Boston Globe”? Przyjemnie zobaczyć twarz z Beantown, chociaż prawdę mówiąc nie kojarzę już żadnych znajomych twarzy z czasów, kiedy tam mieszkałem.

Pomyślisz, że mi to przeszkadza, zapominanie o wszystkim z Przeszłości, ale nie. Przynajmniej nie bardzo. Nie tak jak kiedyś. „Zaczynasz tu nowe życie, Kevinie”, tak mi powiedzieli. Nowe życie. I wiesz co? Mieli rację. Właśnie dostałem pracę w Harvey's Hardware. Młodszy syn starego Harvey'a, Jacob, tak mi się wydaje, miał wypadek podczas ostatniego tajfunu. Brakuje go nam, ale chłopaka już nie ma, a jest praca do zrobienia. Wiesz, wypadki się zdarzają, zwłaszcza w czasie Pory Deszczowej.

Teraz pewnie pomyślisz, że zapełnianie półek w sklepie z narzędziami jest nudne w porównaniu z pracą profesora antropologii w Boston College. Nie jest. Wiem, że ciężko w to

uwierzyć, ale lubię swoje nowe zajęcie. Właściwie bardziej niż poprzednie. Ceniłem swój stanowisko, ale to wydaje się tak dawno temu, że już nie wiem, o co było tyle krzyku. Teraz jest lepiej – *prościej*. Jestem tu szczęśliwszy. Moja żona, Martha, też by była, gdyby nie odeszła, ale wiesz...

Wypadki się zdarzają.

Tak jak mówiłem, teraz mieszkam z Bobbym w starym pokoju jego córki, Vicky. Jasne, tapeta w klauny może być lekko denerwująca, ale, na miłość boską, ten pokój należał do *dziecka*, więc mi to nie przeszkadza. „Pokój jest wolny”, powiedział Bobby, więc czemu miałbym nie zostać na jakiś czas? No to zostałem. I nie słyszałem nawet piśnięcia z Bostonu, dopóki ty się nie zjawiałeś. Nie wiem, czemu przebyłeś taki kawał drogi, żeby porozmawiać ze zwykłym pracownikiem sklepu z narzędziami. Jak wspominałem, od dawna nazywam młodszego brata Bobbym. Nie wiem, od ilu tygodni czy miesięcy. Te słowa już niewiele dla mnie znaczą. Tutaj mierzymy czas w Porach Deszczowych i Porach Suchych. Ci, którzy nie są stąd, trochę się gubią, ale mieszkańcy Fender's Pointe wiedzą, o co chodzi.

Mniejsza z tym, zadzwoniłem do brata i powiedziałem, że chciałbym go odwiedzić. Nie widziałem go od lat, od pogrzebu ojca. Widzisz, to nie nasza wina. Kochamy się, lecz odległość i inne zajęcia uniemożliwiają spotkanie. Bobby pracuje w małym wojskowym centrum badawczym w Fender's Pointe (co powinno być tajemnicą, ale i tak każdy o tym wie), a ja zawsze byłem zajęty uczelnią. Przez ostatnie dziesięć lat wybywałem na kolejne wykopaliska, jak tylko kończył się semestr. Nie pamiętam gdzie, zwykle było tam nieziemsko gorąco, z mnóstwem piasku dookoła. Tu jest znacznie przyjemniej, klimat wydaje się do ciebie dopasowywać – oczywiście tak długo, jak unikasz deszczu, ale to tylko stary, dobry, środkowozachodni rozsądek.

Tego lata nie miałem zaplanowanej pracy. Przypominam sobie coś o odcięciu dofinansowania, jednak szczegóły są niejasne. Wiesz, to już Przeszłość. Zupełnie spontanicznie zadzwoniłem do Bobby'ego i spytałem, czy chciałby, żebyśmy z Marthą przyjechali z wizytą.

– Przyjechali z wizytą? – zapytał Bobby.

– Tak – potwierdziłem. – Nie widzieliśmy cię od lat. Chcę zobaczyć mojego braciszka Bobby'ego i jego dzieci.

– Nazywaj mnie Bob – powiedział odruchowo, a ja jak zawsze go zignorowałem. – Z radością was ugościmy. Susan z dziećmi się cieszą.

Potem powiedział coś, czego nigdy nie zapomnę. To mnie rozbawiło, to, co już ci wcześniej mówiłem; wiesz, to z czego się śmiałem? Powinienem być mądrzejszy – Bobby nigdy nie miał zbyt dużego poczucia humoru, nawet gdy byliśmy dziećmi.

– Czemu chcecie przyjechać teraz? – zapytał. – Jesteśmy w samym środku sezonu tajfunów.

Uznałem to za świetny żart, tak jak mówiłem, i nic sobie o tym nie pomyślałem.

– Tajfun srajfun – odpowiedziałem, stwierdzając tym samym, że wyjeżdżamy. Pamiętam jeszcze jedną rzecz, o której wspomniał. Powinno to wzbudzić moje zaniepokojenie, ale nie załapałem. Niewielu ludzi spoza Fender's Pointe wiedziałoby, o co chodzi.

– W porządku – powiedział. – Ale to twój pogrzeb.

Część druga

Pominę większą część podróży. Nie ma o czym gadać. Zwiedziliśmy po drodze, co się dało. Zabawne, że przez te wszystkie lata, w których nie wyściubiałem nosa z piachu, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zainteresować się Ameryką. To przyjemne miejsce, jak już wydestaniesz się z wielkomiejskiej strefy. Dość fascynujące. Zgodziliśmy się z Martha, że jechało nam się tutaj wspaniale. Mówiłem już, że widzieliśmy największą na świecie kulę z folii aluminiowej? Całą drogę pokonaliśmy samochodem, zatrzymując się tak często, jak tylko chcieliśmy, czasem jedynie żeby się przejść, pozbierać kwiaty, innym razem, aby usiąść w cieniu drzewa i potrzytać się za ręce. To była przyjemna wycieczka. Nie robiliśmy czegoś takiego od bardzo dawna. Wprawdzie nie pamiętam wielu szczegółów z tej wyprawy, ale wiem, że Martha jak zawsze wyglądała pięknie w letnim słońcu.

Chociaż tak naprawdę nie wiedzieliśmy, czym jest piękno, dopóki nie dotarliśmy do Fender's Pointe. Ptaki ćwierkały na drzewach. Małe, czyste chmurki ozdabiały nieskazitelnie przejrzyste błękitne niebo. Drzewa eksplodowały bursztynowym blaskiem wczesnego lata. Widok był absolutnie oszałamiający, tętniący życiem, pełen uroku. Bardziej jak obraz z książki niż prawdziwe miasteczko. Wiem, mój opis brzmi trochę pretensjonalnie, ale *popatrz* tylko na to miejsce! Z każdego wydobędzie poetę.

A ludzie! O rany, są tacy mili. Mówimy tutaj, że to ludzie sprawiają, że Fender's Pointe to takie wspaniałe miejsce (oczywiście wiemy, że to nieprawda, ale tak wypada).

Tylko się rozejrzyj. Nie muszę ci opowiadać, jak jest pięknie, prawda? Nie, kiedy widzisz to na własne oczy. Aż dech zapiera. Nie widzieliśmy małego amerykańskiego miasta od... chyba kilku dekad. Zresztą, nie mieliśmy nawet samochodu, gdy mieszkaliśmy... ee... w Bostonie. Wymawiałem słowo samochód inaczej, ale nosowe głoski ze Środkowego Zachodu są tak zaraźliwe, że straciłem swój akcent.

Nawet nie miałem auta, uwierzysz? Wypożyczyliśmy jedno, żeby tu przyjechać. Zawsze, gdy chcieliśmy się gdzieś dostać

w Bostonie, braliśmy taksówkę. Amtrak zabrał nas na lotnisko. W ogóle nie potrzebowaliśmy samochodu. Mówię ci, nawet nie wiedzieliśmy, z czego rezygnujemy. Marcie się tu podobało. Brakuje mi jej, ale wspomnienia zanikają i pewnego dnia nie będę już czuł żadnego bólu. Byłoby miło.

Trafiliśmy do domu mojego brata – jego dzieci, jak one wyrosły! Bobby junior zmienił się w postawnego nastolatka, odkąd widziałem go ostatnio. Czarne włosy okalały twarz, na której zostały jedynie resztki młodości. Mocno zarysowane kości policzkowe oraz szczęka wyrastały z potężnej szyi. Chłopak – który przerósł już ojca – błyskawicznie stawał się mężczyzną, pozbawione tłuszczu ciało i mięśnie pokazywały, że jest w szczycie formy. Wyglądał dokładnie jak jego tato, gdy był w tym samym wieku. Oczywiście obecnie pulchną twarz Bobby'ego seniora znaczyły zmarszczki, a beztłuszczowe dni dawno przeminęły, jak kołnierze ze stójką i disco.

Viktor, bliźniak Vicky, wyrósł z brzdąca na dziesięcioletni kłębek energii. Miał czarne oczy po ojcu, a blond włosy po matce, tak nieskazitelne jak pola pszenicy rozciągające się wokół Fender's Pointe. Ściskając zniszczonego pluszowego misia, nie mógł ustać w miejscu choćby na sekundę. Oczywiście nie rozpoznał nas, ale spotkanie rodzinne bardzo go podekscytowało.

Boże, jakie te dzieci były piękne. Z Marthą nigdy nie chcieliśmy mieć dzieci. Teraz, kiedy już jej nie ma, może zmienię zdanie – Bóg jeden wie, ile jest tutaj wdów, wiesz o czym mówię. Oh, przepraszam – to taki tutejszy żart. Nieważne.

W każdym razie, zapytałem, gdzie jest mała Vicky. I wiesz co? Bobby tylko się na mnie gapił, jakby nie wiedział, o kim mówię. Przypomnienie sobie córki zajęło mu kilka sekund.

– Vicky? – zapytał. Puste oczy patrzyły na mnie, jakby jego mózg próbował wydobyć skądś imię. – Vicky? Ach tak! To moja córka, prawda?

Pamiętam, że pomyślałem, że świeżo odnaleziony humor mojego brata poprawia się z każdą chwilą, jednak to, co powiedział potem, uświadomiło mi, że coś jest bardzo nie tak.

– Vicky odeszła – oświadczył Bobby, właściwie tak jakby to nie było nic ważnego.

– Jak to odeszła? – zapytałem, zastanawiając się, czy coś mi nie umknęło, ponieważ na jego pucułowatej twarzy dalej gościł uśmiech. – Masz na myśli, że...

– Nie żyje – dokończył, a uśmiech ani na moment nie zszedł z jego ust. – Ona nie żyje. Wydaje mi się, że od jakichś dwóch Pór Deszczowych. Wypadki się zdarzają, Kevinie, powinienes to wiedzieć. Wejdźcie do środka i pozwólcie mi oprowadzić was po domu. Susan nie może się doczekać, żeby was zobaczyć.

Mężczyzna opowiadał o swojej zmarłej córce tak beztrosko, jakby naprawdę próbował udawać, że jej nie pamięta. Nie żyła, a on nawet nie zadzwonił, żeby powiedzieć o pogrzebie, nawet mnie nie powiadomił.

Pamiętam, że pomyślałem o kolegach z wydziału psychologii, którzy mogliby pomóc mojemu kochanemu bratu pogodzić się ze stratą. Wypieranie przez niego tego faktu było oczywiste. Wymieniliśmy z Marthą spojrzenia, których długo nie zapomnę. Ten gest mówił wszystko, a głównie to, że nie powinniśmy wspominać więcej o odejściu małej Vicky. Przynajmniej na razie. Bobby opowie nam o tym w swoim czasie.

Część trzecia

Susan wyglądała promiennie jak zawsze, z jej spiętymi w ogon długimi blond włosami; zawsze je tak nosiła, pomijając jej ślub (stałem tam oczywiście jako drużba). Przyznaję, że zaraz po Marcie, jest najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem. Bobby wyhaczył ją w college'u, kiedy była cheerleaderką, a on rozgrywającym (nie nazwałbym go „gwiazdą”, drużyna skończyła z wynikiem 2-9 na jego ostatnim roku, jednak mimo wszystko był rozgrywającym). Para jak z książki. Do dzisiaj są tak szczęśliwi i kochający się, jak tylko dwoje ludzi potrafi.

Prawdę mówiąc cała rodzina wyglądała na radosną. Szczęśliwszą, niż kiedykolwiek, gdy Bobby pracował w Bostonie. Oraz na zdrową. Wszyscy wyglądali wspaniale, jakby promieniowało od nich światło, błyszczące tak jasno jak Gwiazda Polarna w czystą, bezburzową noc. Widok ich dwojga, takich szczęśliwych, był bardzo niepokojący, ale razem z Martha domyślaliśmy się, że to tylko dlatego, że właśnie dowiedzieliśmy się o małej Vicky. Bez wątpienia oni pogodzili się już z jej śmiercią.

Cóż, podejrzewam, że chciałbyś już dojść do sedna tej historii, co? Chcesz usłyszeć o tajfunie, dlaczego porzuciłem uczelnię lub „wyparowałem”, jak to ująłeś, i dlaczego tu zamieszkałem. Wszystko w swoim czasie, wszystko w swoim czasie. Już prawie jesteśmy u celu, więc cierpliwości. Zrób przyjemność staremu mężczyźnie i pozwól opowiedzieć swoją historyjkę w całości.

W Fender's Pointe zabawiliśmy dwa dni. Ponieważ Bobby junior razem z Victorem mieli wakacje, spędziliśmy cudowny czas z całą rodziną. Rozkoszowaliśmy się wielkim grillowaniem w sobotę, a potem wspaniałą niedzielą na Emerson Beach. Peach Lake jest na granicy miasta, jednak to dalej obszar Fender's Pointe. Jesteśmy dumni z plaży. Jest bardzo czysta, setki metrów piasku. Bez wątpienia dodaje miastu uroku, nie sądzisz?

Bobby junior to taki miły chłopiec, taki uprzejmy. Pamiętam, jak Martha skomentowała, że lokalne dziewczyny muszą się uganiać za nim dookoła miasteczka. A jaki zabawny! Och, przez niego umieraliśmy z Martha ze śmiechu. Może i wygląda jak Bobby

senior, ale ma rozkoszne poczucie humoru, którym jego ojciec nigdy nie grzeszył.

Gdy mój brat mieszkał w Bostonie, Susan przyjaźniła się z Martha. Powróciły do starej znajomości, jakby w ogóle się nie rozstały, szepcząc i chichocząc, jakby znowu były nastolatkami rozmawiającymi między lekcjami. Susan zawsze była taka słodka. Dalej nie mogę opowiadać przy niej dwuznacznych żartów, żeby się nie zarumieniła albo nie wyszła z pokoju. To urocze, jak łatwo się peszy. Opowiedziałem większość Bobby'emu juniorowi, który zawsze odpowiadał jakimś jeszcze gorszym. Pewnie bym go upomniał, gdybym się tak mocno nie śmiał. Chłopcy zostaną chłopcami.

Moją ulubioną częścią tego wspaniałego weekendu był mały Victor. Boże, jakie to jest niez mordowane dziecko. Rzucaliśmy piłką godzinami, pomogłem mu zbudować miasto z klocków Lego, czytałem jego książeczkę z obrazkami, zbudowaliśmy zamek z piasku na plaży.

– Kocham cię, wujku Kevinie – powiedział Viktor swoim cienkim głosem, opatulony w piżamę, obłożony zdjęciami strażaków i wozów strażackich. – Tak bardzo cię kocham.

Pewnie się domyślasz, że moje serce się rozpułnęło. To chyba była jego najdłuższa wypowiedź, odkąd przyjechałem do Fender's Pointe. Dzieciak dużo nie mówił, pewnie z powodu straty siostry. Dalej bawię się z nim codziennie. Pomijając czas, kiedy pada. Viktor ciągle źle to znosi.

Po trzecim dniu zdecydowaliśmy z Martha, że chcemy zobaczyć więcej terenów wiejskich.

Zakochiwaliśmy się w sobie ponownie. Nie, żeby kiedyś nam przeszło, wierz mi, niestety byłem tak zajęty uczelnią, a moja żona swoją praktyką medyczną, że nie spędzaliśmy ze sobą czasu od lat. Wymyśliła szaloną rzecz – jechać na West Coast, zobaczyć plenery po drodze, dotrzeć do Kalifornii, a potem odlecieć do domu. Wtedy brzmiało to jak zwariowany, porywczy pomysł, coś, czego mogłoby próbować dwoje studentów, a nie dystyngowanych czterdziestolatków. Wiedzieliśmy, że nie jesteśmy już młodzi, ale

nie byliśmy gotowi na starość i ta spontaniczność wydawała się świetnym sposobem, żeby odzyskać trochę bezcennej młodości.

Tego popołudnia, gdy powiedzieliśmy Bobby'emu, że wyjeżdżamy, niebo pociemniało. Wyglądał na zaniepokojonego. Uważał, że oczywiście podróż jest świetnym pomysłem, ale potem powiedział coś dziwnego.

– Pomysł brzmi zabawnie, ale czemu, na miłość boską, chcielibyście wyjeżdżać z Fender's Pointe?

– Chcemy pozwiedzać – odpowiedziałem mu. Patrzył na mnie tym pustym wzrokiem, takim samym jak wtedy, gdy pierwszy raz zapytałem o Vicky. Nic nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami, jakby zwyczajnie nas nie rozumiał.

Pakując się, skradliśmy sobie kilka całusów i czułości w starym pokoju Vicky. Czuliśmy się w nim trochę nieswojo, zważywszy na to, że należał do naszej zmarłej bratanicy, lecz nie aż tak, żebyśmy zapomnieli o swoich ciałach. Wybieraliśmy się do hotelu. Wydaje mi się, że planowaliśmy kochać się całą noc, nie wychodzić z łóżka cały dzień, a jedzenie zamawiać do pokoju. Zabieraliśmy właśnie swoje bagaże do przedpokoju, gdzie czekała nas cała seria pożegnań, gdy zobaczyłem, jak Bobby zamyka drzwi wejściowe i przekręca co najmniej dziesięć zamków. W domu zrobiło się ciemno, nie tylko przez zachmurzone niebo na zewnątrz. Każdą zasłonę i firanę szczelnie zasunięto. Niektóre były nawet zaklejone taśmą samoprzylepną, aby nie wpuszczały światła.

Część czwarta

Byłem bardziej niż zaniepokojony tym, dlaczego brat potrzebuje tylu zabezpieczeń, oraz faktem, że mogłem wcześniej nie zauważyć tylu zamków. Nie zauważyłem również broni, która teraz leżała w rządku na kuchennym stole (już wiem, że trzymamy ją w szafie w holu). Jedną była groźnie wyglądająca strzelba, drugą – jakiś karabin myśliwski z grubą czarną lunetą zamontowaną na górze. Przy każdej leżało kilka pudełek z amunicją.

– Bobby – zapytałem szybko – co ty wyprawiasz?

Obrócił się i spojrzał na mnie ze zdziwieniem, jak na głupka.

– Zamykamy – odpowiedział. – Zapowiadali, że nadciąga burza.

Zdałem sobie sprawę, że zgniatam dłoń Marty, więc rozluźniłem uścisk.

– Czy mógłbyś odblokować drzwi? – zapytałem brata. – Chcielibyśmy z Marthą już jechać.

– Och, nie chcecie wychodzić – odpowiedział. – Nie chcecie być na zewnątrz w taki dzień jak dzisiaj. – Jego oczy zabłyśły. Mała isierka wewnątrz nich zgasła, zastąpiona czymś równie potężnym, ale dużo mroczniejszym. Moją uwagę zwrócił szcęk zamka ładownicy; spojrzałem w stronę kuchennego stołu, gdzie Bobby junior ładował strzelbę. Włosy zasłaniały mu twarz, ale nadal mogłem zobaczyć w jego oczach ten sam mrok, który widziałem u jego ojca. Młode oblicze przeszył grymas. Zobaczyłem lekko odsłonięte zęby. Junior wyglądał jak dzikie zwierzę – jak drapieżnik.

– Ty pieprzona dziwko! – Usłyszeliśmy cienki głosik z salonu. Odwróciliśmy się z Marthą i ujrzeliśmy obraz, który sprawił... Cóż... Chyba nie wiedzieliśmy, co mamy myśleć. Susan przywiązywała małego Victora do krzesła szorstkim, włóknistym, brązowym sznurem. Strużki krwi spływały z kolan po stopach dziecka z miejsc, gdzie ciasny sznur przeciął skórę. Viktor szarpał się, próbując się uwolnić. Prawą rękę miał jeszcze wolną i ustawiając palce jak szpony, starał się wykłuć matce oko.

– Ty cholerna suko! – krzyknął mały Victor. Tak wulgarny język wydobywający się z dziesięcioletnich ust brzmiał surrealistycznie.

Susan nic sobie z tego nie robiła. Uniosła rękę i bez litości wyprowadziła lewy prosty, uderzając małą blond główkę. Nie *spoliczkowała* syna, *uderzyła* go, jak bokser. Z nosa pociekła mu krew. Gdy chłopak dochodził do siebie, przywiązała jego rękę szorstką liną, która zagłębiła się znacznie w młodej, różowej skórze. Oddychając przez kapiącą krew, Victor zaczął wydawać zwierzęce odgłosy. W oczach miał tylko chęć mordy zakrapianą nienawiścią.

Pamiętam, że spojrzałem na mojego brata, który w najmniejszym stopniu nie przejmował się tym, że jego żona bije i przywiązuje do krzesła *jego* syna.

– Oj, nie przejmuj się nim – powiedział Bobby senior z miną, jakby coś takiego działo się tu codziennie. – Robi się trochę zuchwały, gdy zbliża się tajfun. Straciliśmy Vicky w czasie tajfunu. Wydaje mi się, że się tak zachowuje, bo byli bliźniakami i dalej czuje z nią więź. Tajfun na każdego wpływa trochę inaczej. Związujemy go, a kiedy burza przejdzie, będzie już w porządku.

Poczułem się, jakbym wylądował w szpitalu psychiatrycznym, albo jakieś czubki wykradły mojego brata razem z rodziną, a potem podmieniły innymi czubkami wyglądającymi dokładnie jak oni.

Pamiętam, że mówiłem bardzo cicho. Martha schowała się za mnie, przyciskając się do moich pleców.

– Bobby – powiedziałem. – Chcemy wyjść. *Natychmiast.* – Zdeterminowany spojrzałem w jego głębokie, czarne oczy. Patrzył na mnie tak twardo, ze złością. Jakbym nie był jego starszym bratem, podporządkowującym go sobie, jego szefem przez tyle lat. Zastanawiam się, jak w ogóle mogłem wytrzymać jego wzrok. Wtedy nie wiedziałem, co się dzieje, ale nie obchodziło mnie to. Jedyne, o czym myślałem, to żeby wyprowadzić stamtąd Marthę. W budynku znajdowała się naładowana broń trzymana przez ludzi, którzy, przynajmniej wtedy, tak to widziałem, wydawali się niezbyt poczytalni.

– Zdecydowanie odradzam, Kevy-wevy, naprawdę – powiedział Bobby. Użył przezwiska, którego nie słyszałem od czasu, kiedy byliśmy dziećmi i którym brat próbował mnie irytować.

Popatrzyłem mu głęboko w oczy. Nie musiałem nic mówić. Wiedział, że jego starszy brat nie żartuje.

– Okee-dokee, Kevy-wevy – rzucił Bobby z drwiną, obracając się, aby odblokować dziesięć potężnych zamków. – To twój pogrzeb. – Uporał się z zabezpieczeniami, ale nie otworzył drzwi. – Junior, weź strzelbę, ubezpieczaj wujka Kevina i ciocię Marthę, dopóki nie wsiądą do samochodu.

– Ale tato... – Bobby junior zaprotestował swoim nastoletnim tonem. – Nawet jeszcze nie zaczęło grzmieć. Nie ma błyskawic.

– Wiem, synu, ale nie będziemy ryzykować. Tu chodzi o rodzinę. Po prostu rób, co ci każe.

Bobby junior wziął strzelbę, a następnie jak komandos przylgnął plecami do framugi drzwi, czekając, aż jego ojciec je otworzy. A my z Martha tylko staliśmy z ciężącymi nam w rękach bagażami i otwartymi ustami, patrząc na psychotyczny surrealizm przed nami.

– Ruszajcie! – krzyknął Bobby senior, szybko otwierając drzwi. Junior wypadł na zewnątrz ze strzelbą podniesioną przeciwko nieznanemu, czyhającemu na podjeździe zagrożeniu.

Pamiętam, że stałem w miejscu tylko sekundę, zanim pomyślałem, że to może być nasza jedyna szansa na wydostanie się stamtąd w jednym kawałku. Pobiegłem w stronę drzwi, ciągnąc Marthę za sobą. Każde z nas trzymało tylko jedną walizkę – bagaże i ubrania mało nas wtedy obchodziły. Chcieliśmy jedynie uciec w cholerę.

Część piąta

Dotarliśmy do samochodu, wrzuciliśmy torby do bagażnika i wskoczyliśmy do auta. Nawet nie spojrzelibyśmy za siebie, gdyby nie to, że samochód stał przodem w kierunku domu. Gdy odpalałem silnik, ostatni raz na niego zerknąłem. Twarz brata wyglądała zza drzwi. Mój rosły bratanek usadowił się jak snajper, jego oczy powoli omiały podwórze, lśniąca czarna lufa strzelby podążała za nimi.

Z piskiem opon i śwędem palonej gumy wycofałem samochód z podjazdu. Zazgrzytałem biegami, próbując wrzucić jedynkę. Odjechaliśmy. Jeszcze godzinę temu nazwałbyś tę ulicę „przytulną” albo „uroczą”. Teraz na niebie kłębiły się ciemne, burzowe chmury. Droga wyglądała jak skąpana w purpurowym półcieniu. Wiatr uderzał nie wiadomo skąd, szarpiąc drzewami, rozrzucając liście tworzyły fale i małe wiry.

Wtedy samochodem zatrzęsło pierwsze uderzenie pioruna.

Znalazła się nad nami tak szybko, ta burza. A może powinienem powiedzieć: tajfun? Tak je tutaj nazywamy, wiesz. Ach, przecież ci już mówiłem, prawda? Przepraszam.

Wystreliliśmy spod domu jak pocisk, po raz pierwszy Martha nie kazała mi jechać wolno ani uważać na dzieci. Jak się teraz nad tym zastanawiam, to gdybyśmy się tyle nie całowali przy pakowaniu, to może byśmy zdążyli. Gdybyśmy nie byli wtedy tak zajęci sobą, wyszlibyśmy, zanim Bobby zamknął drzwi. Zanim junior zaczął ładować arsenał. Zanim Susan znokautowała Małego Viktora Dziecko Szatana uderzeniem w nos.

Prawie dotarliśmy do głównej drogi wyjazdowej z miasta, gdy pierwsza błyskawica rozświetliła niebo. Pamiętam ją, bo nie była biała, tylko purpurowa. Nie jasno, ale głęboko, jaskrawo, *gniewnie*, purpurowa, jakby błyskawicę zrobiono z czystego elektrycznego ametystu. Wiem, że to brzmi trochę kwieciście, ale ciężko to opisać. Żałuję, że nie jesteś stąd, wtedy nie musiałbym nic wyjaśniać.

W każdym razie, pierwsze uderzenie światła było niewiarygodne. Pamiętam, że mnie oślepiło. Purpurowe powidoki migotały mi przed oczami, tak że zjechałem z drogi do rowu. Oboje

mieliśmy zapięte pasy, więc nikt nie ucierpiał, jednak samochód nie był już w stanie ruszyć. Z perspektywy czasu lepiej byłoby dla Marthy, gdyby zginęła podczas kraksy.

Mój wzrok w końcu doszedł do siebie i zapytałem ją, czy nie jest ranna. Trzęsa się, ale nic jej nie było. W tej samej chwili zaczęło padać. Nie jakaś mżawka, wierz mi, raczej jakby ktoś wiadrami wylewał wodę na szybę, jakbyśmy parkowali w Nowym Orleanie podczas huraganu. Wiatr trząsał nami, jakbyśmy byli w rękach Boga jednym z tych samochodzików-zabawek, które tak lubił Victor. To dobry chłopak, przez większość czasu, chciałym żebyś to wiedział – oczywiście oprócz czasu, kiedy pada.

Siedzieliśmy tam, patrząc na siebie, próbując się uspokoić i poradzić coś na tę dziwną sytuację, gdy ponownie uderzył piorun. Nie pojedynczym błyskiem jak poprzednio, ale kaskadą purpurowych fajerwerków. Oświetliły wnętrze samochodu jak stroboskop.

Te błyski jakoś na mnie wpłynęły. Wbłysnęły mi do *mózgu*. Widziałem je zarówno oczami jak i umysłem. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale tak powie ci każdy, kto jest stąd. Te rozbłyski pulsowały w mojej głowie bez ustanku. Bez przerwy, bardzo szybko, jakby wszystko działo się w ułamku sekundy.

Wtedy zdarzył się wypadek.

Kiedy purpurowa błyskawica migała mi w głowie.

Nie zmieniłem się stopniowo, wierz mi, to się stało natychmiast. *Bum*, i już. Myślę, że piorun wpływa inaczej na każdego. Jedni reagują mocniej od innych.

Spojrzałem na Marthę. Czułem się inaczej. Niesamowicie. Żywy. Jak nabuzowany. Nazwij to jak chcesz, miałem wrażenie, jakbym połączył się z częścią siebie, którą straciłem lata temu – może nawet zanim się urodziłem, to nie ma sensu, ale tak właśnie się czułem – z czymś zapomnianym tysiące lat temu.

Spojrzałem na żonę po raz ostatni. Zobaczyła moje oczy i momentalnie się przestraszyła. Nie powiem, że ją za to winię, ale byliśmy małżeństwem ponad dwadzieścia lat, więc jej reakcja mnie co najmniej zaskoczyła. Była mądrą kobietą, tak jak już mówiłem,

nie bawiła się w te całe wrzaski, które zawsze widzisz w filmach; od razu rzuciła się do drzwi.

Deszcz przemoczył ją w mgnieniu oka – tak bardzo lało – nie zaszała jednak daleko. Złapałem ją za włosy i wciągnąłem z powrotem do samochodu. Wiem, że szarpnąłem mocno, bo zostały mi w dłoni zakrwawione kłaki – dobry Bóg nie myślał o trwałości, gdy nas tworzył. Opadła na siedzenie, od razu próbowała wstać i uciec.

Nie zdążyła.

Chwyliłem ją za czoło i uderzyłem jej głową o zagłówek. Próbowała odepchnąć moją rękę, jednak była tylko drobną kobietą, więc nie miała wiele siły. Ja, z drugiej strony, czułem się silny jak nigdy w życiu. Przyszpiliłem jej głowę do fotela, nachyliłem się i zacisnąłem zęby na jej gardle.

Myślę, że pierwsze ugryzienie zadziało, mimo to kontynuowałem. Tatusz zawsze powtarzał mi i Bobby'emu, że jak coś zamierzasz robić, to rób to porządnie. Jej gorąca krew obryzgała mi twarz i ciekła po policzkach. Chłopie, ale ona miała *dużo* krwi! Jakby miała kran w szyi czy coś. Kopała i szarpała się całkiem żwawo jak na pięćdziesięciocierokilogramową kobietkę. Byłem z niej dumny. Niestety ostatecznie umarła, z czym wszyscy musieliśmy się pogodzić, ponieważ wypadki się zdarzają.

Czemu patrzysz taki przerażony? Wiem, to straszna historia, ale nie musisz się niczego obawiać. Nie widzę żadnych chmur burzowych, a ty? Więc się odpręż i pozwól mi skończyć.

Pamiętam, że wysiadłem z samochodu, żeby pieszo wrócić do domu Bobby'ego, który znajdował się tylko kilka przecznic dalej. Wiatr mną rzucał, trząsałem się, przemoczony do kości. Deszcz zmył mi z twarzy krew Marthy, ale czerwień dalej plamiła moją białą koszulę. Wyładowania uderzały jedno za drugim.

Mały chłopiec, chyba dziesięcioletni, też miał wypadek. Zobaczyłem go na ulicy, jak jego małe kciuki zagłębiały się w oczodołach dalmatyńczyka, który skomlał żałośnie. Cóż, co możesz zrobić? Psy też mają wypadki, przecież wiesz.

Ten dzieciak był tak zaaferowany szczeniakiem, że nawet mnie nie zauważył. Pies kopał i podskakiwał, jednak chłopak trzymał go

pewnie. Wiesz, do dzisiaj bardziej mi żal śmierci tego szceniaczka niż tego malucha. Czy to źle? Nie powinienem tak myśleć, ale co poradzę.

W ostatniej chwili chłopczyk mnie zobaczył, niestety było za późno, już stałem za nim. Złapałem oburącz jego głowę i uklęknąłem mu na twarzy. Pamiętam dźwięk miażdżenia, właściwie to brzmiał jak rozrywanie główki sałaty na pół. Słyszałem go mimo grzmotów, deszczu i wiatru. Poczynania chłopaka z psem mnie zainspirowały, więc wyłupiłem maluchowi oczy kciukami. Wił się, ale nie płakał. Nawet, gdy go oślepiłem, gdy krew i galaretowata maź wypływała z oczodołów na moje ręce, próbował mnie zaatakować. Rodzice byliby z niego dumni. Walczył aż do momentu, kiedy założyłem mu nelsona i rzucałem na boki, aż usłyszałem trzaśnięcie. Widzisz tę bliznę na grzbiecie dłoni? To od jego małych paznokci. Co za dzieciak, nie? Ale był z niego wyczynowiec.

Wróciłem do Bobby'ego. Na szczęście udało mi się dotrzeć tam między błyskami światła, więc mnie wpuścili. Junior sprzątnął kogoś ze strzelby, gdy wbiegałem do domu. Najwyraźniej gonił mnie jakiś facet, który dopadłby mnie za kilka sekund. Pamiętam, jak junior krzyknął „jak ci się podobam teraz, sukinsynu?!”, kiedy pociągał za spust. Musiał do niego strzelić sześć razy. Czekало nas poważne sprzątnięcie. Bardzo niechlujny wypadek.

Mężczyzna miał jeden z tych toporków strażackich. Nic dziwnego, następnego dnia zidentyfikowaliśmy go jako Franka Dresnicka z ochotniczej straży pożarnej. Stary Frank, będzie nam go brakować, zapewniam cię, każdy mówił, że był naprawdę miłym gościem.

Cóż, gdy burza się uspokoiła, czułem się w porządku. Zdrowy jak rydz. Lepiej niż kiedykolwiek. Trochę się martwiłem Marthą oraz małym chłopcem, ale Bobby powiedział, że wypadki się zdarzają.

– Nie przejmuj się tym – powiedział mi, w jego głosie mogłem wyczuć miłość i troskę. – Wszyscy kiedyś zostaliśmy złapani na zewnątrz przez deszcz. Tajfuny przychodzą tak często, że nie sposób ich przewidzieć. Zdarzyło się to każdemu z nas. – Cała rodzina kiwnęła głowami, uśmiechnęła się do mnie z tym ich cudownym

wewnętrznym blaskiem. Wszyscy byli tak wyrozumiali. Przecież to był tylko wypadek, wiesz, a oni mnie wspierali. W końcu jesteśmy rodziną.

Czułem się tak cholernie dobrze po burzy, co tam, dalej się tak czuję, więc nigdy nie opuszczę Fender's Pointe. Może gdyby Martha nie miała wypadku, to byśmy wyjechali, nawet teraz. Razem z Marthą zwiedzilibyśmy Amerykę, pojechali aż do West Coast i poleciali z powrotem do domu do... Do...

Skąd do cholery mówiłem, że jestem?

Uwagi autora do *Tajfunu z Iowa*

Zwykłe piszę w trzeciej osobie. Chciałem pobawić się trochę pierwszą osobą, spróbować zmienić tempo i skończyłem z *Tajfunem w Iowa*.

To bardziej staromodne science-fiction niż większość moich historii. Weź niewyjaśnione zjawisko, dodaj szczyptę „nauki” i pozwól, żeby dobrym ludziom działy się złe rzeczy. Możecie pewnie zauważyć lekki wpływ Stephena Kinga w tym opowiadaniu – małe miasteczko, dzieje się coś okropnego, a mieszkańcy nic sobie z tego nie robią, bo ta wstrętna rzecz nie jest dla nich wcale taka wstrętna.

Jest krwiście, jest odrzucająco, jest zabawnie. Chyba, że byłeś tym szczeniakiem, wtedy ta historia trochę ssie.

Tajfun w Iowa po raz pierwszy posmakował tuszu jako dodatkowa historia z tyłu pierwszego wydania *Ancestor (Transplantacja)*, wydanego przez Dragon Moon Press w 2007.

WIELKIE POLOWANIE NA SNIPY

Czworo studentów, jak z reklamy zimnego napoju skierowanej do amerykańskiej młodzieży, albo raczej jak wybrani do wielokulturowej kampanii reklamowej, kroczyło przez uczelniany plac. Jedna o skórze koloru głębokiej czerni, drugi – jasnobrązowej, trzeci – żółtawej. Czwartemu, najwyższemu, znoszony kowbojski kapelusz rzucał cień na alabastrowo białą twarz. Jego ramiona i kark ciągle zdobiły czerwone poparzenia słoneczne, co pozostała trójka wytykała mu tak często, jak się dało.

– Wiesz, mamy na to nazwę w Teksasie – powiedział, kręcąc głową, gdy kwartet zmierzał do sali wykładowej. – Tam nazywamy to polowaniem na snipy⁴.

Inni studenci znaczyli trawiasty plac jak leniwe termity na spróchniałej kłodzie. Rzucali frisbee lub grali w zośkę, wylegiwali się na plażowych ręcznikach, siedzieli po turecku z książkami na kolanach, ciesząc się słońcem i bezchmurnym niebem.

– Jake, przestań pierdolić – rzucił chłopak o jasnobrązowej skórze. – Nie możesz się teraz wycofać. Obiecałeś nam pomóc. Poza tym ja i Shamiqwa będziemy ci dłużni.

– Tak, kochany – dodała dziewczyna o nieskazitelnej, czarnej skórze, obdarzając Jake’a uwodzicielskim uśmiechem. – Kto wie, jak ci się odwdzięczę.

Jake szybko odwrócił wzrok, a jego twarz przybrała kolor ramion i karku.

– O, ona cię lubi – powiedział Ché, czwarty student z grupy. Mówił perfekcyjnie po angielsku, ale świetnie udawał śpiewny głos prostytutki z Sajgonu. Z orientálną skórą i mocno skośnymi oczami jego rdzenny brooklyński akcent brzmiał bardziej

niewiarygodnie niż jego przesadne parodiowanie. – Będzie cię *dłuuugooo* lubić.

Uwielbiali nabijać się z Jake'a. Za całe jego zaściankowe zachowanie. Wszystko, od sposobu chodzenia po ubiór, składało się na obraz prawdziwego dżentelmena z Południa. Mimo dwudziestu trzech lat życia sugestywna wypowiedź ze strony kobiety sprawiała, że się rumienił. Uczelniana moda zmieniała się, jednak farmerski styl Jake'a pozostał nienaruszony od dnia, w którym cztery lata temu wkroczył na kampus.

Odchrząknął, żeby zmienić temat.

– Owszem, twierdziłem, że to będzie zabawne, ale im dłużej o tym myślę, tym głępsze mi się to wydaje. Uwielbiam polować, Carlos, ale nie zamierzam szukać wymyślonych stworzeń.

– Nie wymyślonych, Jake, mój drogi, tylko *nieodkrytych* – wtrącił się Carlos. – Pomyśl o tym w ten sposób i będzie dobrze.

Dotarli do obłej sali wykładowej, weszli do środka i skierowali się do pierwszego rzędu. Jak zwykle, prowadził Carlos Herrera; jego grube, czarne włosy podskakiwały z każdym krokiem. Za nim podążała Shamiqa Johnson, ciasny kok w kolorze ciemnego blondu sprawiał, że wzrostem ustępowała jedynie Jake'owi Longdale'owi, który miał metr osiemdziesiąt osiem i każdy krok stawiał na przesadnie ugiętych nogach. Ostatni szedł Ché Yang, zawsze na końcu, tak jak Carlos z przodu; jego t-shirt „urodziłem się tutaj” odbijał oświetlenie sali wykładowej.

Usiedli cicho w oczekiwaniu, aż doktor Paul Pillion rozpocznie wykład. Pomieszczenie zapełnione było ledwie w jednej czwartej. Na początku zajęcia z doktorem Pillionem były tak popularne, że ograniczał liczbę studentów w semestrze. Nie do *najlepszych i najbystrzejszych*, jak lubił mawiać, ale do *zmotywowanych i zdyscyplinowanych*.

Pillion oderwał wzrok od notatek w momencie, gdy Carlos i spółka wślizgiwali się na miejsca. Uśmiechnął się ciepło do niego, a następnie podniósł stojące pod tablicą czarne plastikowe opakowanie wielkości walizki. Podszedł do grupy.

– Panie Herrera, panno Johnson – Pillion odezwał się głosem, który wskazywał na nieudawaną inteligencję, głosem pełnym

pewności siebie i autorytetu. – Dwojga państwa kolegów nie ma w mojej grupie. Będą państwo tak mili i się przedstawią oraz powiedzą, w jakim celu tu przyszli?

– To wsparcie, doktorze P – odpowiedział Carlos. – Jake Longdale, student inżynierii i Ché Yang, student technologii elektronicznych.

Wykładowca skinął głową. Uśmiechnął się, natychmiast rozumiejąc wkład umiejętności Jake'a i Ché.

– Panie Carlosie, powinienem się domyślić, że będą państwo na prowadzeniu, wygląda na to, że i pan, i pani Shamiqia zawsze tam jesteście. – Następnie po cichu, tak żeby tylko ich czwórka mogła usłyszeć, dodał: – A tu sprzęt, o który pan prosił. Bardzo sprytnie. Ale proszę uważać na niego, nie chciałbym żałować, że pozwoliłem państwu go wziąć na wyprawę.

Pillion odwrócił się do katedry, pozostawiając na twarzach Carlosa i Shamiqui dumne uśmiechy.

– Co jest w walizce? – zapytał Jake.

– Nieważne – odpowiedział Carlos. – Po prostu słuchaj uważnie i zrób dobre notatki.

Prowadzący rozpoczął swój coroczny wykład, zgodnie z niepisaną tradycją kursu biologii – prawdopodobnie najdziwniejszym egzaminem końcowym spośród wszystkich kursów na uczelni. Możliwe, że wszystkich kursów w kraju.

– Proszę słuchać uważnie i notować, ponieważ to jest państwa zadanie egzaminacyjne. Jak państwo doskonale wiedzą, nie wierzę w egzaminy pisemne. W prawdziwym świecie biologii nic nie znaczą. Gdy jesteś zanurzony po pas w kongijskim bagnie albo leżysz w piachu w Kansas, opędzając się od pcheł, podczas wielotygodniowej obserwacji pisków preriowych, pod ręką nie ma zbyt wiele testów do rozwiązywania.

Grupa odpowiedziała śmiechem.

– Wielu z państwa wie, jakie to zadanie. Jeśli nie, to nie są państwo zbyt dociekliwi, biorąc pod uwagę, że egzamin nie zmienia się od dziesięciu lat.

Jake nachylił się nad ramieniem Carlosa.

– Przez dekadę poluje na snipy? Na tym ten gość robi kasę?

– Przymknij się, Jake. Czekałem cztery lata na ten wykład. W ten sposób ocenia, kogo zabierze w lecie w teren, a bierze tylko dwie osoby.

Doktor Pillion obrócił się i napisał na tablicy zdanie:

NATURA NIE ZNOSI PRÓŻNI

– Jesteśmy przekonani, że ludzkie miasta z niekończącymi się serpentynami betonu i stali są pozbawione naturalnych populacji. W końcu jedyna roślinność to trochę niezłomnych chwastów, drzewa tworzące krajobraz, sezonowe kwiaty i przeredzona trawa. Bez zróżnicowanej roślinności – głównego wytwórcy energii w prawie każdym ekosystemie – miasta powinny stanowić istne pustkowia dla wszystkich stworzeń prócz ludzi i utrzymywanych przez nich zwierząt, takich jak zwierzęta domowe. A jednak tak nie jest. W mieście Nowy Jork istnieje ponad dwieście pięćdziesiąt udokumentowanych, naturalizowanych gatunków owadów, roślin i zwierząt. W tym samym mieście populacja gołębi mierzona jest w milionach, szczurów w dziesiątkach milionów i tylko Bóg raczy wiedzieć, ile żyje tam trylionów karaluchów i innych owadów. Życie niezliczonych dzikich kotów nie różni się niczym od innych dzikich zwierząt. Kruki, mewy i inne ptaki, nawet sokoły. Nietoperze, wiewiórki oraz inne małe ssaki, lista jest długa. Co zasila ten ekosystem? Głównym źródłem energii są śmieci. Ci z państwa, którzy kiedykolwiek mieszkali w mieście, wiedzą, że zasoby śmieci są nieskończone. Owady i gryzonie żywią się śmieciami i odpadkami, ptaki i nietoperze zjadają owady, a koty polują na ptaki i gryzonie, i tak dalej. Oprócz jedzenia mamy wiele miejsc bytowych w postaci budynków i innych struktur. Zawsze znajdzie się schronienie, aby uciec przed deszczem lub schować przed zimowym mrozem.

Pillion przerwał, uśmiechnął się, wskazując na Jake'a.

– Panie Longdale. Co może nam pan powiedzieć o radiacji adaptacyjnej?

Twarz Jake'a poczerwieniała. Spojrzał w lewo, następnie w prawo, jakby oczekiwał pomocy. W sali zapadła niezręczna cisza.

– Yy, nie mam pojęcia, co to, proszę pana.

Pillion skinął głową.

– Dobra odpowiedź. Odpowiedź naukowca. – Obrócił się w stronę całej grupy. – Gdy państwo czegoś nie wiedzą, proszę odpowiadać „nie wiem”, a potem się dowiedzieć.

Shamiqna szturchnęła ramię Jake’a, pochyliła się i wyszeptała:

– Stary, miałeś się tu nie odzywać.

– Ale zadał mi pytanie!

Carlos uciszył ich oboje, gdy Pillion kontynuował.

– Zatem mamy środowisko, do którego nie powinno się przystosować żadne zwierzę, a jednak to środowisko jest wypełnione całą gamą stworzeń. Ta populacja pokazuje nam siłę radiacji adaptacyjnej, naturalnej skłonności istot żywych do wypełniania każdej dostępnej niszy. Powinni państwo być zaznajomieni z tą ideą, biorąc pod uwagę, że jest to temat tych zajęć, jednakże, na podstawie ocen ostatniego testu, podejrzewam, że to dla niektórych nowość.

Więcej śmiechu.

Doktor Pillion docisnął kredę do tablicy, podkreślając każde poszczególne słowo ostrym *piskiem*: „Natura... nie... znosi... próżni”

– Wypełnienie dostępnej miejskiej niszy jest idealnym przykładem. Jest to prawie biologiczna zasada: jeśli istnieje dostępna nisza, zwierzę przystosowuje się, aby ją wykorzystać. A jednak w środowisku zabudowanym istnieje taka, która pozostaje niezapełniona, ta dla głównego mięsożercy, na szczycie piramidy pokarmowej.

Blondynka ubrana w grubą flanelową koszulę podniosła rękę.

– Ale panie profesorze, czy ludzie nie są głównym drapieżnikiem? W sensie, ludzie tępiący szczury, karaluchy i podobne rzeczy?

– Pomijam deratyzatorów tępiących gryzonie i owady – odpowiedział Pillion. – W każdym mieście populacja szkodników jest tak duża, że wysiłki tępicielei są znacząco nieistotne względem całej populacji. Zatem mamy głównych konsumentów żerujących na śmieciach, zjadających ich mięsożerców magazynujących energię pokarmową, ale kto zjada drapieżniki? Sokoły i koty na pewno są kluczowymi drapieżnikami, ale co, jeśli jest jeszcze coś...

mądrzejszego? Coś, co łapie i zjada wszystko, od małych karaluchów po największe bezpańskie psy? Jak według państwa zareagowałiby na to ludzie?

Odezwał się wypryszczony chłopak z burzą kręconych, rudych włosów.

– Ludzie by to wytępilli. Znamy dużo takich przypadków. Nie tolerujemy drapieżników w swoich siedliskach, nawet jeśli te drapieżniki nie stanowią dla nas zagrożenia.

– Ma pan rację, panie McReady, ma pan całkowitą rację. Ludzie nie pozwoliliby na istnienie takich stworzeń, jednak nisza nadal istnieje. Jeśli radiacja adaptacyjna jest prawdziwa, może to oznaczać tylko jedno: to stworzenie jest wystarczająco mądre, aby nas unikać.

Po sali rozniosły się pomruki i niedowierzania, ale Carlos i Shamiqua pochyłili się bliżej, spijając każde słowo.

– Ludzka cywilizacja istnieje w różnej postaci od tysięcy lat. Na przykład egipskie miasta z dużą liczbą ludności istniały przez więcej niż pięć tysięcy lat – kontynuował Pillion.

– Ale panie profesorze – wtrąciła się blondynka. – Pięć tysięcy lat to za mało czasu na fizjologiczną ewolucję.

– Zakłada pani *ludzkie* warunki, panno Chadwick. Załóżmy, że nowe pokolenie ludzi pojawia się co dwadzieścia lat. W przypadku wspomnianych egipskich miast, pięć tysięcy lat to dwieście pięćdziesiąt pokoleń. A co, gdybyśmy rozważali coś zbliżonego do gryzoni, powiedzmy coś, co rozmnaża się co cztery miesiące. Teraz mówimy już o *piętnastu tysiącach* pokoleń lub odpowiedniku *trzystu tysięcy* lat rozmnażania się ludzi. Tu już pojawia się możliwość adaptacyjnej ewolucji do miejskich nisz.

Rudy chłopak wstał, wyraźnie poruszony.

– Niech pan da spokój, panie doktorze. Coś, co jest przy nas przez pięć tysięcy lat i ludzie nigdy tego nie widzieli? To śmieszne.

– Proszę usiąść, panie McReady. Przyjąłem do wiadomości pana uwagi i będę kontynuował wykład. Po pierwsze *zakłada* pan, że ludzie nigdy nie widzieli tego stworzenia. Prawidłowym stwierdzeniem byłoby raczej to, że nie ma znanych *zapisów* dotyczących spotkania z tym stworzeniem. Ile posiadamy

dokumentów z miast sprzed tysiąca lat? Niewiele. Nawet w doskonałych dokumentach ze wspomnianych egipskich miast brakuje informacji o codziennym życiu mieszkańców. Ale prawdziwym powodem, dla którego ludzie nie widzieli tego stworzenia, jest to, że stworzenie nie *chce* być widziane.

Tym razem wstała blondynka.

– Więc twierdzi pan, że mój egzamin końcowy opiera się na stworzeniu, które czai się w naszych siedliskach, stworzeniu, które pozostaje niewidoczne, nie dlatego, że instynktownie ucieka lub potrafi się schować, a dlatego, że *wie*, że je zabijemy? Twierdzi pan, że to stworzenie podejmuje racjonalne decyzje?

– Bardzo dobrze, panno Chadwick, trafiła pani w dziesiątkę.

Jęki i krzyki wypełniły salę. Doktor Pillion zaczął bazgrać na tablicy listę punktów.

Ché nachylił się i wyszeptał do Shamiqoui:

– Wydaje mi się, że ta grupa nie ma szacunku. Mówiłaś, że doktor P jest wielkim ekspertem i w ogóle, a grupa obraża go na każdym kroku. Zawsze tak tu jest?

Shamiqua skinęła głową, jednak nie oderwała wzroku od notatek.

– Doktor P zachęca do sporów. Powtarza, że naukowcy powinni kwestionować wszystko, *zwłaszcza* ekspertów. Jeśli nie będziemy podważać *status quo*, nigdy nie będzie żadnych odkryć.

Doktor Pillion skończył listę i obrócił się w stronę grupy.

– Wyglądają państwo na bardzo przeciwnych mojej teorii, ale *dlaczego?* Ponieważ tych rzeczy nikt nie widział? Każdego roku odkrywane są tysiące nowych gatunków. Kryptozoologia jest nauką o zgłoszonych, ale niezwerifikowanych naukowo zwierzętach. Cały czas odnajdujemy nowe. Na przykład woła z Bu Kwang odkryto w wietnamskim lesie deszczowym w 1992. Okazał się tak nowy, że naukowcy nazwali go nie tylko nowym gatunkiem, ale nadali mu również *rodzaj*. Ludzie żyli w Wietnamie przez dziesiątki tysięcy lat, a nie mamy żadnych zapisków o tym stworzeniu.

Rudzielec praktycznie drżał z oburzenia.

– Przecież jest ogromna różnica między lasem deszczowym a miastem.

– A jaka to różnica? – zapytał wykładowca. – Miasta mają wiele kryjówek i dużą populację biologiczną. Biodyweryfikacja jest oczywiście ograniczona, ale właściwie jedyne, czego brakuje, to drzewa. Istotne jest to, drodzy studenci, że z drzewami czy bez, są tam gatunki czekające na odkrycie. Co sprowadza nas do państwa egzaminu końcowego: znalezienia tego stworzenia. Państwa zadaniem jest zbadanie środowiska, w którym to stworzenie musi żyć, a następnie wymyślenie sposobu na zbadanie samego stworzenia. Złapanie go jest opcjonalne. Ocenę państwa na podstawie pomysłowości połączonej z zastosowaniem teorii omawianych na wykładzie. Przedstawię państwu teraz następujące elementy mojej teorii. Po pierwsze i najważniejsze, to stworzenie musi cechować się znaczną inteligencją, aby zrozumieć, że jego wykrycie jest zagrożeniem oraz aby faktycznie unikać wykrycia przez tysiące lat. Stworzenia powinny być tak inteligentne, że nie zdziwi mnie, jeśli posiadają zdolność ograniczonego używania narzędzi. Kolejnym głównym czynnikiem, który trzeba mieć na uwadze, to kamuflaż. Stworzenie unika ludzi przez milenia, zakładam, że posiada pewien rodzaj maskowania, może nawet zdolność zmieniania koloru jak kameleon.

Pillion uśmiechnął się, uniósł ręce i wzruszył ramionami, tak jak by mówił: nic prostszego.

– To wszystko – zakończył. – Jeśli przyswoili państwo wiedzę z mojego wykładu, mają państwo wszystko, czego potrzeba do znalezienia tego stworzenia. Jeśli państwo nie uważali, jestem pewny, że odkryją państwo nie tak rzadkie zwierzę, znane jako *D minus*. Na referat mają państwo cztery dni. Powodzenia.

Studenci, niektórzy markotni, inni podekscytowani, wstali i zaczęli opuszczać salę wykładową.

Carlos obrócił się w stronę Jake'a i Ché.

– Teraz już wiecie, w czym rzecz. Nadal chcecie nam pomóc?

Ché skinął głową.

– Teraz już wiem, po co ci kamera na podczerwień i detektory ruchu. Ale poważnie, czy to nie jest zbyt dużo zachodu dla jakiegoś

wymyślonego stworzenia?

– Nie o to chodzi – odpowiedziała Shamiqua. – To zadanie nie jest tylko egzaminem końcowym, on to wykorzystuje do wybrania osób, które zabierze w teren. W tym roku będzie szukał nowego gatunku jelenia w Kongo. Ludzie, którzy z nim jadą, zwykle dostają się bez problemu na *dowolny* doktorat.

W grupie zapanowała niezręczna cisza. Odkąd spotkali się cztery lata temu, spędzali większość czasu razem. Ukończenie szkoły zbliżało się nieuchronnie, a wraz z nim doktoraty i rozpad grupy.

Jake przełamał ciszę.

– Daj spokój, Shammie. Wiesz, że nie musisz nas pytać ponownie. Zrobimy to. Razem z Ché rozstawimy sprzęt tak, że nawet twój doktor Pillion nie będzie mógł się przyczepić.

Cała czwórka spotkała się na początku pierwszego roku. Wszyscy uczęszczali do prestiżowego koledżu dzięki stypendiom naukowym dla niezamożnych studentów. Określenie *niezamożny* Carlos tłumaczył jako: *goły i wesoly*. Mimo genialnych umysłów i nieprzyzwoicie wysokich wyników SAT, nikogo z członków grupy nie stać było na czesne, a co dopiero książki czy nocleg i zakwaterowanie.

W trakcie spotkania integracyjnego stypendystów, które Shamiqua nazwała „zjazdem biednych czarnuchów”, szybko się zaprzyjaźnili. Połączył ich wspólny brak pieniędzy na typową, studencką aktywność pozalekcyjną. Kiedy jedno z nich miało pieniądze, dzieliło się z pozostałymi, ale przez większość czasu chodzili spłukani. Właśnie podczas jednego z takich bezczynnych spotkań Ché nazwał grupę „czwórką bez grosza”.

W ciągu następnych lat zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej i nazwa stała się symbolem przynależności i akceptacji. Byli dumni ze swojej „trudnej” przeszłości oraz z przeciwności, którym wspólnie stawiali czoło. Dzięki grupie pokonali je i poznali swoje możliwości.

Shamiqua jako jedyna dysponowała pojazdem, leciwym vanem – niegdyś żółtym, teraz w większości pożartym przez rdzę – nazwanym „Hippiebusem”. Wiózł ich czworo, tuzin plastikowych pudeł wypełnionych sprzętem i brudne pranie do mieszkania matki Carlosa.

Oprócz Jake’a i Ché jako wsparcia, Carlos miał jeszcze jedną kartę w rękawie. Każde z nich pochodziło z niezamożnej rodziny, żeby nie powiedzieć z biednej, ale Carlos był najbiedniejszy z nich. Żył w okolicy, gdzie znajdowało się więcej pustych budynków niż zamieszkałych, jedne zawalone, inne pogrążone w zasilanej zaniedbaniem nierównej walce przeciwko grawitacji. Jednak, mimo tak złego stanu, nadal mieszkała tam znaczna liczba ludzi, wytwarzających niemałe ilości śmieci.

Carlos doskonale wiedział, że dzielnica przyciąga szczury i karaluchy. Mimo że jego matka robiła, co mogła, aby w mieszkaniu wytepić gryzonie, chłopak w dzieciństwie wielokrotnie został pogryziony. To, że sami utrzymywali nienaganny porządek, nie miało znaczenia, gdy sąsiedzi z góry i z dołu żyli jak śmieciarze. Jeśli chodzi o owady, Carlos miał pewność, że załapałby się do Księgi rekordów Guinnessa, gdyby tylko mieli kategorię: najwięcej karaluchów zabitych w życiu.

Jego dom stał w samym epicentrum miejskiego rozkładu – idealnym centrum dowodzenia dla wielkiego polowania na snipy. Okno mieszkania na drugim piętrze zapewniało widok na wypełnioną odpadkami pustą parcelę. Za nią stał opuszczony budynek. Mimo że nadal się nie zawalił, nikt nie kojarzył, żeby znajdowało się tam coś innego niż melina, która pamiętała niechlubny pochod zakazanych substancji: opium, potem heroina, następnie crack, a na końcu metamfetamina.

Czwórka bez grosza zajęła opustoszały grunt, ustawiła sprzęt i porozciągała kable. Całą przestrzeń zajmowały stosy cegieł i kawałki ścian, jak również stojące pod najróżniejszymi kątami betonowe płyty, niczym pijana wersja Stonehenge.

Brat Carlosa, Hector, był szycią w Latynoskich Bykach, gangu, który rządził w okolicy. Wiele miejscowych dzieciaków śmiało się z prób Carlosa wydostania się z ubóstwa przez edukację, ale nie

brat. Hectora (który stracił prawy mały i serdeczny palec podczas walki na noże) rozpierała duma z młodszego brata, którego nazywał „małym geniuszem”. Otoczył grupę ochroną w trakcie weekendowych badań.

Chociaż nikt oprócz Jake’a i tak się nie przejmował. Shamiqua, urodzona i wychowana w Harlemie, doskonale znała życie na ulicy. Ché był pyskatym Wietnamczykiem z Brooklynu. Wiedzieli, kiedy się stawiać, kiedy milczeć, a kiedy spieprzać. Jednak Jake’a, największego i najtwardszego z nich, chłopca w męskim ciele, który mógłby pokonać jurnego byka, któremu ktoś owinął jaja kawałkiem zardzewiałego drutu kolczastego, miasto przerażało.

– Jezu, Carlos, denerwuje mnie to wszystko – wyrzucił z siebie Jake, wpisując coś na laptopie podłączonym do półtuzina urządzeń. – Jesteśmy tu już trzy godziny, a jedyną białą osobą, którą widziałem, był policjant. Wyglądał na zbyt mądrego, żeby się zatrzymywać.

Carlos pociągnął kabel do opuszczonego budynku kilkaset metrów od swojego bloku.

– Przystaniesz wreszcie jęczeć? Boże, smutne, że tak jak wszyscy chłoniesz rasistowską papkę przygotowaną przez wybielone media.

– Pieprz się, Carlos – odpowiedział, nie odrywając wzroku od komputera. – Coś tu jest nie w porządku.

Wewnątrz mieszkania można było wręcz posmakować dumę. Wyregulowali ustawienia dwóch monitorów, zestawionych obok siebie na cienkim, ale stabilnym stole, załatanym gdzieś czarną taśmą izolacyjną – meble dla biedoty utrzymywały własność uniwersytetu wartą jakieś dwadzieścia tysięcy.

Jake i Ché usiedli na składanych krzesłach, każdy przed monitorem, doregulowując pożyczone urządzenia.

Shamiqua stała za Jakem, masując jego wielkie ramiona.

– Wiesz co? – zapytała. – Jest jedna rzecz w teorii doktora P, która nie trzyma się kupy. Powiedział, że te stworzenia są wystarczająco

mądre, aby unikać ludzi, ale jak się nad tym zastanowisz, to przecież niemożliwe.

Carlos pokręcił głową.

– Powiedział, że nie ma żadnych zapisków tego, że ludzie je *widzieli*. Więc założyliśmy, że prawdopodobnie nauczyły się dobrze ukrywać na początku powstawania cywilizacji. Wiesz, jeśli mieszkańcy pierwszych miast zobaczyliby te stworzenia, to by je zabili. Jak szczury.

– Czy to nie jest darwinizm? – zapytał Jake. – Szybko się schowaj albo wylatujesz z puli genów?

Shamiqua pokręciła głową.

– Nie o to mi chodziło. Popatrz na przykład na nasze miasto. Miliony ludzi. Nawet w największej ruinie są bezdomni, narkomani, dilerzy, ćpuni albo dzieci szukające miejsca do zabawy. Nie ma czegoś takiego jak całkowicie opuszczony budynek. Nieważne jak dobrze snipy unikają ludzi, prędzej czy później ktoś by je zobaczył. Stałyby się pewnie legendą, jak Wielka Stopa czy potwór z Loch Ness, wiesz, bez dowodów, jedynie z wątpliwymi, naocznymi świadkami. Ale nie ma niczego takiego.

Ché wzruszył ramionami.

– Kogo to obchodzi? Od początku to bujda.

– Nie, ona ma rację – powiedział Carlos. – Musimy zmodyfikować teorię doktora P, żeby pasowała do obserwacji, i wiem, jak to zrobić. Jedyne co ma sens to to, że jeśli ktoś zobaczył snipy, snipy pozbywają się tej osoby, zanim zdąży o tym opowiedzieć. Są wystarczająco mądre, aby zabić każdego, kto odkryje ich tajemnicę.

Shamiqua wybuchła śmiechem i przybiła piątkę Carlosowi.

– Właśnie dlatego cię kocham, chłopie! Nie ma innej możliwości, jedziemy na safari z doktorem P. Jesteś moim intelektualnym P.G.

Jake obrócił się na krześle.

– Kim do cholery jest P.G?

– To znaczy „prawdziwy gangster”, głupku – odpowiedział Ché, po czym kontynuował, przedrzeźniając przeciągły sposób mówienia Jake’a. – To główni członkowie gangu. *Gdybyście* buraki nie

spędzali tyle czasu, patrząc za siebie, to *byście* przyjechali do miasta i może *byście* się czegoś nauczyli.

Śmiali się, ale Jake spochmurniał.

– Was to bawi, co nie? Chętnie się odpłacę. Jak będzie następny zjazd Klanu, zabiorę was do siebie, żebyście sobie na nich popatrzeli. Zobaczymy, czy poczujecie się bezpiecznie.

Analogia zobrazowała im niepokój Jake'a. Pozostała trójka postanowiła się na razie nie odzywać.

Obudził ich zapach bekonu z czarnym pieprzem i przyprawami cajun. Rozsiedli się wokół małego stolika, w trakcie różnych etapów ubierania się, śmiali się i zabawiali drobną matkę Carlosa opowieściami z uczelni. Promieniowała matczyną dumą niczym bezcenny diament.

Mimo że projekt ich ekscytował, nie zajęli się od razu taśmami wideo i monitorami. W końcu polowanie na snipy i wszystko co robili, miało na celu wymyślenie wnikliwego sposobu udokumentowania życia stworzenia, które przecież nie istniało.

Jedli ochoczo, pochłaniając jajka wraz z kromkami tostów i wielkim talerzem ostrego bekonu. Ché jako pierwszy odszedł od stołu w stronę monitorów. Carlos siedział obok mamy, rozkoszując się porankiem, rodziną, przyjaciółmi, szczęściem i tym, że udało mu się uniknąć broni, gangów i przemocy. Shamiqua przeniosła się na kanapę, by obejrzeć trochę porannych kreskówek, natomiast Jake odmówił odejścia od stołu, dopóki matka Carlosa nie skończy śniadania.

W powietrzu emanowało ciepło i rozleniwienie studenckiego mieszkania zaraz po zakończeniu sesji. Pozostawało tylko pławić się w luksusie nicnierobienia. Czar prysł, gdy Ché przewinął i, z niedowierzaniem, po raz trzeci obejrzał taśmę.

– Hej! – zawołał drżącym głosem. – Chyba powinniście to zobaczyć.

Pozostali zauważyli jego ton głosu, jednocześnie podekscytowany, zdenerwowany i przestraszony. Zebrali się wokół

stołu. Jake wsunął się w drugi fotel, jak drugi pilot reagujący na zaniepokojenie kapitana.

– To nagranie w podczerwieni – powiedział Ché. Uruchomił odtwarzanie. Patrzyli na ekran wypełniony wzorami z czerni, niebieskiego i zielonego. Nagle, jak sygnał alarmu, z lewej strony nadeszła czerwona plama. Przepłynęła bez celu, zatoczyła koło, a następnie wspięła się na kilka centymetrów na ścianę, zanim zniknęła.

– To tylko sznur – powiedział Carlos.

Jake wskazał na ekran. Jego głos przybrał podobną barwę jak Ché.

– Spójrz na skalę. Jeśli tu masz centymetr, to to coś miało trzydzieści centymetrów wysokości. Z tego co wiem, sznury nie chodzą wyprostowane. Ché, możesz to powiększyć?

Ché przewinął kawałek i wklepał coś na klawiaturze. Rozmazany obraz powiększył się do rozmiaru czerwonego kleksa. Komentarz był zbyteczny – najpierw wyglądał, jakby szedł na czterech nogach, a potem stanął na dwóch i poszedł w kierunku ściany, zanim wspiął się i zniknął, pozostawiając jedynie błękit, zieleń i czerń.

– Czyli to szalony sznur – rzucił Carlos. – Sznury stają na tylnych łapach cały czas. Są cholernie mądre i wiedzą, jak sięgać po rzeczy. A jeśli nigdy nie widziałeś sznura długości stopy, to musisz dłużej pomieszkać w *me Barrio, esé*.

– To nie tylko jedyny przypadek – powiedział Ché. Sięgnął po drugi monitor i przywołał podobny obraz niebieskości i czerni z pociągnięciami rozmazanej czerwieni. – Zaprogramowałem śledzenie ruchu, tak żebyśmy mogli obserwować zachowanie każdego snipa. Im jaśniejszy czerwony, tym większe natężenie ruchu.

Obraz przedstawiał szeroki kadr przyprószonej betonem parceli. Grube czerwone smugi znaczyły ekran niezaprzeczalnymi ścieżkami, biegnącymi wokół gęstego rumowiska i budynków z każdej strony.

– Jezu – powiedziała Shamiqa. – Tyle ruchu, że to wygląda jak cholerne trakty wydeptane przez zwierzęta.

Ché śledził palcem czerwone linie na ekranie.

– I ruch jest bardzo pewny, bardzo regularny. Zauważcie, że nie ma plam ani niewyraźnych czerwonych linii, czego można by się spodziewać po losowo poruszających się szczurach lub wiewiórkach. Carlos, właśnie to mnie przestraszyło, ta regularność. Zagęszczenie ruchu jest porównywalne z chodzącymi ludźmi, jak po chodniku.

Carlos spojrział na pozostałych.

– Nie myślicie chyba, że faktycznie znaleźliśmy pieprzone snipy? Nikt mu nie odpowiedział.

– Myślicie, że szczury są głupie? Chodzą po linii najmniejszego oporu. Mają trasy jak każdy inny ssak, to wszystko, co widzimy: ślady szczurów. Ché, masz to wszystko z oznaczeniem czasowym?

– Jasne.

– Dobrze. Więc pokaż rzeczywisty obraz dla tego podczerwonego ruchu, który nam pokazałeś na początku, i zobaczcie, że to tylko cholerny, wielki szczur.

Jake pracował na drugiej klawiaturze, wpisał znacznik czasu i wywołał cyfrowy obraz wideo terenu. Obraz przedstawiał rozpoznawalne rumowisko, pordzewiały metal i trawę, które wcześniej widzieli jedynie jako zimne kolory.

– Idzie – powiedział Jake – ...teraz.

Coś poruszyło się po lewej stronie, ale kryło się w cieniu. Jake przewinął taśmę, powiększył i poprawił obraz. Uruchomił odtwarzanie. Film zaczął się ruszać. Pierwszy raz obejrzeli go bez słów. Jake przewinął taśmę bez ponaglenia, a potem nałożył na film obraz w podczerwieni. Obejrzeli go ponownie, tym razem w zwolnionym tempie, żeby się upewnić, że nie mają grupowych zwidów.

– Kamuflaż – bezgłośnie szepotała się Shamiqa. – Ja pierdole.

Obejrzeli nałożone obrazy po raz trzeci. Żarzący się czerwony kleks poruszał się jak wcześniej, ale normalne wideo pokazywało plamę jako duży kawałek zmiętej gazety. Kleks podszedł do ściany, wspiął się szybko i zniknął, pozostawiając gazetę, która delikatnie opadła na ziemię.

Wyszli z budynku i rozproszyli się po rumowisku. Po obejrzeniu taśmy czwarty, piąty i szósty raz narzysowali mapy, których mogli teraz użyć do zbadania obszarów o największym natężeniu ruchu.

Jake i Ché rozdzielili się z mapami w rękach i przeczesywali teren. Carlos i Shamiqua zostali razem, powoli badali grunt w poszukiwaniu śladów stóp, kępek sierści, cegokolwiek.

– Musi być jakieś wyjaśnienie tego, co zobaczyliśmy – powiedział Carlos.

Shamiqua zmarszczyła brwi.

– Znalazła się pieprzona agentka Scully. Cokolwiek widzieliśmy, używało gazety jako maskowania.

– To nie znaczy, że znaleźliśmy cholernego *snipa*. Może to tylko mądry szczur.

– Wystarczająco mądry, żeby używać kamuflażu do ukrycia się przed drapieżnikami i ludźmi? Nie wydaje ci się, że sam ten fakt kwalifikuje tego szczura jako *snipa* doktora Pilliona?

– Daj spokój, Shammie. Całe te *snipy* to tylko test zaprojektowany tak, żeby sprawdzić waszą pomysłowość. One *nie* istnieją.

Wstała.

– Może tak właśnie powinniśmy myśleć. Albo, znając doktora P, tak powinniśmy założyć. Może dobrze wie, że te stworzenia tam są i czekał, aż jacyś studenci je znajdą.

Carlos spojrzał na nią zdziwiony.

– Daj spokój, *nie możesz* w to wierzyć. To są zmyślone zwierzęta. Jeśli tu coś znajdziemy, on tego nie planował i na pewno o niczym nie wie. Podejźmy do tego na spokojnie.

Zatrzymali się dziesięć stóp od ściany, gdzie zniknęła czerwona plama. Carlos zawołał Jake'a i Ché machnięciem ręki.

– Znaleźliście coś? – zapytał Jake.

Carlos pokręcił głową. Ché rozejrzał się uważnie.

– Coś tu jest nie tak. Wiem, że tu jest głównie trawa i beton, ale tam, gdzie widzieliśmy największy ruch, jest mnóstwo ziemi. Powinny być jakieś odciski, ślady. Powinniśmy znaleźć cokolwiek.

– *Snipy* nie zostawiają śladów – odpowiedziała Shamiqua. – Są na to zbyt mądre.

Carlos odwrócił się do niej.

– Zamknij się, Shammie. Nie ma żadnych snipów.

Ché położył rękę na ramieniu Carlosa.

– Wyluzuj. Nie pękaj.

Jake stał wyprostowany, jego znoszony, kowbojski kapelusz kontrastował z miejskim rumowiskiem.

– Spokój – powiedział zimno i władczo. – Wracamy do mieszkania.

Poszli za nim, ufając jego intuicji wypracowanej na polowaniach. Odezwał się cicho w połowie drogi.

– Mamy do czynienia ze zwierzętami używającymi kamuflażu, zwierzętami, które zacierają ślady. Musimy to przemyśleć.

– Nie rozumiem – powiedział Ché. – Na co czekamy? Znaleźliśmy je, więc przeszukamy budynek i sprawdzimy, czy jakiegoś zauważymy.

Shamiqua pokręciła głową.

– Możemy szukać, ale nic nie znajdziemy. Zarejestrowaliśmy, że to miejsce zalało stado snipów albo szcurów, nieważne, i nie mogliśmy znaleźć nawet jednego śladu ani żadnego dowodu ich istnienia. A biegały ich tu setki. W związku z tym wątpię, żebyśmy znaleźli cokolwiek w budynku. Snipy nie będą leżeć do góry wentylem i czekać, aż do nich przyjdziemy.

Czwórka bez grosza wróciła do mieszkania. Jake i Ché znowu usiedli przy monitorach, Carlos z Shamiquą stanęli za nimi.

– Musimy pilnować naszego zapachu – powiedział Jake. – Jeśli one gnieźdzą się w tym budynku, nie możemy niczego dotykać, dopóki nie będziemy gotowi.

Ché zmarszczył brwi zmieszany.

– Zapach? To nie jest polowanie na dużego zwierza, Wspaniałe Białe Myśliwy, nie dajmy się ponieść fantazji.

Jake kontynuował, nie zwracając uwagi na Ché.

– To już nie jest hipotetyczne. To polowanie i jestem jedynym, który coś o tym wie. Jeśli wejdziemy do tego budynku, to nasz zapach będzie wszędzie. One go wyczują i pewnie znikną na dobre.

Ché wzruszył ramionami.

– To jak mamy tam wejść, nie wchodząc?

– Pójdziemy prosto przez ścianę – powiedział Jake. – Ponieważ te stworzenia są tak dobre w ukrywaniu się przed nami, musimy wziąć budynek szturmem. Przedrzeć się z mieszkania prosto do dziury. Zajrzemy do środka, a potem wparujemy przez ścianę. To są pustaki, mogę się przez nie przebić młotem w trzydzieści sekund. Patrząc na ruch przez tę dziurę, kiedy się przebijemy, powinniśmy trafić w sam środek snipowej autostrady.

Ché zerkał to na ekran, pokazujący snipową ścianę, to na Jake'a.

– I co potem? Wejdziemy na snipowe roгатki i co?

Carlos sięgnął pod stół i zaczął przeszukiwać stertę czarnych skrzynek ze sprzętem. Podniósł jedną, ustawił na blacie i otworzył. Wewnątrz leżały dwa chromowane pistolety na sprężone powietrze ze środkiem usypiającym.

– Wiecie, poprosiłem o nie doktora P tylko po to, żeby dostać więcej punktów. Żeby mu pokazać, że pomyśleliśmy o wszystkim. Wygląda na to, że jednak się przydadzą.

Shamiqua podniosła jeden pistolet.

– Musimy jednego *złapać*. Jak tylko będziemy mieli okaz, albo potwierdzimy wszystko, albo odkryjemy, co się tutaj dzieje. Cokolwiek zrobimy, najważniejsze, żeby złapać skubańca.

Zamilkli. Jak zwykle wszystkie oczy zwróciły się w stronę Carlosa. Wpatrywał się w przestrzeń, a potem skinął głową.

– Shammie ma rację. Musimy jednego złapać. Zrobimy to dziś w nocy, tak jak powiedział Jake. Shammie, razem z Ché zostanieie tu i jeszcze raz przejrzycie taśmy. Poszukajcie czegoś, co może się przydać w nocy. Jake, pójdiesz ze mną. Musimy kupić młot.

Jake wyglądał, jakby perspektywa chodzenia po okolicy go niepokoiła, ale poszedł.

O 23:50 Czwórka bez grosza wybiegła z budynku jak oddział SWAT otaczający seryjnego zabójcę. Podążali za Carlosem, który dobrze znał rumowisko i w niecałą minutę byli przy dziurze.

Carlos niósł grubą latarkę i pistolet ze środkiem nasennym. Ché trzymał drugi, Shamiqua przenośną kamerę wideo z reflektorem,

a Jake taszczył dziesięciokilowy młot.

Lekko sapiąc, Carlos ukląkł i poświecił latarką do środka dziury. Zobaczył gwałtowny ruch, może kawałek brązowego futra, ale zniknął tak szybko, że ledwo to zauważył.

– Widziałem coś! – Wstał, na jego twarzy odbijało się podekscytowanie, oczy lśniły radością pościgu. – Dajesz, Jake! Teraz!

Jake zamachnął się młotem w poziomie. Płynnymi i wprawionymi ruchami, jakby robił to milion razy. Pustaki wręcz wyparowały po zetknięciu z młotem, wzbijając kłęby szarego pyłu, rozrzucając odłamki we wszystkie strony. Odchylił się i uderzył ponownie. Z każdym uderzeniem znikał kolejny pustak. Dotrzymał słowa, po niecałych trzydziestu sekundach przez dziurę dało się przejść.

– Chodźmy – powiedział Carlos. Przeprowadził najpierw Ché, a potem Shamiqę. Gestem ponaglił Jake’a, ale wielki Teksaszczyk pokręcił głową.

– Nie wchodzę tam, wodzu – powiedział Jake. – Nie ma bata.

– O czym ty mówisz? To był twój pomysł.

– To na pewno jest jakaś melina. Znajdziecie tam tylko szalonych ćpunów.

– Jezu, Jake, nie wciskaj mi tu kitu.

– Prędeż ogolę sobie klejnoty kosiarką. Oddaj mi usypiacz. Użyję tamtych kawałków betonu jako kryjóWKi. Jeśli zapędzicie coś na zewnątrz, to to załatwię.

Carlos zaczął protestować, ale uznał, że to bez sensu. Już samo przebywanie w mieście nocą na zewnątrz przerażało Jake’a, a co dopiero zamknięcie w opuszczonym budynku.

Carlos oddał mu pistolet. Obrócił się i precyzyjnie przeszedł przez poszerzoną dziurę. Ché i Shamiqua czekali na niego po drugiej stronie. Carlos wziął drugi pistolet od Ché. Ché nie protestował.

Pomieszczenie wyglądało, jakby znajdowało się tu kiedyś biuro. Po podłodze wałały się strzępy spleśniałego papieru, a w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Kawałki metalu i niezliczone odłamki szkła mieniły się w snopach światła, którymi omiatali ciemność. Trójka błyskawicznie zauważyła miejsca na podłodze, których nie

pokrywał kurz. Jakby ścieżki prowadzące do kolejnych dziur i pustych otworów drzwiowych.

– Tutaj już nie są takie staranne – powiedziała Shamiqua. Lustrowała pomieszczenie kamerą, jedno oko miała zaciśnięte, a drugie ukryte za wizjerem.

Carlos wyszedł z pokoju, podążając za głównym traktem, który prowadził w dół korytarza. Szedł szybko, licząc na to, że pozostali za nim nadążą.

Ruch.

Brązowa smuga zniknęła za rogiem. Rzucił się w pogoń, biegł niezdarnie, próbując utrzymać pistolet i latarkę przed sobą.

Skreślił za róg i w świetle latarki zobaczył pasek brązu. Zaryzykował i strzelił. Gdy pociągnął za spust, rozległ się dźwięk uderzenia, a potem syk uwalnianego powietrza. Cichy skrzek, potem cisza.

– Chyba go mam!

Ruszył szybko przed siebie, w kierunku miejsca, w które strzelił, ale nic nie znalazł. Pozostała dwójka dobiegła do niego, zdyszana sprintem przez ciemny korytarz. Światła latarek chaotycznie oświetlały podłogę. Carlos zobaczył to pierwszy, jednocześnie rozczarowany i podekscytowany. Para wyraźnie zarysowanych śladów, odcisków małych łap, z szeroką smugą pomiędzy, jak gdyby dwa małe zwierzęta ciągnęły trzecie. Ślady prowadziły przez dziurę w ścianie, wysoką na niecałe piętnaście centymetrów.

Shamiqua gapiła się na ślad.

– Co do cholery? Trafiłeś jednego, a dwa pozostałe zaciągnęły go tam?

– Na to wygląda.

– O Boże, Carlos! To niesamowite! Troszczą się o rannych.

– To duże założenie – odpowiedział Carlos, nie do końca przekonany co do prawdziwości snipów albo chociaż prawdziwości *bardzo* mądrych szcurów. – Może instynktownie zabierają martwych, żeby ludzie ich nie znaleźli. To nie musi oznaczać współczucia. W rzeczywistości...

– Hej – powiedział Ché – chodźcie to zobaczyć.

Carlos i Shamiqwa odwrócili się. Ché oświetlał obiekt leżący na brudnej podłodze korytarza.

Kawałek metalu odbijał światła ich latarek. Mienił się jaśniej niż pozostałe metalowe śmieci, które widzieli. Carlos go podniósł. Dwudziestocentymetrowe, metalowe ostrze, kiedyś kawałek noża, przymocowano do dwudziestopięciocentymetrowego, drewnianego drąga. Metal został przywiązany bardzo cienką nitką, może żyłką wędkarską.

– O kurwa – rzucił Carlos. – To włócznia.

Shamiqwa powoli skinęła głową.

– Używają narzędzi. Doktor P wspominał, że prawdopodobnie używają narzędzi.

Głos Ché drżał w zakurzonej ciemności.

– Włócznia długości stopy? Na co to się przyda?

– Na pewno nie na ludzi – odpowiedziała cicho Shamiqwa. – Ale jeśli masz stopę wzrostu, to jest jak halabarda albo pika, czy coś.

Ché pokręcił głową, miotał się między niedowierzaniem a przerażaniem.

– O czym wy mówicie? To jest *broń* snipów?

– Dokładnie – powiedział Carlos. Nagle poczuł się zażenowany i głupi. Nie zachowywał się w ogóle jak naturalista. Odkryli zwierzę o niezwykle zachowaniach. Zamiast obserwować, dał się namówić na bezmyślne wdarcie się do tego budynku, bez zastanowienia, czy to jest bezpieczne. Nawet jeśli snipy istniały, a wygląda, że tak, tę włócznię musiało zrobić jakieś dziwne dziecko. Zignorował wniosek, do którego doszedł z Shamiquą, że aby przetrwać, snipy musiały eliminować ludzi, którzy je odkryli. To przecież jedynie domysły i hipotezy, część zabawy, tylko że to już nie była zabawa.

Carlos odwrócił się do przyjaciół.

– Znajdźmy Jake'a i wynośmy się stąd. Może się mylimy i istnieje proste wyjaśnienie. To może być zabawka dziecka albo coś. Ale jeśli to *jest* broń, nie chcę wiedzieć, czy mają jej więcej.

Wracali przez budynek w stronę dziury. Cienie skakały i tańczyły poruszane przez chaotyczny ruch latarek, wysyłających strumienie światła w każdy róg i każdy zakamarek. Ciemność zawisła

w budynku, jak lepka, czarna bawełna, przywierająca do każdej powierzchni.

Kilka razy wydawało im się, że słyszeli ruch: tupot małych stóp, albo gorzej, szuranie małej włóczni o cegły albo beton. Czy snipy się skradały, obserwowały? Dotarcie do dziury zajęło im trwającą dwie minuty wieczność. Shamiqua przeczołgała się pierwsza. Nigdy nie była tak wdzięczna, że ujrzała nocne niebo i migoczący blask latarni. Za nią przeszedł Carlos. Ché wyszedł ostatni; automatycznie poszedł sprawdzić sprzęt.

Jake zniknął.

– Kurwa – rzucił Carlos. – Gdzie on, do diabła, jest.

– Może poszedł dokoła budynku? – powiedziała Shamiqua.

Carlos pokręcił głową.

– Nie ma szans. Przeraża go to miejsce i powiedziałem mu, żeby nie opuszczał parceli.

– Myślisz, że go napadli?

– Raczej nie. Mój brat tu rządzi i ma ludzi, którzy pilnują, żeby się tu nikt nie kręcił. Może Jake wrócił do mieszkania, żeby się wysrać.

Pełen strachu i lęku głos Ché rozdarł ciemność.

– Okurwakurwakurwa! Chodźcie tu! Chodźcie tu natychmiast!

Carlos i Shamiqua pobiegli do Ché, który klęczał przed stertą gruzu. W niej leżała kamera, a raczej to, co z niej zostało. Rozbita setka kawałków.

– Cholera! – Głos Ché zbliżał się do granicy historycznego krzyku. – Carlos, mówiłeś, że twój brat będzie chronić ten sprzęt! Wiesz, ile coś takiego kosztuje?

Carlos patrzył z niedowierzaniem. Przeszyło go lodowate zimno, jakby sama śmierć zaciskała mu palce na szyi.

– Sprawdźmy resztę sprzętu – powiedział. – Mam złe przecucie.

Pobiegli do skanera na podczerwień. Również został nieodwracalnie rozbity. Sprawdzili wszystko: kamery, mikrofony ultradźwiękowe, detektory ruchu. Wszystko zniszczone.

Ché podniósł mikrofon, zobaczył, że jest połamany i rzucił go z powrotem na ziemię.

– Cóż, tak moje życie idzie się jebać. Mamy sprzęt wart pięćdziesiąt kawałków i jestem za niego odpowiedzialny. Mówiłeś, że twój brat będzie pilnować tego gówna, Carlos! Cholerni wandale, przyszli i... Jestem w dupie.

Carlos położył rękę na ramieniu Ché.

– Ché, posłuchaj. Nie wydaje mi się, żeby to byli wandale.

– Pewnie, że nie. Ktoś tylko chciał *pomóc*? A może zrobiły to pieprzone snipy?

– Dokładnie o tym pomyślałem – odpowiedział Carlos. Ché błyskawicznie przeszedł ze wściekłości w przerażenie. Shamiqwa patrzyła na Carlosa szeroko otwartymi oczami, obejmując się mocno rękoma. – Myślę, że one wiedziały, że je obserwujemy. Nie wiem jak, ale musiały. Myślę, że doktor Pillion miał więcej racji, niż mu się wydawało. Te stworzenia zrobią wszystko, żeby utrzymać tajemnicę, a my znaleźliśmy sposób, żeby je ujawnić. Zagwarantowałem, że nikt nie przejdzie przez ludzi mojego brata. Dlatego zniszczyły kamery.

Ché pokręcił głową.

– Ale to *niemożliwe*. Jak zwierzęta skojarzyły swoje bezpieczeństwo ze sprzętem elektronicznym? To szaleństwo!

Carlos przytaknął.

– Szaleństwo czy nie, tak się stało. One są mądre. Słuchajcie. Jeśli zorientowały się, do czego służą kamery, musimy założyć, że są wystarczająco mądre, żeby wiedzieć, gdzie prowadziły. Musisz wrócić do mieszkania i zabezpieczyć dane. Bez nich nic nie mamy. Ja z Shamiquą poszukamy Jake'a. Jeśli jest w mieszkaniu, przyjdźcie do nas, ale się nie rozdzielajcie. Jeśli go nie ma, zostań tam.

Ché skinął głową i pobiegł w stronę bloku. Carlos i Shamiqwa wrócili do dziury i światłem latarek przemiatali okolicę. W milczeniu oddalali się od otworu coraz szerszym łukiem.

Latarka Shamiqui oświetliła niewielką moką plamę. W świetle ulicznych świateł nie dało się dokładnie określić koloru, ale przeszło ją lodowate ukłucie zimna, bo wiedziała, że jest czerwony.

– Carlos. – Nie musiała mówić nic więcej. Podeszli do mokrej plamy i znaleźli następną i następną. Rozmazana smuga prowadziła w górę i za stertę rumowiska z pustaków.

Za nią leżał Jake Longdale.

Bez ruchu, na plecach, z koszulą pokrytą wilgocią, która w słabym świetle wyglądała na oleście czarną. Jednak promień latarki ujawniał jej czerwony kolor.

– O kurwa – powiedziała Shamiqua. Zamarła w bezruchu.

Carlos przeskoczył przez gruzu i ukląkł przy przyjacielu. Wszędzie było mnóstwo krwi. Sprawdził puls – brak.

– Nie żyje. – Jego głos był odległy i obojętny.

– Kurwa – ponownie przeklęła. Ledwo stała, słaniając się na nogach. Łzy ciekły strumieniem po jej twarzy. – Boże, Carlos, co tu się stało?

– Został dźgnięty. Wielokrotnie.

– Chyba nie myślisz, że to..., że zabiły go... Snipy?

Carlos nagle zrozumiał, że to wszystko jest prawdą. Snipy istnieją. Czwórka bez grosza je odkryła, co oznaczało, w świadomości snipów, że Czwórka bez grosza musi umrzeć. Każdy, kto wie o snipach, musi umrzeć. I to w sposób sugerujący ludzi. Zrozumiał, że policja uzna śmierć Jake'a za morderstwo, a nie atak zwierzęcia. Autopsja wykaże wielokrotne rany kłute. Ta część miasta jest niebezpieczna, więc jedno więcej nierozwiązane, przypadkowe morderstwo nie robi różnicy.

– Jezu Chryste, Carlos – wyrzucała zdławione słowa Shamiqua. – Czym one są, do cholery? Jak bardzo inteligentne?

– Wystarczająco, żeby wiedzieć, że muszą się bronić. Chodź, Shammie, zmywamy się stąd.

Wziął ją za rękę i odciągnął od ciała Jake'a. Szybko przemierzali zdewastowany teren, światłami latarek odnajdywali drogę w labiryncie szczerbatych betonowych płyt, zardzewiałego żelaza, porcelany i potłuczonego szkła. Nagle jego wzrok przykuło inne, jaśniejsze, drgające światło. Spojrzał w górę.

Jego dom pochłaniały płomienie. Ogień wylewał się z okien mieszkania jego matki na drugim piętrze, obrzucając gorejącą łuną opuszczoną okolicę. Skłębione, czerwone płomienie objęły drzwi bloku. To miejsce od zawsze było jak pudełko zapalek, gdy nadarzyła się okazja, ogień rozprzestrzeniał się tak szybko, że przypominał żywe stworzenie.

– O nie!

Puścił dłoń Shamiqoui i pobiegł w stronę budynku, do swojej rodziny, do Ché, który został uwięziony wewnątrz.

Shamiqua biegła, żeby za nim nadążyć. Zauważyła ruch przed Carlosem. Coś przy ziemi, *kilka* cosiów. Oświetliła to miejsce.

I je zobaczyła.

Ułamek sekundy rozciągnął się w jej głowie, uwieczniając każdy szczegół. Mimo że stała w odległości dobrych czternastu metrów, widziała wszystko wyraźnie. Smukłe stworzenia wysokie na stopę. Wielkie, czarne oczy. Szpiczaste, stożkowe nosy. Nakrapiane szare futro. Trzy. Dwa trzymały platformę, każdy po jednej stronie, jakby mała skrzynka była królewską lektyką. Trzecie stworzenie stało za nimi, trzymało grubą sznurek biegnący do dziwnego pasażera lektyki.

Kolta .38 special.

– Carlos! – tylko tyle zdążyła krzyknąć, nim ostatni ze snipów pociągnął za sznurek, który pociągnął spust. Broń wypluła z siebie krótki pomarańczowy stożek. Carlosem szarpnęło, czerwien natychmiast zalała jego ramię. Zdołał zrobić jeszcze dwa kroki, nim lektykarze skorygowali pozycję, a snip Cynglarz ponownie pociągnął sznurek. Kolejny pomarańczowy stożek.

Carlos upadł, trzymając się za brzuch.

Shamiqua spojrzała na niego, a następnie z powrotem na snipy. Jak mała jednostka artyleryjska obracali platformę z bronią w kierunku głowy chłopaka.

Dzieciństwo na ulicach nauczyło ją czujności. Wyczuła ruch za sobą. Nie dała sobie czasu do namysłu, zareagowała instynktownie.

Biegła.

W lewo, w stronę przeżartego przez rdzę Hippiebusa. Za jej plecami rozległ się wystrzał, świszcząca kula uderzyła w pustak pod jej nogami. Gorący odłamek wrył się w jej łydkę, ale nie przestała biec. To pewnie druga jednostka artyleryjska; tym razem ona była celem.

Strzał po prawej – wiedziała, że Carlos nie żyje.

Promień latarki odbijał się chaotycznie z każdym krokiem. Pędziła co sił, gubiąc rytm, wyciągnęła kluczyki. W Nowym Jorku

biegała tak wiele razy. Nie pierwszy raz została postrzelona, nie pierwszy raz zastrzelono jej przyjaciela. Weszła w tryb przetrwania, walka albo ucieczka, wyparła wszystkie myśli o Carlosie, Ché, Jake'u. Wszystkie myśli o snipach.

Kolejna kula gwizdnęła obok jej lewego ucha, ale dziewczyna dotarła do vana bez szwanku. Jednym ruchem szarpnęła za drzwi i zanurkowała do środka, wsunęła kluczyk w stacyjkę i odpaliła samochód. Ruszyła z piskiem opon, przy protestach skrzyni biegów. Nie oszczędzała silnika – bus mknął ulicą, oddalając się od rozprzestrzeniającego się pożaru, od niebezpieczeństwa.

Doktor Pillion patrzył na Shamiqę. Siedziała w jego gabinecie, drżała mimo opatulającego jej ramiona koca. Błyszczące łyzy spływały po czekoladowej skórze. Jej opowieść była niedorzeczna, ale znał tę dziewczynę od czterech lat. Nie była głupia. Nie, bardziej niż mądra, Shamiqua była *bystra*. Wnikliwy obserwator, który nie daje się ponieść histerii ani wyolbrzymieniom. Mimo całej absurdalności jej historii wiedział, że mówi prawdę.

– Jest pani pewna, że wszyscy nie żyją?

Na myśl o straceniu Carlosa ścisnęło mu gardło, o pozostałych chłopcach również, mimo że prawie ich nie znał. Tacy młodzi, obiecujący, tyle mogli się nauczyć, a teraz odeszli.

Shamiqua jedynie pokiwała głową, szlochając. Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś? Dlaczego nas nie ostrzegłaś?

Doktor Pillion zdławił własny płacz. Mimo, że nie mógł tego przewidzieć, trawiło go poczucie winy.

– Założyłem, moja droga, że to tylko głupia teoria. Nie miałem pojęcia, że one istnieją, nigdy nie brałem tego na poważnie. Ale wygląda na to, że zajęły nisze dokładnie tak, jak opisałem. Rozpoznała pani stworzenie? Czy to szczury? Może szopy?

– Nie. Wydaje mi się, że je rozpoznałam, ale to nie ma sensu.

– Czym według pani były.

– Wyglądały jak, coś jakby... surykatki... brązowe, nakrapiane pieski preriowe.

Słowa uderzyły w doktora Pilliona. Jeśli miał jakieś wątpliwości do czegokolwiek w jej historii, wszystkie zniknęły w tym momencie. Surykatki, małe mieszkające w norach ssaki z afrykańskich pustyń. Bardzo inteligentne, żyją w grupach i wykazują niesamowite zdolności współdziałania podczas pracy, takiej jak kopanie czy budowanie legowisk. Ale najważniejszą rzeczą są ich łapy; małe, ale chwytne, tak zręczne jak u małpy. Z lekkim ewolucyjnym *popchnięciem* są wystarczająco inteligentne, żeby wypełnić „nisze snipów”. I idealnie pasują w czasie. Kolebka cywilizacji? Egipt, gdzie surykatki mogły bez trudu wypełniać dziwne, nowe nisze zapewnione przez rozwijające się ludzkie miasta. Stworzenia te są wystarczająco sprytne, żeby żyć na obrzeżach cywilizacji, niezauważone mogły docześcić się do łodzi, karawan, potem do innych miast, a stamtąd rozprzestrzenić się tak jak szczury. Tam, gdzie budowano miasta, pojawiały się i surykatki.

– Doktorze, one po mnie przyjdą. – Jej głos był cichy, słaby, pogodzony z końcem. – Wiem o nich. Zabiją każdego, kto o nich wie.

Doktor Pillion ukląkł przy niej, chwycił jej drżącą dłoń.

– Nie przyjdą po panią, moja droga. Jesteśmy osiemdziesiąt kilometrów od miasta, tu jest bezpiecznie.

Pokręciła głową. Jej wzrok przeskakiwał na każdy element w pokoju.

– To nie ma znaczenia. Dopadną mnie.

Pogładził jej dłoń. Bezspornie była w szoku. Kto by nie był? Zobaczyła fikcyjne zwierzę, które istniało i brutalnie zamordowało jej przyjaciół. To, że w ogóle mogła mówić, świadczyło o jej odporności. Nie poczuje się bezpiecznie, dopóki nie znajdzie się z dala od budynków, gdzieś, gdzie nie ma żadnych kryjówek.

– Proszę posłuchać – powiedział. Wyciągnął rękę i delikatnie obrócił jej głowę, tak żeby spojrzała mu w oczy. – Wyśle panią na ranczo moich rodziców w Arizonie. Dalej od miasta się nie da. Snipy wyewoluowały do życia w przestrzeni miejskiej, więc tam będzie pani bezpieczna, mam rację?

Powoli skinęła głową.

– Dobrze. Proszę wrócić do siebie i się spakować. Zadzwonię do jednego z moich doktorantów, żeby po panią przyjechał. Lepiej nie używać samolotu. Snipy mogą żyć na lotnisku tak samo jak w mieście. Co pani na to?

– Po prostu mnie stąd zabierz w cholere, doktorze.

– Znajdę kogoś, kto panią zawiezie, za dwadzieścia minut. Nie dostaną pani, moja droga, obiecuję pani.

Wyszła z gabinetu, nadal owinięta szczelnie kocem. Musiał działać szybko, zorganizować sprzęt, zespół, opracować jakiś sposób ochrony. Bezpieczne badanie drapieżników w dziczy to jedno, stawienie czoła stworzeniu, które używa *noży*, które używa *broni palnej*, to zupełnie co innego. To odkrycie stulecia. „Snipom” nie można pozwolić przeżyć, nie jeśli zabijają ludzi.

Podszedł do okna. Shamiqwa wjechała busem prosto na trawnik budynku Historii Naturalnej, zanim wyskoczyła i wbiegła do jego gabinetu. Zabierze ją stąd, sprawi, że będzie bezpieczna. Patrzył na vana, widział jak Shamiqwa wychodzi z budynku owinięta kocem niczym tarczą.

Wsiadła i uruchomiła silnik.

I wtedy to zobaczył. Cienka strużka płomienia podążająca spod grubej sosny w kierunku tylnej części samochodu. Położył ręce na oknie i zaczął krzyczeć, ale nawet jeśli go usłyszała, na nic się to zdało. Pojazd objęły płomienie, ogromne *tuff*, które natychmiast ją pochłoneło. Widział jej płonące dłonie uderzające w szybę, które po chwili osunęły się w ogień. Drzwi busa otworzyły się – ze środka wybiegło płonące ciało, potykając się, uderzając o ziemię.

Dopadły ją.

Wystarczająco mądre, żeby sabotować samochód? Wystarczająco mądre, żeby używać *ognia*? Wybiegł z gabinetu; musiał jej pomóc.

Zatrzymał się nagle.

Zmięty kawałek gazety siedział w rogu gabinetu. Zauważył go, ponieważ się *poruszył*.

Zrozumiał nagle, że teraz jedynie *on* wiedział o snipach.

Gazeta ponownie się poruszyła.

Uwagi autora do *Wielkiego polowania na snipy*

Rok 1998: Jako nowy członek „Horror Writers Association” szukałem miejsca do zamieszczenia opowiadań. Dzięki HWA znalazłem antologię *Out of the Shadows & Into the Night* skupioną na opowiadaniach weird w czasach nowożytnych. Napisałem opowiadanie *Nisza* i tam zgłosiłem. Szybko przyszła informacja o jego odrzuceniu. Takie życie. Co ciekawe, obecnie nie mogę nigdzie znaleźć kopii *Out of the Shadows*. Nie wiem, czy ogóle się ukazała.

Jeśli chodzi o inspirację historii, przeglądałem książki z biologii i znalazłem *Field Guide to Urban Wildlife*. Chyba część serii „Peterson’s First Guide”, ale nie jestem pewny (no co, przecież to było ponad dekadę temu, spadajcie). Pamiętam, że od razu kupiłem tę książkę i spędziłem kolejnych kilka dni na jej czytaniu. Idea „miejskiej dzikiej natury” mną wstrząsnęła. Nasze ośrodki miejskie mają złożony, samowystarczalny ekosystem. To może wydawać się oczywiste (teraz, jak już o tym przeczytaliście, przekłęci oszuści), ale wcześniej nie przyszło mi to do głowy i wyważyło na oścież pewne drzwi. Idea sprowadzała się do zwrotu: „natura nie znosi próżni”. Na tej planecie, gdzie jest energia, jest życie.

Gdy zrozumiałem ideę nieludzkiego, miejskiego ekosystemu, stało się jasne, że pustą niszę – dominującego drapieżnika – można wypełnić jakimś szczególnym paskudztwem. Mierzyłem się z pomysłem dość długo. Jak większość autorów grozy próbowałem wyobrazić sobie duże zwierzę: zmodyfikowanych ludzi, wilkołaki, mutanty gnieźdzące się w piwnicach, tego typu rzeczy. Im więcej czytałem, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że dominujący drapieżnik musi być mały.

Jak zwykle bywa z moimi opowieściami, nie wystarczy, żeby jeden pomysł miał sens, muszą grać trzy lub cztery, zmiażdżone ze sobą i tworzące smakowitą inspirację.

Na początku lat dziewięćdziesiątych grałem w zespole. Gdy nie graliśmy, oglądaliśmy mnóstwo filmów przyrodniczych. Skrzynka piwa, maraton filmów naukowych na kablówce i byliśmy ustawieni. Podczas jednej takiej sesji motywacyjnej zobaczyłem

surykatki. Zobaczyłem, jak współpracują i wysrałem metaforyczną cegłę. *Patrzcie na te łapki!* Najbardziej poruszyło mnie oglądanie, jak pięć albo sześć z nich zbiera się w grupę i kopie w łańcuchu, jak drużyna strażaków podająca sobie worki z piaskiem. Ten obraz krzyczał do mnie: *inteligencja i współplanowanie* jak nic innego, może oprócz owadów tworzących kolonie. Ale surykatki są ssakami – współpraca jest wyuczona, *nie* instynktowna.

Wiele osób pytało mnie, czy napisałem tę historię po obejrzeniu serialu *Meerkat Manor*. Nie. Opowiadanie powstało siedem lat przed emisją tego serialu. Ale teraz, kiedy już skończyliście *Wielkie polowanie na snipy*, obejrzyjcie kilka odcinków i powiedzcie, czy te małe skurczybyki nie wyglądają, jakby patrzyły prosto na was, czekając, aż pójdziecie spać.

To dwa elementy, a skąd część z polowaniem na snipy? Z odcinka sitcomu *Cheers* z 1985 roku. Nie żartuję. Sam i przyjaciele zabrali Frazierę na polowanie na snipa i zostawili go samego w lesie. Wesołe. Oczywiście, gdy zobaczyłem ten odcinek, pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślałem, było: a gdyby tam był snip i był drapieżnikiem i *zjadłby* Frazierowy pieprzoną *twarz*? O takich rzeczach myślę, gdy oglądam sitcomy. Nawet nie pytajcie, o czym myślę, gdy oglądam *Two And A Half Men*.

Zatem mamy połączenie: miejskiej dzikiej przyrody i ekosystemu; Matki Natury i jej niechęci do próżni; surykatki, które są mądre, słodkie i w ogóle; oraz Sama i chłopaków zachowujących się jak dupki wobec Frazierę. Dobrze zmieszać, piec w trzystu pięćdziesięciu stopniach przez 20 minut, podawać na ciepło.

W pewnym momencie, i nie pamiętam dlaczego, zmieniłem nazwę z *Niszy* na *Wielkie polowanie na snipy*. Cieszę się, że to zrobiłem, bo to lepszy tytuł.

ŚWIĘTE KROWY

Istnieje cienka granica między rozkojarzonym geniuszem a zidiociałym uczonym. Gordo Gordon stąpał pewnie po jej obu stronach. Ojciec Al wiedział o tym najlepiej. Duchowny patrzył na plątaninę kabli i elementów zużytego sprzętu elektronicznego, zastanawiając się, w którą stronę granicy w tym momencie przechyla się chłopak.

– Wspaniale, Gordo, naprawdę wspaniale – powiedział z dumą dobry Ojciec. – Co to takiego?

– Modlitwometr. Mierzy energię wytworzoną przez modlitwę.

Ksiądz Alfonse Rodriguez, Ojciec Al dla wszystkich w zgromadzeniu, patrzył na zdezelowany wózek Radio Flyer wypełniony czymś, co wyglądało jak stary ploter EKG, zepsuty odtwarzacz ośmiościeżkowy (w komplecie z kasetą Bee Gees), wiązka kolorowych kabli oraz jakiś talerz odbiorczy, zrobiony z przemysłowego durszlaka.

– Mierzy modlitwy, tak? – Latynoskie korzenie księdza Ala brzmiały lekko w jego głosie. Każde słowo wypowiadał z ojcowską miłością do Gordo, jednak miłość nigdy nie powinna wchodzić w drogę obowiązkowi. – Podejrzewam, że chcesz użyć tego urządzenia podczas jutrzejszego nabożeństwa? Zakładam, że niedzielna msza dostarczy najwięcej *energii modlitewnej*, tak to nazwałś?

Gordo powoli skinął głową.

– W porządku – powiedział duchowny. – Możesz tu być podczas mszy, tylko nie możesz hałasować. Obiecay też, że nie przerwiesz kazania żadnym spiskiem Masonów, ani narzekaniami na

komunistyczny wydźwięk *Kopciuszka*. Pamiętasz, co się stało ostatnio?

Gordo ponownie skinął głową, tym razem z lekkim wstydem.

– Yhy – wymamrotał ze wzrokiem wlepionym w ziemię. – Obiecuję, ojcie, się wie.

– To dobrze. – Ksiądz uśmiechnął się zachęcająco i poklepał Gordo po plecach.

Wprawdzie parafianie nie będą zadowoleni z tych gratów zajmujących ostatnią ławę, ale jakoś to przeżyją. Jeśli proces pomoże chłopcu, chociaż trochę, Al nie miał nic przeciwko niedogodnościom. Poza tym, nie mógł się doczekać, co zrobi ten modlitwometr.

Dwaj mężczyźni spotkali się czternaście lat temu, gdy Gordo, wtedy ośmioletni, sam jak palec, przybył do sierocińca imienia Tomasza z Akwinu. Ojciec Al szybko zauroczył się dziwnym chłopcem, który kolekcjonował bezużyteczne, zdezelowane radia, który nurkował w śmietnikach w poszukiwaniu wyrzuconych tosterów, zepsutych telefonów i wszystkiego co kiedyś nazywano „elektroniką”. Jego zachowanie początkowo wyglądało dziwnie, dopóki Gordo nie zaczął budować różnych rzeczy z technologicznych odpadków. Przez większość ich czternastoletniej relacji ksiądz Al wspierał chłopaka przy jego niecodziennych, czasem bezużytecznych wynalazkach.

Bez wątpienia był genialny. *Wyjątkowy*. Bóg miał dla Gordo Gordona szczególny plan, duchowny nie miał co do tego wątpliwości.

Wszyscy, którzy go znali, twierdzili, że jest albo głupi, albo szalony, albo i to, i to. Jednak oni nie mieszkali z Gordo, tak jak ksiądz. Nie wiedzieli, jak przerażająco bystry potrafi być ten chłopak. Jeśli zobaczyłbyś, jak siedemnastolatek bazgroli po gazecie z programem telewizyjnym dowód przeciwko teorii Stephena Hawkinga o sferyczności czarnych dziur, nie pomyślałbyś o nim jak o *głupku*.

Mimo niespodziewanych przeblysków geniuszu, udało mu się oblać prawie wszystkie przedmioty w Św. Tomaszu. Nie dlatego, że nie potrafił. To jakby proszenie Michała Anioła, żeby nie wyjeżdżał kredkami za linie. Gordo nie potrafił się skoncentrować. Skakał od jednego pomysłu do drugiego, błyskawicznie, bez przerwy, jak gdyby jego mózg pracował na paliwie raketowym.

W duchu ojciec Al wiedział, że jeśli umysł chłopca zwolni, nawet o jeden akord lub dwa, nawet o *szturchnięcie*, Gordo Gordon zrówna się z Einsteinem, Bachem, Shakespearem czy jakimkolwiek innym sławnym geniuszem. Niestety, nic nie mogło spowolnić Gordo, aby skończył chociaż jedno zadanie; ani ritalin, ani areszt domowy, ani razy dawane linijką przez siostry, nic.

Do tego Gordo cierpiał na częste ataki czegoś, co psychologowie opieki społecznej nazywali „silnymi stanami lękowymi”. Mniej życzliwi nazywali to epizodami „obłąkańczej paranoi”, a jeden z krnąbrnych parafian nazwał to „wsiąściem do czubkobusu”. Szalony umysł Gorda tworzył scenariusze od prawdziwie paranoicznych (kapelusze Masonów mają urządzenia czytające w myślach) do prawdziwie niesamowitych (Sir Francis Drake nigdy nie został w pełni doceniony za hit z lat siedemdziesiątych: *Shake Your Groove Thang*). Ksiądz Al, który kochał Gorda jak syna, określał te epizody jako *stan niemyślenia*.

Stan niemyślenia to ciężki krzyż do dźwigania, lecz Bóg zawsze wszystko równoważył. W przypadku Gorda, dał mu również *stan myślenia*. Tak silny i intensywny jak majaki, *stan myślenia* oznaczał chwile skupienia. A gdy Gordo się koncentrował, stawały się możliwe wszelkiego rodzaju wynalazki.

Duchowny wspominał je z radością miłośnika oper mydlanych, czekającego na poniedziałkowy odcinek. Doświadczenie nauczyło go, że jeśli chłopak może coś wymyślić, może to też zbudować. Tym razem obszar zainteresowania Gorda objął teologię, co zaciekało księdza jeszcze bardziej niż zwykle.

– Hmm, modlitwometr? – zapytał, gdy Gordo prowadził przewody z kasety *Stayin' Alive* do urządzenia EKG. – Jak, u licha, wpadłeś na ten pomysł?

Gordo przestał ciągnąć za kable i docisnął dłonie do obu stron szyi. Po czternastu latach ojciec Al znał tę postawę doskonale. Dłonie na karku oznaczały, że podopieczny wszedł w zaawansowany *stan myślenia* (*stan niemyślenia* pokazywał, opuszczając głowę i szaleńczo ściskając krocze).

– Barnes i Gatlow z USC wykazali występowanie chemicznych zmian podczas głębokiej medytacji – powiedział Gordo cicho, wyciągając sprzęt z pordzewiałego dziecięcego wagonika. – Whitley z Cal Tech potwierdził wzmocnione fale alfa u modlących się osób.

Ojciec Al skinął głową, mimo że nie rozumiał ani słowa.

– To ciekawe. A co to ma robić?

– Udowodniono, że praca mózgu zmienia się podczas modlitwy oraz że co najmniej jeden rodzaj siły mentalnej wzmacnia się w tym procesie – mamrotał Gordo bez podnoszenia wzroku. – Zrobiłem kilka obliczeń, się wie. Jeśli Barnes, Gatlow i Whitley mają rację, to ten proces powinien uwolnić mierzalną energię. Chcę to zobaczyć.

– Możesz zobaczyć modlitwy?

– Owszem.

– Czy ktoś inny widział kiedyś tę energię?

– Wątpię. – Gordo poprowadził wielokolorową wiązkę przewodów z EKG do durszlaka. – Trza to najpierw wymyślić, się wie. Trza połączyć bioelektryczność ze spolaryzowanym światłem. Muszę użyć zakrętu wrzecionowatego. Świeżego. Mogę?

– Jasne – odpowiedział ksiądz. – W porządku.

Nie miał pojęcia, czym jest zakręt wrzecionowaty, niemniej nie chciał zniechęcać chłopaka. Doskonale wiedział, że nie ma sensu nawet próbować zrozumieć gordogadżetów. Mógł liczyć najwyżej na ogólną ideę, zresztą, jak każdy normalny człowiek.

– Tylko nie zapomnij wieczorem zamieść i umyć podłogi, i pamiętaj, żeby wrócić do domu na obiad – powiedział ojciec Al. – Robię pieczeń.

Gordo zamruczał ucieszony, jednak jego uwagę zaraz pochłoneła plątanina kabli, plastiku i części elektronicznych. Duchowny wyszedł z nadzieją, że tym razem chłopak nie zapomni o swoich obowiązkach bez przypominania drugi, trzeci, a pewnie i czwarty raz.

Powierzył mu pracę woźnego, gdy chłopak wystarczająco dorósł, żeby przerwać farsę ze szkołą. Gordo sprzątał, prostował, ścierał oraz szorował jak umiał najlepiej – przynajmniej po krótkiej demonstracji i upartym upominaniu. Ojcu Alowi nie przeszkadzało uczenie chłopaka. Tak jak Bóg opiekował się księdzem, tak on opiekował się Gordo.

Mieszkali naprzeciwko Kościoła pod wezwaniem Świętej Trójcy w pięknej plebanii z brązowego kamienia. Ojciec Al przyjął Gordo pod swój dach zaraz po tym, jak dał mu pracę. Zdziwiło to kilka osób, ale nie przejmował się szeptami czy podejrzliwymi spojrzeniami – pojedyncze przypadki pobłądzeń nie robiły z każdego księdza zbrodźcą molestującego dzieci. Ojciec Al nigdy nie czuł potrzeby uzasadniania swoich działań. Ludzie nie musieli rozumieć. Pan rozumiał i to wystarczyło.

Gordo wydawał swoją skromną pensję sprzątacza w komisach i lombardach, kupując używany sprzęt elektroniczny, kable, układy, stare komputery, silniki i wszystko co tylko mógł znaleźć, tworząc z technologicznych odpadów wszelkiego rodzaju urządzenia. Ze słynnym już „się wie, muszę to wymyślić”, Gordo tworzył przedziwne przyrządy: zasilany promieniowaniem słonecznym Szkicorysownik, który rysował fotorealistyczne portrety; zgniatarkę do śmieci, która przetwarzała odpady w twarde jak marmur popielniczki oraz doniczki; zmodyfikowaną golarkę Norelco, zdolną do zabijania karaluchów strumieniem dźwięku... lista się nie kończyła.

Budowanie rzeczy stanowiło ujście dla nietypowych talentów chłopaka. Gordo był *wyjatkowy*. Ojciec Al wiedział, że Bóg miał wyznaczony konkretny cel dla dziwnego talentu Gordy. Coś wielkiego. Coś wspaniałego.

To prawda, okazało się wielkie, jednak co by nie mówić, duchowny wątpił, czy Bóg miał z tym coś wspólnego. W rzeczywistości, gdyby Bóg to przewidział, ksiądz nie zdziwiłby się, gdyby Gordo zginął rażony ogromnym piorunem.

Nadeszła niedziela. Niestety ciekawość Ojca Ala nie została zaspokojona jeszcze przez tydzień. Gordo wszedł do kościoła ze spuszczoną głową. Rękami ścisnął i puszczał energicznie swoje krocze.

Ksiądz zareagował natychmiast, aby zapobiec kłopotliwemu wybuchowi. Szybko, ale delikatnie wyprowadził szarpiącego swoje krocze chłopaka przez duże, drewniane drzwi, a potem w dół po schodach na chodnik.

– To ci cholerni Masoni – szeptał Gordo konspiracyjnym tonem. – Jestem pewny. Cholerni Masoni i ich małe samochody. Ponad sto kilometrów na jednym litrze paliwa. Koniec kryzysu energetycznego. Ale czy się tym dzielą? Nie, tylko kontrolują ludzi swoimi czapkami, czekając na apokalipsę, żeby tylko oni wzięli udział w paradzie!

Duchowny westchnął.

– Idź prosto do domu, Gordo. Porozmawiamy o tym, jak skończę odprawiać mszę.

Chłopak obrócił się posłusznie i powłócząc nogami, szaleńczo uciskał za swoje krocze. Ojca Ala zalała zbyt znajoma fala współczucia dla stanu umysłu biednego podopiecznego. Zrezygnowany skierował się z powrotem do kościoła, aby wypełnić Bożą wolę.

Tydzień minął bez ważniejszych wydarzeń, oprócz tyrady w środowy poranek o tym, jak Bill Gates chce sprytnie zabić użytkowników Maca rakotwórczymi Twinkies („Nie jedzcie produktów Hostess!” wykrzyczał Gordo o 3:12. „Jeśli dopadli Twinkies, na pewno dorwali też Chocodiles oraz Ho-Hos!”).

Ojciec Al nie mógł się już doczekać niedzieli. Oczywiście, ten dzień zawsze był dla niego szczególny, naprawdę kochał swoją pracę, niemniej ciekawość zżerała go przez cały tydzień. Co modlitwometr właściwie *robi*? Jeśli zwizualizuje modlitwy, jak będą wyglądać? Nie miał wątpliwości, że Gordo potrafi wymyślić

takie nieprawdopodobne urządzenie. Po jednym spojrzeniu przez „Okulary pierdów” każdy uwierzyłby we wszystko.

W połowie kazania Ojciec Al zauważył, że ludzie odsuwają się od Gordo, co gorsza, robią to coraz szybciej. Każdy z tyłu kościoła obserwował chłopaka, zamiast śledzić słowo Boże. Denerwował się, nie mogąc przyspieszyć liturgii. Cokolwiek tam się działo, nie wróżyło nic dobrego.

Po mszy podszedł do ostatniej ławki. Gordo dodał dwa nowe elementy do modlitwometru: stary czarnobiały monitor Zenitha i kamerę Sony. Otoczenie śmierdziało mokrym futrem i wysypiskiem. Ksiądz już chciał zapytać, skąd ten zapach, ale zrezygnował, gdy zobaczył trzy martwe szczury ułożone w stosik w zardzewiałym wózku Gorda. Miały rozłupane głowy. Na dnie wózka zebrała się krew. Zauważył również jakiś gadżet z płataniną kabli przymocowany do obiektywu kamery, umazany tą samą lepłą krwią.

– Gordo! – zagrzmiął Ojciec Al. – Czemu przyniosłeś martwe gryzonie do mojego kościoła?

Żrenice Gorda rozszerzyły się ze strachu. Od razu rozpoznał ton „Mówię poważnie”.

– Pytam!

Gordo zaskomlał.

– Pytałem w zeszłym tygodniu. Zgodziłeś się!

– *Nie* pytałeś, czy możesz zaszlachtować szczury w Domu Bożym!

– Ale powiedziałem *przecież*... – Gordo zająknął się, wszystkie sylaby zlały się w jedno długie słowo... – że potrzebuję zakrętu wrzecionowatego i powiedziałeś, że mogę!

Duchowny zamrugał kilka razy, przypominając sobie rozmowę. Gordo zapytał, on nie zainteresował się szczegółami. Upomniał się, żeby w przyszłości zadawać więcej pytań.

– W porządku, Gordo. Czym jest ta zakręcona rzecz i po co ci to?

– To część drugorzędowej kory wzrokowej – szybko odpowiedział Gordo, jego dłonie uciskały szyję, tak mocno, że skóra pod palcami trupio zbieleła. Wyrzucał słowa jak karabin maszynowy, desperacko próbując udobruchać swojego jedyne przyjaciela. – To bioenergia wychodząca poza obecnie akceptowalne pasmo długości fal.

Maszyny jej nie zobaczą, musiałem połączyć się z biologicznymi odbiornikami i układem optycznym. Wymyśliłem to i działa.

– Co działa?

– Modlitwometr – odpowiedział uradowany. – Chcesz zobaczyć?

Ojciec Al zamyślił się chwilę. Skinął głową. Szczurza szkoda już się stała, równie dobrze może zobaczyć, czy było warto. Gordo nacisnął przycisk, ośmiościeżkowiec wraz z kamerą przewijały się jednocześnie. Po dłużącej się minucie Gordo wcisnął „play”.

Ksiądz wpatrywał się w czarnobiały obraz zenitha. Na maleńkim, dziesięciocalowym ekranie mógł zobaczyć siebie daleko przy ołtarzu. Tłum wiernych, którzy wyszli niespełna kilka minut temu, powtarzał wyćwiczone katolickie formułki albo słuchał w skupieniu. Egzotyczna, eteryczna, biała mgła pokrywała ich głowy. Zanim zdążył zadać choć jedno pytanie, złość przeszła mu całkowicie, zastąpiona zachwytem nad niezwykłymi talentami podopiecznego.

– Gordo, czy to jest to, co myślę? – zapytał cicho.

– Owszem, na bank to fale modlitewne. To wychodzi z modlących się ludzi.

Ksiądz Al obserwował jak mglista, mleczna poświata rozprzestrzenia się w każdym kierunku, jak rosnąca bańka. Gdy docierała do ścian lub ławek, odbijała się ku górze. Wznosiła spokojnie, powolnym, ciągłym ruchem, pełnąc wzdłuż ław, w górę witraży okien, falując po sklepieniu pochyłego dachu katedry. Wyglądało to jak poranna para unosząca się nad rzeką. Ciężka para. *Żywa* para.

Wraz z gromadzeniem się energii gęstniała, stawała się jaśniejsza. Lepka. Kazanie się zakończyło. Mętna łuna popłynęła w najwyższy punkt sufitu, aż przesączyła się na zewnątrz i zniknęła.

– Gdzie to uciekło? – Zapytał szeptem ksiądz, nie pojmując do końca tego, że właśnie zobaczył żywą realizację modlitwy.

– Też się zastanawiam – odpowiedział cicho Gordo. – Pomyślałem, że emanacja będzie podążać wzdłuż budowli, więc zeszłej nocy ustawiłem drugi modlitwometr na dachu. Chcesz zobaczyć, co się dzieje potem?

Ksiądz powoli skinął głową. Wyszli na zewnątrz kościoła i udali się w stronę dachu plebanii.

Truchła pięciu szurów szpeciły zabłocony dach. Kasztanowa, zakrzepła krew kontrastowała z czarną papą. Ten modlitwometr wyglądał prawie tak samo, z tą różnicą, że w ośmiościeżkowcu znajdowała się kaseta Donny Summer zamiast Bee Gees. Duchowny spojrzał na drugą stronę ulicy na wyniosłą, kamienną dzwonnice kościoła.

Gordo przewinął taśmę.

– Miesiąc temu pokapowałem się – powiedział – że kościoły większości religii mają duże, szpiczaste elementy. Się wie, chrześcijańskie, muzułmańskie, buddyjskie, wszystkie. Obliczyłem matematycznie, co może emanować z mózgu podczas modlitwy, a moje obliczenia wykazały istnienie niematerialnej energii, która mogłaby się rozrastać w postaci rozszerzającej się sfery, dopóki nie zostanie ograniczona przez materialny obiekt.

Ojciec Al, nadal ubrany w pełne szaty liturgiczne i sutannę, stał na szczycie gorącego, brudnego dachu. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny śmieci, smoły i martwych szurów. Myśl o tym, co zaraz zobaczy, przyprawiała go o mdłości.

Chłopak uruchomił odtwarzanie. Pobity, ośmicalowy ekran Magnavox rozbłysł obrazem wysokiej dzwonnicy kościoła. Na maleńkim ekranie, wokół wieży pojawił się przytłumiony blask białego światła, tej samej mglistej łuny powstałej podczas mszy. Puchata iluminacja, zatrzymana przez sklepienie dachu, powoli pełzała w stronę zdobionego krzyża, osadzonego wysoko na szczycie. Na początku widoczny był jedynie niewielki poblask, jednak ilość energii szybko wzrosła tak, że cała dzwonnica płonęła jak rozżarzony węgiel – biały strumień płynął miarowo z krzyża ku górze, jak gruby, jarzący się dym z komina.

– Tam, gdzie nie ma materialnej przeszkody, wszystko ucieka prosto w górę – powiedział Gordo.

– Kościół działa jak soczewka.

Podopieczny szybko skinął głową.

– Się wie, ojcie, się wie.

– To gdzie ta emanacja ucieka? – Ksiądz bał się, że zna odpowiedź. Kolana trzęsły mu się na samą myśl. Jedynie idiota pomyślałby, że energia i budowa kościoła są przypadkowe. Chłopak miał rację: prawie każdy dom modlitwy jaki duchowny kiedykolwiek odwiedził, każdy kościół, nawet nowoczesny, zawierał jakiś rodzaj podniesionego sufitu oraz szpiczasty, pionowy element. To było *oczywiste*, gdy zobaczyło się tę aurę. Kościół działał jak podwójny kolektor, najpierw zbierał wiernych, a potem zbierał ich energię. Jak wzmacniacz.

Nie, nie tylko jak wzmacniacz.

Jak *nadajnik*, podpowiedział mu umysł, mimo, że nie chciał o tym myśleć. *Nadajnik do przesyłania fal modlitewnych*.

Oślabiony powoli osunął się na ziemię, jakby malutki obraz magnavoxa pozbawił go sił. Ciepła, lepka smoła przywarła do religijnego stroju. Szaty natychmiast zostały zbrukane. Zniszczone. Pozbawione należnego szacunku, jednak, po raz pierwszy w swojej długiej karierze, ojciec Alfonse Rodriguez po prostu miał to gdzieś.

– Gordo? – zapytał cicho. – Do czego można tego użyć? Dałoby się jej używać tak jak prądu, do zasilania rzeczy?

Jeśli ktokolwiek mógłby zgadnąć, o co tu chodziło, to właśnie Gordo. Chłopak, który wymyślił, opracował, a następnie zbudował urządzenie do oglądania energii, o której cały świat nawet nie przypuszczał, że istnieje.

Gordo wyciągnął złamaną czerwoną kredkę i zmiętą, złożoną na trzy, stronę „The New York Times” z kieszeni. Zaczął szaleńczo bazgrać. Ojciec Al nawet nie próbował patrzeć na wzory. Wiedział, że i tak nic nie zrozumie.

Skupił się na małym ekranie. Słup dryfującego, unoszącego się blasku niemrawo wzbijał się w niebo – niespodziewanie idylliczność sceny została przerwana. Górna część kolumny fali modlitewnej rozproszyła się jak przedziurawiona kulą armatnią. Strzępy rozpląnęły się we wszystkich kierunkach. Lecz nie wyglądało to, jakby coś *przeleciało* przez strumień światłości, wyraźnie zobaczył, że większość mgły zniknęła, jakby zjedzona.

Nachylił się nad ekranem, poczuł, jak lepkie ręce strachu ściskają mu żołądek. Po pierwszym zaburzeniu nastąpiła krótka przerwa, a po niej coś zaatakowało świetlisty słup. Setkami pojawiały się dziury, jakby coś wielkimi kęsami pochłaniało tę dziwną energię. Wyglądało to prymitywnie, agresywnie. Skulił się w sobie, obserwując, jak strumień zostaje rozszarpany na kawałki, a potem nawet resztki zostają zjedzone.

Piranie – pomyślał. Przeżalenie opanowało całe jego ciało oraz duszę. – *Jak niewidzialne piranie.*

Gordo oderwał pokrytą wzorami stronę, zgniótł ją, rzucił na lepką papę, po czym kontynuował na czystym arkuszu. Pochłonięty obliczeniami, nie zobaczył smutnego losu kolumny.

– Prawdopodobnie jak jedzenie – powiedział w końcu. – Jak rośliny wykorzystują promienie słoneczne. Może to być pożywienie dla jakichś stworzeń, jeśli są bardzo różne od nas. *Skrajnie* różne, się wie.

Ksiądz spojrział ponownie na dzwonnice. Budowla z ciętego kamienia zawsze wyglądała dostojnie w słoneczne dni. Niewzruszenie, tak cholernie *ważna*. Oderwał wzrok i skupił się na gryzmołach Gordo. W tym cudownym przebłytku całkowitej ironii chłopak, który widział konspirację we wszystkim, od Fruit Roll-Ups do znaczków z Elvisem, w ogóle nie zwracał uwagi na najbardziej przerażający spisek znany człowiekowi.

Coś *żerowało* na ludzkości. Robiło to przez stulecia. Tysiądecia. Może jednak to Bóg. Może karmienie Go było ceną za Jego miłość.

Jednak nawet od takiej myśli ojca Ala bolała dusza. Głosił ludziom *Słowo Boże*. Prowadził modlitwę. Wyszkolono go do tego, robił to całe swoje dorosłe życie. Zamiast tego jedynie *zaganiał* ludzi, podłączał ich do maszyny modlitewnej, tak jak rolnik podłącza automatyczną dojkarkę do krowich wymion.

– Bydło – wyszeptał. – Jesteśmy dojeni jak krowy.

Twarz Gorda rozbłysła zdumieniem i zrozumieniem, jakby duchowny przypadkiem rozwiązał zagadkę.

– To by pasowało. Wiesz, jesteś całkiem bystry.

– Taa – mruknął zdeorientowany. – Się wie, że jestem, Gordo. Się wie.

Uwagi autora do *Świętych krów*

Chodziłem do kościoła. Się wie, że chodziłem.

W dzieciństwie moi rodzice zabierali mnie do różnych kościołów. Moja mama była żydówką, mój tato katolikiem. Zamiast ustalić jakiś prawidłowy sposób religiiowania – co pewnie wyglądałoby jak walka na noże z teledysku *Beat It* Michała Jacksona, przynajmniej zgodnie z zasadami ze Starego Testamentu – powiedzieli „pieprzyć to” i zabierali nas do kościoła, który akurat był bliżej. Często się przeprowadzaliśmy. Zatem trafialiśmy do wielu kościołów.

Dawno przeczytałem Biblię od deski do deski. Piekielnie dobra historia, ale ponieważ odkąd miałem osiem lat, wiedziałem, że chcę zostać pisarzem, czytałem ją bardziej dla fabuły i postaci niż wskazówek życiowych. Co poradzę, odkąd miałem osiem lat, nie potrafiłem czerpać jedynie *radości* z książki, *żadnej* książki, okej? Dla czystej rozrywki miałem *Magnum P.I.* – cóż jeszcze trzeba? To co mogę powiedzieć, to że Stary Testament ma świetne sceny akcji.

Zatem czytałem Książkę i znalazłem kilka dziur w fabule, które mnie odrzuciły. W kościele próbowałem siedzieć cicho, problem w tym, że mam skupienie godne muchy, która wpadła do puszek z Red Bullem (powstrzymajcie się od obraźliwych komentarzy – byłem jedenastolatkiem z takim ADD, że Ritalin chciał, żebym został twarzą firmy. Ledwo mogłem skończyć odcinek *Star Blazers* bez obiegnięcia domu kilka razy bez żadnego powodu, zatem wysiedzenie w kościele godzinę w pełnym skupieniu zakrawało o absurd). Gdy inni pochylali głowy w modlitwie, ja jak piesek preriowy rozglądałem się za czymś, co pokona nudę. Widziałem setki ludzi robiących to samo, robiących to, co im się powie i zachowujących się jak... jak bydło (wychowałem się na farmie, więc miałem lekko ograniczony zakres metafor).

Gdy tak się rozglądałem (wydaje mi się, że wtedy próbowałem liczyć nity w stropowej belce), zauważyłem, że wszystkie kościoły wyglądają w sumie tak samo: duża przestrzeń, skośny sufit, ostry element na szczycie, skierowany w niebo.

Te dwie rzeczy zostały mi w głowie na lata, do czasu, gdy przeczytałem artykuł, w którym pokazano, że stan głębokiej modlitwy powoduje mierzalne zmiany fal mózgowych. Gdy w 1997 roku zacząłem pisać jedno opowiadanie tygodniowo, *Święte krowy* było jedną z pierwszych rzeczy, które wreszcie wykonały skok z „rzeczy, które dzieją się jedynie w mojej głowie” do „rzeczy zapisanych na papierze”. Następnie nagrałem podcast, który zmienił się w film krótkometrażowy Earla Newtona i Kevina Capizzi, gdzie zagrał Toby Turner.

O, chcecie zobaczyć film? Wystarczy wejść na:
scottsigler.com/sacredcowmovie

NUMER JEDEN Z KULĄ

Cutter wyjrzał zza przepelnionego śmietnika, próbując dostrzec coś przez piekący pot zalewający mu oczy. Budynki blokowały oślepiające światło latarni, rzucając gęste cienie na pustą uliczkę. Pustą. Ale nie na długo. Gdzieś tam czaił się Patterson. Czekał. Polował.

Cutter zanurzył się ponownie w mroku zapewnianym przez kontener. Wysunął ostatni magazynek ze swojej berretty – trzy kule. Wsunął go z powrotem i wytarł twarz. Rękaw jego marynarki – dawno przemoczony – jedynie rozmazał wilgoć. Nawet o trzeciej rano łało się z niego ze wszystkich porów. Powinien wiedzieć, że ubranie wełnianego garnituru do Memphis to zły pomysł. Czarna marynarka zakrywała przesiąkniętą krwią białą koszulę, więc jej nie zdejmował.

Kubeł cuchnął. On sam śmierdział moczem. Płuca płonęły igłami bólu, a żołądek groził zwróceniem obiadu. Powinien zacząć biec, dostać się do samochodu, spieprzać stąd. Jeśli tego nie zrobi, to oszaleje. Lub umrze. Prawdopodobnie jednocześnie.

A wszystko przez futbol.

Lawrence Cutter ochoczo wysiadł z samolotu. Tennessee nie odwiedzał od lat, Memphis nigdy. Miał nadzieję, że szybko zajmie się Pattersonem i zdąży nacieszyć się miastem.

Pracował dla ochrony NFL, tajnej zbieraniny trzydziestoletnich byłych agentów CIA i FBI, którzy „sprawdzali” graczy NFL i obiecujących żółtodziobów. Głównym zadaniem Cuttera była

analiza ryzyka rekrutowanego kandydata. Rzadko zajmował się znanymi zawodnikami. Śledzenie poczynąń światowej klasy sportowców to bułka z masłem. Prawie w całości zajmowały się tym media.

Obserwacja dzieciaków to już ciężka praca. Nikt się nimi nie interesuje, zanim sława na boisku nie wkupi ich w łaski właścicieli klubów i trenerów. Komu miałyby na nich zależeć? Prowadzą swoje życie, od rolnika z Iowa po członka gangu w East St. Louis. Każdy dzieciak ma jakieś pozaboiskowe brudy. Tym właśnie zajmował się Cutter: znajdował brudy, aby nie zaszkodziły marce NFL.

Na szczycie swojej kariery w FBI prowadził dochodzenia w sprawach niebezpiecznych ludzi. Ludzi z bronią palną. Ludzi gotowych zabić. Kilka razy do niego strzelano (nigdy nie postrzelono), raz dźgnięto w ramię. Dwadzieścia siedem szwów. Wyszła z tego boska blizna, którą zawsze pokazywał po piątym lub szóstym Jimim Beamie z colą.

Te niebezpieczne czasy minęły. Teraz miał styczność tylko z dzieciakami – smarkaczami z talentem do futbolu. Nigdy nie przyszłoby im do głowy, że były agent federalny bada ich przeszłość, sprawdza raporty policyjne, działania dyscyplinarne w drużynie, drobne wykroczenia na uczelni. W porównaniu do terrorystów, karteli narkotykowych czy szalonych morderców te dzieciaki nie stanowiły większego zagrożenia. Były *bezpieczne* i właśnie to mu się podobało.

Luke Moore czekał na niego w terminalu. Bliżej mu było do grubego niż wychudzonego, jednak balansował mniej więcej pośrodku. Wściubiał nos w nie swoje sprawy dla CIA. Potrafił znaleźć wszystko o każdym. Zwykle zachowywał się jak ciepły, jowialny mężczyzna, ale dzisiaj wyglądał poważnie.

– Cześć, Luke! – Cutter wyciągnął rękę. – Wyglądasz na tak szczęśliwego jak pies bez klejnotów.

– Chciałbym być tak szczęśliwy – odpowiedział Luke, ściskając dłoń Cuttera. – Chodźmy. Możemy pogadać w samochodzie.

Cutter zrezygnował z dalszej wymiany uprzejmości. Zabrali jego bagaż i udali się do acura Luke'a. Nowe, skórzane siedzenia nagrzały

się w popołudniowym słońcu, wypełniając samochód mocnym, parnym zapachem.

– Znalazłem więcej – powiedział Luke, kiedy wyjeżdżali z lotniska. – Jest źle. Jeśli jego była dziewczyna mówi prawdę, Eugene Patterson to największy koszmar, jaki kiedykolwiek przyśnił się NFL.

Cutter westchnął. Wyjrzał za okno na piękną pogodę w Tennessee. Trudno się cieszyć ze wspaniałego dnia po takiej wiadomości. Liga nie chciała tego usłyszeć. Nie o Eugenie Pattersonie.

Każdego roku ochrona NFL odkrywała poważne rzeczy na temat kilku graczy. Narkotyki, przemoc, alkoholizm, sterydy. Wiele z nich klasyfikowało kandydata jako „ryzyko” – ryzyko warte wiele milionów dolarów. Mimo tego, czasem marka ryzykowała i podpisywała kontrakt. Czasami zawodnikom udawało się z tego wyjść. Najczęściej okazywało się, że są finansowym obciążeniem i psują opinię publiczną. Tacy sportowcy byli po prostu stratą. W NFL stratny kontrakt był gorszy niż grzech pierworodny.

Kilka razy w roku taki wątpliwy kandydat okazywał się najlepszym wyborem, elektryzującym młodym talentem, który stanie się nową marką. Na to zapowiadał się Eugene Patterson i na dużo więcej. Większość analityków twierdziła, że Detroit wybierze go w pierwszej kolejności. Jakby mówili, że to oczywiste. Cutter prawie słyszał głos przewodniczącego: *Detroit Lionsi wybrali jako pierwszego w pierwszej rundzie Eugene'a Pattersona z uniwersytetu w Memphis.* Chłopak, ubrany w koszulkę z numerem jeden i czapkę Lionsów, wyszczerzyłby do kamer swój idealny uśmiech.

Patterson był bestią, sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, sto dwadzieścia kilogramów wagi, mimo tego niewiarygodnie szybki. Okrutny, dziki gracz. Jego łamiące kości uderzenia często kończyły kariery. Podczas SportsCenter na ESPN Chris Berman zawsze komentował złośliwe uderzenia Pattersona zwrotem: „Już słyszać tupot stópek Pattersona! BUM!”. Dzięki jego umiejętnościom Tigersi zajęli drugie miejsce Conference USA i znaleźli się w najlepszej dwudziestce AP Poll. Taki talent trafiał się

raz na pokolenie. Niektórzy trenerzy mówili nawet, że jest lepszy niż Butkus.

Oprócz umiejętności, chłopak wyglądał jak z plakatu, do tego ukończył uniwersytet ze średnią 3,81 z prawa karnego. Był członkiem Kościoła Chrześcijan Baptystów, wolontariuszem i ogólnie facetem z klasą. Madison Avenue już śliniło się na jego widok. Krążyły pogłoski o umowach z McDonalodem, Sprite, Fordem i dziesiątką innych firm. Patterson nie zdążył rozegrać nawet jednej próby w profesjonalnej lidze, a już ogłoszono go gwiazdą.

W skrócie, Eugene Patterson stanowił zdobycz dekady dla NFL.

Aż do telefonu Colletty Williams, jego byłej dziewczyny. Przeczytała w „Sports Illustrated” artykuł o ochronie NFL i wiedziała, jak grupa może wpłynąć na szanse poboru. Przez telefon Williams przebrnęła przez niezliczoną liczbę urzędników NFL, aż dotarła do Cuttera. Chciała się podzielić brudami, które miała na swojego chłopaka. Ogromnymi brudami. Nie, nie mogła powiedzieć przez telefon. Ktoś musiał się z nią spotkać. W Memphis. Tam, gdzie mieszkał Patterson. Tam, gdzie to wszystko się działo.

Prawdopodobnie to ściema, jakaś odtrącona dziewczyna chciała zaszkodzić Patersonowi, jak tylko się da. Albo naciągaczka, szeregowka w armii kobiet, które próbują wyciągnąć kasę od znanych sportowców. Pięcioletni kontrakt Pattersona będzie kosztował sześćdziesiąt milionów dolarów. Przy takiej inwestycji szefostwo musiało być pewne. Pewne przez duże pe. Cutter wysłał Luke’a, żeby to sprawdził.

Po mniej niż czterdziestu ośmiu godzinach Luke wylądował w Memphis i zadzwonił do Cuttera.

– Wiesz już, o co chodzi? – zapytał Cutter. – Napadł na tę dziewczynę? Jest w ciąży? Narkotyki? Mów.

– Jest dużo gorzej. Niezłe gówna. Góra nie będzie zadowolona.

– Luke, co jest?

– Czczenie diabła. Nasz mały Patterson jest jakimś satanistą – odpowiedział Luke, po czym streścił niewiarygodną historię Colletty.

Brzmiała jak bzdura. Majaki szaleńca. Mimo tego Cutter zarezerwował najbliższy lot do Memphis. Jeśli chociaż połowa tego, co mówiła, to prawda, cała sytuacja stawała się zła dla NFL. Zła przez duże zet.

NFL może zaryzykować, jeśli gracz ma problemy z narkotykami, popełnił kilka wykroczeń, pobić... w sumie cokolwiek. Ale czczenie diabła?

Podczas jazdy Cutter czytał to, co Luke zebrał na Pattersona. Chłopak miał akta bez zarzutu, zarówno w liceum jak i koledżu. Luke jednak skupił się na dwóch kolegach Pattersona z liceum, którzy również uczęszczali na UM. Darius Klein i Andy Jacoby. Ich zarzuty obejmowały powieszenie kota na klatce schodowej akademika, nabazgranie symboli okultystycznych na ścianach, złożenie w ofierze owczarka niemieckiego i rozkopanie grobów, Bóg jeden raczy wiedzieć, po co. Jacoby został skazany za ostatnie. Szybko wyrzucili go z uniwersytetu, ale nie wrócił do domu – nadal mieszka poza uczelnią w mieszkaniu, razem z Kleinem.

Cutter pochłaniał dokumenty. Zdjęcia z obserwacji Jacoby'ego i Kleina mówiły same za siebie, chyba że zrobiono je trzydziestego pierwszego października. Klein był niewielkim gościem, żylastym, z grubymi czarnymi włosami związanymi w długi, paskudny ogon. Jacoby był wysoki i grubawy. Nosił szczeciniasty zarost, a po obu stronach głowy zrobił sobie spiralne tatuaże. Obaj ubierali się na czarno, nosili tony biżuterii i mieli tyle kolczyków, że mogliby się umawiać z jeżozwierzem.

Cutter pokazał zdjęcie Jacoby'ego Luke'owi.

– Pewnie marzysz, żeby twoja córka przyprowadziła takiego miłego młodzieńca.

Luke zignorował uwagę.

– Sprawdziłem ten tatuaż. To symbol Buranti, azjatyckiego demona z szóstego wieku.

Cutter przyglądał się paskudnemu, czarnemu tatuażowi. Wyglądał jak guzkowaty wąż z głową byka.

- Jakiś związek tego tatuażu z satanizmem?
- Prawdopodobnie – odpowiedział Luke. – Klein ma taki sam na ramieniu.
- A co się stało z „Kocham matkę”? Eh, ci koledzy z dzieciństwa Eugene’a Pattersona. Lionsi się ucieszą. Widziałeś go z tymi szanowanymi dżentelmenami?
- Tylko raz. Patterson chyba wie, że są problemem. Nie pokazuje się z nimi publicznie, ale Colletta powiedziała, że spotyka się z nimi w każdy czwartek wieczorem, więc możemy ich dzisiaj przyłapać.
- Colletta jest nadal w Memphis?
- Tak, i cholernie się boi. Właśnie do niej jedziemy. Mieszka na Poplar Avenue w jakimś studenckim mieszkaniu. Jak tylko skończy szkołę, ucieka w diabły z Dodge.
- Musi być nienormalna. Chcę usłyszeć od niej tę cholerną historię na własne uszy. Zabierz mnie tam.

Małe mieszkanie wypełniano stosem pudeł, każde szczelnie oklejone taśmą i wyraźnie podpisane mocnym, czarnym markerem na górze i wszystkich czterech bokach. Wyglądało na to, że została jeszcze tylko wieża stereo; z odtwarzacza MP3 zawodziła Whitney Houston.

Colletta była wysoka i zgrabna, miała jasnobrązową skórę i długie, kręcone włosy, spięte w prosty koński ogon. Jej oczy zmętniały i stały się przekrwione od braku snu.

– Rozmawialiśmy przez telefon – powiedział Cutter, jak tylko Luke ich przedstawił. – Przyjechałem posłuchać pani osobiście.

– Chce pan zobaczyć, czy jestem wariatką albo oszustką – stwierdziła kobieta. – Nie jestem.

Cutter uśmiechał się cierpliwie.

– Powiem krótko. Nie rozmawiałam o tym z policją i nie zamierzam. Pójdziecie z tym do sądu lub do prasy, to wyjdziecie na głupków. Rozumiecie?

– Tak, proszę pani – odpowiedział Cutter z uśmiechem.

– Dobrze. To proszę słuchać. Mówię panu o tym, bo Patterson to świr. Jeśli to zrukuje jego szansę na kontrakt, to będzie cierpiać i to mi w zupełności wystarczy.

Uniosła włosy i obróciła głowę.

– Widzi pan tę bliznę? – Nie dało się jej przeoczyć. Naliczył co najmniej dwadzieścia szwów biegnących od jej prawej skroni w dół za uchem. – Dwadzieścia pięć szwów. Ten skurwysyn mi to zrobił.

– Czemu nie poszła pani na policję?

– Gdybym to zrobiła... zabiłby mnie.

Cutter widział, że nie żartuje.

– Proszę mi opowiedzieć o tym całym czczeniu diabła.

– To nie czczenie diabła. Spotykaliśmy się od sześciu miesięcy, gdy powiedział mi, że jest przywódcą duchowym. Chciał, żebym dołączyła do jego... kościoła. Byłam w szoku, ale wtedy go kochałam. Poszłam z nim na ceremonię. Myślałam, że go jakoś z tego wyciągnę. Siła miłości i takie tam. Myślałam, że to kilku studentów i plansza Ouija. Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Wychodził co czwartek wieczorem z Andym i Dariusem. Wiecie, tylko mężczyźni. Dziewczynom wstęp wzbroniony.

Z oczu Colletty bił strach, ale również i gniew. Prawie trzęsa się ze złości, dumna kobieta, która nie chciała się przyznać do bezsilności wobec mężczyzny, który ją maltretuje.

– Poszliśmy do domu Andy'ego na Watuga Street, na wschód od kampusu. W domu jest ogromna piwnica, bardzo ciemna, z mnóstwem małych pomieszczeń – jak lochy. W głębi mają ognisko. Przynieśli psa. Ludzie zawodzili jakieś gówno, którego nie rozpoznałam. Myślałam, że to jakiś głupi żart, ale... Oni... Oni zabili tego psa nożem. Wysmarowali jego kwią jakieś dziwne symbole w całej piwnicy. Eugene nie był jedynie częścią grupy. On nią *przewodził*. Wydawał polecenia. Krew była wszędzie, tylko nie na nim. Bałam się jak cholera. Gdy wróciliśmy, powiedziałam mu, że nie chcę go więcej widzieć. Wtedy zrobił to... coś ze swoimi rękami i mnie pociął.

– Coś ze swoimi rękami? – zapytał Cutter. Luke opowiedział mu wszystko przez telefon, mimo tego nadal chciał to usłyszeć

z pierwszej ręki. Każdy szalony człowiek buduje swoje fantazje na ziarnku prawdy.

– Tak – wyszeptała. – Jego ręce się zmieniły, przekształciły jak w filmie, wiesz? W jakieś szare coś z pazurami na końcach. Pociął mnie. Powiedział, że jeśli pójde na policję, to mnie zabije. Wiem, jak to brzmi. Mam to gdzieś, tak było. Idźcie do tego domu. Jest czwartek i mają swoją cotygodniową imprezę z mordowaniem psa.

Patrzyła na Cuttera wyzywająco, jakby czekała, aż nazwie ją kłamcą. Cutter nie okazywał emocji.

– Panno Williams – powiedział. – Jeszcze jedno pytanie i zostawiamy panią w spokoju. Muszę zapytać wprost, żeby mieć pewność, że dobrze zrozumiałem. Czy Eugene Patterson, Darius Klein i Andy Jacoby czczą wspólnie diabła?

Przez chwilę zmarszczyła brwi zmieszana, zaraz jednak jej oczy rozszerzyły się w zrozumieniu.

– Nie, nie rozumiesz. To nie ma nic wspólnego z satanizmem. Andy, Darius i pozostali na tej ceremonii nie czczą diabła.

Oni szczą *Eugene'a*.

– Rozumiem, czemu mnie tu wezwałeś Luke. Dobrze zrobiłeś. – Cutter obserwował przez okno rozkwitającą wiosenną zielenią.

– Popieprzona historia, prawda? – stwierdził Luke.

– Ano. Popieprzona. Rozmawiała o tym z kimś jeszcze?

– Z nikim, o kim bym wiedział. Żadnych glin, prasy ani prawników. O ile mi wiadomo, jesteśmy jedyni.

Cutter przetrwał sytuację. Jeśli zależy jej na kasie, to po co wymyśla tę szaloną historię o Pattersonie, któremu wyrastają szpony jak jakiemuś potworowi z filmu? Ludzie wysłuchaliby o modleniu się do diabła i napaści. To zagwarantowałoby jej dostanie się do telewizji, podpisanie umowy na film tygodnia i ściągnięto uwagę łowców nieszczęść, którzy zlecieliby się do niej jak muchy do gówna. Tylko, że jak dodasz część z pazurami, z ofiary natychmiast zmienisz się w świra. Nikt nie słucha świrów.

– Jej historia jest zbyt popieprzona – Cutter mamrotał do siebie.

– Część z pazurami, tak. Ale może mówić prawdę o tym psie. Jacoby i Klein robili to wcześniej.

Cutter skinął głową. Musieli to sprawdzić. Nie mogli dostarczyć NFL plotek o takim graczynie jak Patterson. Musieli mieć *pewność*.

– Zawsze podchodzimy ostrożnie do opowieści mściwych eks. Zwłaszcza historii *szalonych* eks. Na razie Patterson jest czysty, niemniej musimy mieć pewność, że nie wyznaje szatana. Takie gównie może zniszczyć całą markę.

– Ale powiedziała, że nie czczą szatana – wtrącił cicho Luke – tylko Pattersona.

Cutter nic nie odpowiedział. Ten komentarz martwił go najbardziej. Nawet jeśli chciała się zemścić, po co powiedziała coś tak głupiego? Głupiego przez duże gie. Mogła zeznać, że czci diabła i byłoby po sprawie. Podejrzane. Gównie prawda, oczywiście, jednak podejrzane.

Wjechali w uroczą część miasta. Szereg dużych, starych domów wyrastał po obu stronach ulicy, na przemian z rozłożystymi wiązaniami, które w nocy wyglądały przytłaczająco i mrocznie. Mimo późnej pory w ciężkim powietrzu unosił się zapach świeżo ściętej trawy. Przejechali raz obok domu Jacoby'ego i zaparkowali cztery domy poza zasięgiem wzroku.

Budynek był ogromną, trzypiętrową szkaradą z paskudnymi schodami przeciwpożarowymi zasłaniającymi prawie każde okno. Jakiś przedsiębiorca podzielił niegdyś piękny, stary domek na ciasne mieszkania i poupychał w nich studentów. Ciągła, cienka strużka dymu dryfowała z wąskiej rury na dachu.

Cutter i Luke sprawdzili broń, a następnie po cichu weszli do środka. W pobliżu rosły zaniedbane krzewy. Wspięli się na górę schodami pożarowymi i ostrożnie weszli na korytarz pierwszego piętra. Wewnątrz miejsce wyglądało jak rudera: zapadająca się podłoga, podrapane drzwi, odpadający tynk. Ściany pokrywało graffiti i plakaty. Niektóre malunki wywoływały uczucie obrzydzenia. Cutter nie chciał myśleć o tym, czym zostały zrobione.

Ostrożnie szli przez pogrążony w nocnej ciszy dom. Nagie żarówki oświetlały drugiej świeżości meble. Niezasłane materace zdobiły podłogę w każdym pokoju. Śmierdziało przetrawionym piwem, papierosami i trawką.

Tak jak przewidziała Colletta – pusto. Z piwnicy przesączały się dziwne dźwięki. Dwóch agentów ochrony NFL zeszło delikatnie po skrzypiących schodach na parter. Zamknięte drzwi do piwnicy znajdowały się pod schodami, kilka metrów od wejściowych.

Luke uchylił piwniczne drzwi i zajrzał do środka.

– Nic nie widzę – wyszeptał. – Jeśli wdepniemy w jakieś gówno, wracamy po schodach i wychodzimy przez frontowe drzwi. Piwnica ma długość domu, więc jest spora. Colletta mówiła, że są na końcu. Powinno nam się udać zejść niepostrzeżenie.

– Schodzimy – powiedział Cutter. – Jestem za tobą.

Luke ruszył na dół. Cutter ledwo widział w nikłym świetle. Z każdym krokiem wypatrywał miejsc do ukrycia. Usłyszeli niepokojące dźwięki – fragmenty pieśni, echo.

Ściany z pustaków były pokruszone i lekko wilgotne. Pod stopami rzeził piasek pokrywający betonową podłogę. Niewidoczne w ciemności pajęczyny łaskotały ich twarze i włosy. Puste otwory drzwiowe przezierały co kilka metrów, odsłaniając gęstą czerń wielu małych pomieszczeń. W tych pokojach piętrzyły się niezliczone przedmioty, które poprzedni właściciel trzymał na przyszłość, a o których nowi nie wiedzieli, albo zostawili z lenistwa – stosy spleśniałych gazet, zardzewiały trójkołowiec, rolki, pozostałości dywanów, do połowy opróżniony worek nawozu azotowego związany pocerniałą skakanką. Stare, gnijące meble i przemokłe kartonowe pudła zajmowały prawie każdy centymetr piwnicy. W niektórych miejscach stosy gratów dochodziły do sufitu.

Po cichu skręcili za róg, trzymając się blisko ścian. Odgłosy złały się w zawrocie jakiegoś nieślubnego, odległego kuzyna Gregorianów. Cutter nie rozpoznawał ani jednego słowa. Mimo tego dźwięk powodował pierwotny chłód na plechach, wzbudzał instynktowny niepokój.

Ruszyli w jego kierunku.

Na środku podłogi płonęło ognisko. Dym unosił się do szerokiego metalowego leja, a potem rurą wychodził z piwnicy. Migoczące płomienie raziły przyzwyczajony do mroku wzrok Cuttera.

Zaskoczyła go liczba sekciarzy. Spodziewał się trzech, czterech osób, a wokół ogniska siedziało co najmniej dziesięć. Tańczące języki ognia rzucały chaotyczne cienie na rozśpiewane twarze. Wszyscy byli bardzo *młodzi*. Dzieciaki z koledżu w młodzieżowych ubraniach.

Cutter zatrzymał się dobre dziesięć metrów od grupy. Przykucnął za wysiedzianym fotelem pokrytym rozdarciami i taśmą klejącą. Spojrzał na Luke'a, który stał jakieś trzy metry z prawej za stołem starych pudeł po bananach Chiquita.

Jak na komendę, Patterson wyszedł z cienia i stanął w świetle ogniska. Naprzeciwko Cuttera. *Mamy cię, ty chory szczeniaczku*. Jeśli zamierzali dzisiaj zabić psa, chłopak nie miał przyszłości.

Na żywo wyglądał na większego niż w telewizji, nawet bez futbolowych ochraniaczy. Może dlatego, że stał, gdy pozostali siedzieli po turecku na podłodze. A może po prostu był ogromną, dwumetrową, studwudziestokilową górą mięśni. W ciasno opinającej jego wyciosane z kamienia ciało koszulce wyglądał jak super bohater. Cutter miał szczerą nadzieję, że nie będzie musiał się mu dzisiaj przeciwstawiać. Widział w telewizji „tupot małych stópek Pattersona” – olbrzym poruszał się jak pociąg towarowy.

Gdy patrzył na zgromadzonych, jego czarne, szeroko otwarte oczy płonęły, odbijając mieniący się ogień. Usta otworzył w nieprzyzwoicie dumnym uśmiechu. Cutter pierwszy raz z życia wiedział, że patrzy na coś złego do szpiku kości.

– Moje dzieci! – Głos Pattersona zagrzemiał w piwnicy. – Zbliży się czas naszej ekspansji.

Cutter rozpoznał jego kulturalny głos oraz wart milion dolarów uśmiech, dzięki któremu stał się ulubieńcem mediów podczas wywiadów po meczach. Tylko, że teraz nie opowiadał z niecierpliwością o *zagraniach, drużynie, pewności siebie* i tych

wszystkich futbolowych truizmach. Ton głosu miał mroczny i głębszy, niż Cutter zapamiętał.

– Chwała niech będzie Buranti – jednogłośnie powiedzieli śpiewający.

Patterson uniósł ręce. Niespodziewanie wszelkie dźwięki ucichły, jakby wszystkie karki odcięła gilotyna. W ciszy trzaskał płomień.

– Każdy kościół potrzebuje pieniędzy i nasz nie jest wyjątkiem – powiedział Patterson. Brzmiał jak teleewangelista, pełny pasji kładł nacisk na każde słowo. – Dzień rekrutacji zbliża się wielkimi krokami i zostanę wybrany w pierwszej kolejności. Mój agent mówi o dziesięciu milionach dolarów premii i mamy wstępne umowy z MacDonaldem i Nike.

Świetnie – pomyślał Cutter. – Nike Air Evil. Biegnę kupić parę.

Patterson kontynuował kazanie.

– W ciągu kilku tygodni do naszej dyspozycji będzie dwadzieścia milionów. Media zrobią ze mnie natychmiastową gwiazdę. Mój wpływ na młode umysły będzie coraz silniejszy. Wszyscy pomogą rozwinąć kościół, gdy będziemy jeździć od miasta do miasta.

Cutter przyglądał się surrealistycznej scenie. Ci ludzie *czcą* Pattersona. Uwielbienie wycierało z ich oczu, gdy go podziwiali z podłogi. Wznosił się nad nimi, rozpościerając ramiona w parodii ukrzyżowania.

– Andy, Darius – zawołał w stronę drugiego końca piwnicy. – Zaczynamy.

Showtime. Zabiją psa, a potem on i Luke wyslizgną się z tego popapranego filmu z Vincentem Pricem. Jako kandydat Eugene Patterson był skończony. Przez duże es. Z kretesem. Gdy poderzną gardło temu zwierzęciu, poderzną również Pattersonowi.

Jacoby i Klein, ubrani na czarno, wyłonił się z głębi zatęchłej piwnicy. Ponownie rozległ się śpiew, głośniejszy i bardziej intensywny, rezonował pomiędzy ścianami ze śmiertelną siłą. Grupa rozwarła koło, robiąc dla nich miejsce i nagle Cutter mógł w pełni zobaczyć Jacoby’ego, Kleina i psa.

Tylko, że nie prowadzili psa. To była dziewczyna.

Cutterowi opadła szczęka. Jacoby i Klein ciągnęli kobietę do środka kręgu. Wyglądała na siedemnaście lat. Miała na sobie jeansy i pomarańczową bluzę Tigersów. Po twarzy spływały jej łzy, których strumienie migotały w ogniu. Płacz tłumił knebel z chustki. Szeroko otwarte oczy i drżące ciało zdradzały przerażenie. Nie mogła ważyć więcej niż czterdzieści pięć kilo. Najedzona.

Cutterowi zaszumiało w głowie. Sytuacja przekroczyła kwestie bezpieczeństwa NFL – życie dziewczyny było zagrożone. Jego dłoń instynktownie sięgnęła po pistolet, lecz się powstrzymał. Nigdy nie działał impulsywnie, nigdy bez namysłu. Spojrzył na Luke'a kucającego w cieniu, trzymającego wyciągniętą broń.

– Nadszedł czas, moje dzieci! – głos Pattersona przebił się przez zagłuszającą pieśń. Uśmiechnął się szeroko jak drapieżnik zbliżający się do rannej i wycieńczonej zwierzyny. – Tak jak obiecałem, zobaczycie moje prawdziwe oblicze.

Zerwał z siebie koszulę, odsłaniając odlaną z żelaza sylwetkę. Jego ciało zaczęło drżeć. Mięśnie spinały się i rozkurczały, jakby złapane w ataku padaczki. Cutter poczuł, że poziom ekscytacji przekroczył wszelkie granice. Śpiew stał się jeszcze głośniejszy i mocniejszy; podniecenie namacalne.

Wtedy Lawrence Cutter zrozumiała, że Colletta Williams wcale nie była szalona.

Nic dziwnego, że jest tak cholernie dobry. To była ostatnia racjonalna myśl Cuttera w życiu. Jego oczy zbierały informacje, których umysł nie przyjmował, jakby jego intelekt wywiesił na drzwiach kartkę „wyszędłem na obiad” i po cichutku wymknął się tylnym wyjściem. Nie mógł jednak oderwać wzroku. Chłonał całe rozgrywające się przed nim szaleństwo.

Szczęka Pattersona zapadła się do wnętrza głowy, zmarszczyła jak rodzynek i cofnęła. Pozostała jedynie dolna warga, wyglądająca jak ostrze łopaty wystającej z szyi. Oczodoły wybrzuszyły się do

przodu jak rogi byka, zakończone jasnymi, zielonymi oczami na czubkach.

Nie widzę tego. Nie ma mowy.

– Buranti – skandowali namiętnie zgromadzeni. – *Buranti!*

Gruba szyja Pattersona wyciągnęła się i zwężyła. Głowa oddalała się od jego ciała z nieprzyjemnym chrzęstem. Kostne rogi przebijały skórę wzdłuż obu boków żyrafiej szyi.

Niemożliwe – pomyślał Cutter. – *Kurwa, niemożliwe.*

Fala transformacji dotarła do barków. Każde ramie rosło wąskie i długie, stawało się zwinniejsze, prawie jakby kości wewnątrz się rozpuściły, pozostawiając jedynie poskręcane mięśnie. Dłonie rozciągnęły się w długie, zakończone pazurami szpony. Z mięśni piersiowych Pattersona wystrzeliły macki, identyczne do tych, które spazmatycznie falowały z jego ramion, jak anakondy. Jego skóra szybko zszarzała, stała się szorstka jak żwir. Patterson, albo to co kiedyś tak się nazywało, unosiło się nad grupą. Cienkie, wysokie co najmniej na dwa i pół metra i twarde jak porysowana ołowiana rura.

Jak na komendę, dźwięki, skandowanie *Buranti!* i transformacji Pattersona ucichły, pozostawiając jedynie trzask ognia i szloch dziewczyny. W umyśle Cuttera nie pozostało nic oprócz pierwotnych instynktów. Błyskawicznie wyciągnął broń i odbezpieczył.

– Moje dzieci – rozbrzmiał nieludzki głos. – Zaczniemy imprezę! Rozprujmy dziewczynę i upijmy się!

Ktoś włączył niewidocznego wcześniej boomboxa. Muzyka techno wypełniła piwnicę. Mężczyźni ze wzrokiem utkwionym w ofierze podrygiwali do elektronicznego rytmu, ale nie wstali. Klein trzymał jej wiotkie ciało za ramiona. Jakoby wyciągnął ogromny, zdobiony nóż z zagiętym trzydziestocentymetrowym ostrzem.

W pokoju zagrział wystrzał, tak niespodziewanie, że Cutter się poszczał.

Dwa strzały Luke'a eksplodowały w zamkniętej przestrzeni jak armaty. Jacoby jęknął, gdy kule trafiły go w pierś i odrzuciły ciało do tyłu. Nóż wypadł mu z ręki i uderzył dźwięcznie o betonową podłogę.

Scena natychmiast przełączyła się z *nieruchomej* na *szybkie przewijanie*. Z niesamowitą szybkością Patterson zanurkował w cień. Śpiewający zerwali się z miejsc i rozpierzchli jak karaluchy.

Pistolet Luke'a wyrzucił jeszcze trzy kule. Jeden pocisk dopadł prawe ramię Kleina. Zarzuciło nim i uderzył o brudny beton jak bączek, któremu skończyła się energia. Związana i zakneblowana studentka stała nieruchomo, sparaliżowana strachem.

– Cutter, bierz dziewczynę! – krzyknął Luke.

Jak na autopilocie Cutter przeskoczył przez kanapę i pognął do przodu. Przerzucił kobietę niezgrabnie przez ramię i pobiegł w stronę schodów.

– Łapać tych sukinsynów! – Niski, ochrypły głos Pattersona przebił się przez dudnienie muzyki. – Nie pozwólcie im uciec!

Cutter lawirował przez labirynt starych mebli i spleśniałych pudeł. Potknął się, obciążony wierzgającą, spanikowaną dziewczyną. Zdążył jeszcze usłyszeć kolejne trzy strzały z lewej, zanim coś wyskoczyło ze śmieci z prawej. Skręcił i błyskawicznie wypalił cztery razy. Usłyszał krzyk bólu i poczuł, że coś ciepłego i mokrego obryzgało mu twarz.

Mimo, że błysk wystrzału oślepił jego przyzwyczajony do ciemności wzrok, nadal mógł odnaleźć schody i uciec, jeśli tylko dobiegnie do ściany. Dwa kolejne strzały rozbrzmiały z broni Luka.

– Luke, spadamy stąd! – Cutter przedzierał się przez stęchły bałagan na podłodze.

Coś poruszyło się przed nim. Nawet nie sprawdził celu, od razu strzelił dwa razy. Cokolwiek to było, poleciało do tyłu i uderzyło w ścianę, upadając na podłogę jak zwiotczała kukła.

Dotarł do ściany i sunął wzdłuż szorstkiej, wilgotnej powierzchni, trzymając pewnie wijącą się dziewczynę. W końcu zobaczył schody. Skręcił za róg i kucnął. Luke pędził w jego, stronę omijając starą, spróchniałą szafę.

Po wszystkim obwiniął Luka, że biegł zbyt długo, obwiniął słabe światło, że nic nie widział, obwiniął siebie, że nie zauważył, obwiniął dziewczynę na swoim ramieniu, że przysłaniała jego wzrok. Niezależnie od przyczyny, przeoczył dzierżącego nóż studenta zaraz po prawej. Chłopak skoczył na Cuttera, tnąc bezlitośnie kościstym nożem. Ostrze zatopiło się w plecach dziewczyny. Wydała stłumiony kneblem krzyk. Upadający chłopak przewrócił całą trójkę i wylądował twarzą na Cutterze, którego plecy uderzyły głucho o betonową podłogę.

Mężczyzna – szybki, młody i zwinny – wstał na kolana. W ręce nadal ścisnął nóż, gdy uśmiechnął się do Cuttera, na jego twarzy rysował się złośliwy grymas.

Cutter strzelił co najmniej pięć razy. Z tak bliskiej odległości klatka piersiowa chłopaka zmieniła się w mięso mielone. Krew obryzgała twarz i tułów Cuttera drobnymi kroplami i obfitymi strumieniami. Obrócił się w stronę dziewczyny i sprawdził puls; słaby i szybko zanikający. Ostrze przebiło jej serce. Cutter poczuł, że powoli traci rozum.

Luke dobiegł do niego, płaskie podeszwy jego butów głośno stuknęły o usłany ziemią beton.

– Nie żyje? – zapytał Luke. Jego oczy migotały w ciemności.

– Przez duże en – odpowiedział spanikowanym głosem na granicy szaleństwa Cutter. Obaj usłyszeli ruch i strzelili w ogólnym kierunku pogrążonej w ciemności piwnicy. Cutter prowadził, gdy obaj biegli po schodach, uciekając od niebezpieczeństwa.

Dotarł na szczyt schodów i pędził w stronę drzwi wyjściowych. Wychodząc, zmienił magazynek w swoim pistolecie. Światła uliczne migotały, oświetlając zachwaszczony trawnik surrealistycznym, księżycowym blaskiem. Udało mu się uciec od tego szaleństwa, dzielił go jedynie krótki trucht od samochodu, od bezpieczeństwa.

Luke pojawił się w drzwiach sekundę po nim. Sekundę za późno.

Cutter obrócił się i zobaczył kilka macek, część złapała każdy bok framugi, jedna trzymała drzwi, a pozostałe oplótły klatkę piersiową

Luke'a i uniosły go nad ziemię. Twarz Luke'a przeszły zdziwienie pomieszane z przerażeniem. Oczorogi Pattersona wyjrzały przez drzwi, a zanim podążyła reszta potwornej głowy, zwisająca na długiej, węzowej szyi. Jego kamienista, szara skóra migotała delikatnie w świetle latarni. Wąskie usta wyszczerzył w zwycięskim uśmiechu. Duszę Cuttera przeszły strach, niczym pocisk grzybujący. Luke szarpał się panicznie, strzelał za siebie, próbując trafić stworzenie. Iglica uderzyła w pustą komorę zaledwie pod dwóch strzałach.

Broń Cuttera rozbłysła błyskawicznie, trzymał pewnie obie dłonie na rękojeści, ale Patterson zareagował szybciej. Bez wysiłku podniósł Luke'a, blokując kulę.

– Jezu, Cutter! – krzyknął Luke. – Zastrzel to cholerstwo!

Wzrok oczorogów nie opuszczał Cuttera nawet na sekundę, gdy wolna macka sunęła w stronę brzucha Luke'a. Poruszała się szybko, przebijając się przez koszulę, a następnie przez żołądek, jak wielki, szary wąż wślizgujący się do świeżej nory. Agonalny krzyk rozdarł uliczną ciszę, odbijając się echem od ceglanych ścian, pognął w upalną noc.

Nieoczekiwanie macka opuściła spustoszone wnętrza z chlupotem i plaśnięciem. Usta Luke'a pozostały rozwarte, zamarłe w ostatnim tchnieniu, szeroko otwarte oczy wpatrywały się pusto w umazaną krew kończynę, podnoszącą przed nim jego własne serce. Cutter nie miał pewności, czy usłyszał jego ostatnie uderzenie, czy mu się tylko zdawało. Na ciemny, brudny chodnik z organu kapłała krew.

Czas się zatrzymał. Luke patrzył na swoje własne serce. Cutter patrzył na pośmiertny grymas kolegi. W powietrzu unosił się niewyraźny odgłos krwi kapiącej na ziemię.

Serce uderzyło Cuttera w twarz z plaśnięciem surowego mięsa. Upadło na ziemię. Cutter mrugnął i upadł na kolana, instynkt, jego jedyne połączenie z poczytalnością, zmusił go do ponownego uniesienia broni.

Patterson rzucił Lukem o ziemię i błyskawicznie wycofał się w cień budynku, zatraskując za sobą drzwi. Pistolet Cuttera eksplodował. Kule przeszły drzwi.

Przestał strzelać i spojrzał na przyjaciela. Oczy i usta Luke'a pozostawały otwarte, jakby nadal próbował znaleźć słowa, aby błagać o życie. Jego nasączona krwią koszula w świetle ulicznym wyglądała na wilgotną i czarną. Nienawidząc siebie, Cutter sięgnął do kieszeni w kurtce zmarłego i wyciągnął kluczyki.

Pognał w dół ulicy do samochodu. Nic nie zakłócało dusznego, wilgotnego, nocnego powietrza – jakby znalazł się w mieście duchów. W oddali dochodziły jedynie przytłumione odgłosy ruchu ulicznego, niczym muzyka w tle. Cutter słyszał swoje własne kroki, uderzające głośno o chodnik.

Widział ruch przed sobą, możliwe, że ludzi, możliwe, że nie. Rzucił się w wąską, wybrukowaną przestrzeń pomiędzy bliźniakiem a kolejnym, ozdobionym schodami przeciwpożarowymi budynkiem. Musiał się ukryć. Złapać oddech. Dojść do siebie i przygotować na bieg do samochodu. Przepętniony śmietnik wypełniał połowę zaułka. Zanurkował za niego, lądując na podartych workach, przejechał po śmierdzących śmiechach w objęcia mroku.

Zbliżające się syreny policyjne raniły nocną ciszę. Policja dojedzie tu za kilka sekund. Może Patterson się ukryje, a może i nie. Cutter nie zamierzał ryzykować. Niech najznakomitsi z Memphis zajmą się Pattersonem (*który NIE był – jego mózg mocno przypominał – żadnym, pieprzonym demonem z Azji*). Zamierzał wsiąść do samochodu i nie zatrzymywać się aż do Manhattanu.

Chwycił broń i wstał, jego umysł dusił się w uścisku szaleństwa. Wyjrzał zza śmietnika. Pusto. Zrobił niepewny krok do przodu, oparł się o kontener i przesunął wzdłuż niego. Wziął głęboki oddech i ostrożnie wyszedł z zaułka. Z daleka zobaczył pierwszy blask czerwonych i niebieskich świateł tańczących w koronach drzew i oknach.

Trzeba uciekać, trzeba uciekać. Patterson się zbliża. Idzie mnie dopaść.

Radiowozy zatrzymały się z piskiem opon przed domem Jacoby'ego. Cutter wyszedł z zaułka i popędził przed siebie.

Usłyszał warknięcie towarzyszące szybkim krokom, milisekundę przed tym, zanim coś twardego, grubego i silnego uderzyło go jak naddźwiękowa kula armatnia. Grube, umięśnione ramiona – ludzkie ramiona – owinęły się wokół Cuttera jakby studwudziestokilowy, wkurzony zaliniowy⁵ zwalił go na ziemię.

Pistolet Cuttera wypalił raz, ale kula nieszkodliwie zaorała trawę.

Policyjne latarki skierowały się w jego stronę, poszukując strzelca w ciemności. Patterson płynnie przeturlał się z Cuttera i zniknął niezauważony w mroku.

Nie, tego też nie zauważyłem – pomyślał Cutter, zanim odpłynął w ciemność – *ale usłyszałem. Jestem tego pewny.*

– To pana historia, panie Cutter? – Zastępca prokuratora w Memphis Kelly Fife patrzyła na niego uważnie. Z powagą zarezerwowaną dla winnych przestępców. – Twierdzi pan, że pan i pana partner zastrzelili sześciu studentów, zadźgali jednego i ranili dwóch, ponieważ Eugene Patterson jest zmiennokształtnym, azjatyckim demonem o imieniu Buranti?

– Nikogo nie dźgnałem – odpowiedział Cutter, kiwając się w tył i w przód na krześle. Wiedział, że wygląda jak szaleniec, ale swędziała go dupa, a kaftan bezpieczeństwa nie pozwalał się podrapać. – Patterson idzie do NFL, aby zarobić pieniądze, aby zdobyć władzę i wpływy, żeby wciągnąć więcej dzieciaków do swojego kościoła. Zabił Luke'a.

– Taa. Mimo że nie możemy znaleźć Luke'a Moore'a, albo jego ciała, a pozostali studenci twierdzą, że Pattersona tam nigdy nie było?

Co to było? Cutter odwrócił się nagle w prawo. Słyszał hałas, ten sam pieprzony hałas, jaki słyszał, odkąd się obudził.

– Wszystko w porządku, panie Cutter?

– Wydawało mi się, że coś usłyszałem – odpowiedział. Na jego czole i górnej wardze perlił się pot. Brakowało mu tchu, a cholerny kaftan strasznie *swędział*.

Co to było? Cutter spojrział w lewo tak gwałtownie, że spadł z krzesła. Leżał na podłodze, wpatrując się w ścianę.

Fife wstała i spojrzała na policjanta, który pilnował celi Cuttera.

– On tak zawsze?

– Tak, proszę pani – odpowiedział policjant.

– Gość dawno odleciał. Nie ma szans, żeby postawić tego psychola przed sądem.

Wyszła z celi. Policjant chwycił dwa krzesła i wyniósł je na zewnątrz, następnie zatrzasknął drzwi, pozostawiając Cuttera samego.

Zerkał szaleńczo to na lewo, to na prawo i za siebie.

Usłyszał to.

Wiedział, że usłyszał.

Usłyszał tupot małych stópek Pattersona.

Uwagi autora do *Numeru jeden z kulą*

Numer jeden pojawił się najpierw w książce: *Monsters From Memphis*, wydanej w 1997 przez Beecher Smith. Opowiadania zebrane w tej antologii dzieją się w Memphis albo w okolicach, stąd tytuł. Pisałem je, nigdy nie będąc w Memphis, ale pomyślałem, że jeśli skupię się na historii z potworem w uniwersyteckiej drużynie futbolowej, to może się załapię.

Do 1997 napisałem kilka podręczników RPG i artykułów do gazet, ale żadnego opowiadania. *Numer jeden* stanowił mój pierwszy zarobek na czystej fikcji. Opowiadanie zdobyło wyróżnienie w Year's Best Fantasy & Horror na rok 1997.

W pewnym momencie przeczytałem historię o ochronie NFL, prawdziwej organizacji, której celem jest badanie życiorysu kandydatów do poboru. Zawodowy futbol to gra o wysoką stawkę. Drużyny często płacą miliony graczom, którzy są w tak dojrzałym wieku jak dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat. Jeśli tacy gracze znikną po jednym sezonie albo nawet jeśli nigdy nie zagrają w zawodowej lidze, *nadal* dostają pieniądze. Zatem, liga robi wszystko co w jej mocy, aby mieć pewność, że ci młodzi mężczyźni są warci inwestycji.

Jak tylko to przeczytałem, pomyślałem, co by się stało, gdyby podczas kontroli wykryto coś naprawdę paskudnego, jak satanizm. W moim koledżu zdarzały się przypadki składania zwierząt w ofierze, różne truchła zwisały z klatek schodowych, więc to idealnie pasowało.

Uwaga: Nigdy nie miałem nic wspólnego z takimi zdarzeniami. Jedynie z gaśnicą lub dwiema. Ale to już się dawno przedawniło, więc mój RA⁶ może iść się pierdolić.

MT. FITZ ROY

Uwaga: Ta historia jest fragmentem kontynuacji mojej powieści *EarthCore*. Nakład jest wyczerpany, ale można jej posłuchać w postaci audiobooka – za darmo – na podiobooks.com. Wydarzenia w tej historii będą mieć znacznie więcej sensu, jeśli zapoznacie się najpierw z *EarthCore*⁷.

A jeśli już przeczytaliście *EarthCore*? Jeśli jesteście jednym z tysięcy Junkies, którzy przeklinają mnie każdego dnia, bo nie dostali kontynuacji? To mam nadzieję, że łykniecie ten przepisany i zaktualizowany pierwszy rozdział *Mt. Fitz Roy*.

Ręka uniosła się i zacisnęła w pięść.

Patrick O’Doyle przykucnął i chwycił swój karabin FN SCAR. Nasłuchiwał. Czekał.

Słyszał jedynie wiatr, a czasami szelest osuwającego się śniegu.

Spojrzał w górę wąskiej, górskiej ścieżki.

Na przedzie szedł Adrian Collie, w pół-prykucu, powoli mierzył karabinem od lewej do prawej. Gdyby się nie ruszał, byłby niewidoczny. Jego zimowy, nakrapiany kamuflaż zlewał się z białym śniegiem i granitowym szczytem, wtapiał go w obraz podrywanych wiatrem i opadających płatków. Musiał coś usłyszeć i zatrzymał grupę. Może się przesłyszał. Nie szkodzi, za to mu płacili – nieustanną czujność.

Za Adrianem stał Kevin Wagner. Następnie Bertha O’Doyle, żona Patricka. Nie była zbyt zadowolona ze sprzętu, który zabrał ze sobą jej mąż. Kobiety. Co zrobisz?

Za Patrickiem, ostatni członek zespołu, Marcus Weever.

Ich idealnie dopasowane do otoczenia zimowe maskowanie sprawiało, że w bezruchu znikali.

Pięcioro żołnierzy. Jedna misja.

Z przodu Adrian wstał i machnął na oddział. Można iść. Zaczął wspinać się po zboczu, a pozostali podążyli za nim.

Patrick nienawidził być w środku. Zawsze pierwszy mierzył się z niebezpieczeństwem. Lub przynajmniej zamykał tyły, ochraniając wszystkim tyłki. Niestety te czasy minęły. Teraz był liderem, dowódcą. Ktoś inny z przodu, ktoś inny z tyłu – dowódcy nie można narażać. To oraz fakt, że nie należał już do najmłodszych. Cholera, miał czterdzieści jeden lat. Ponad dwa razy więcej niż Adrian. Ach, żeby tak ponownie stać się dwudziestolatkiem na prowadzeniu. To były czasy.

Patrick zerknął na cyfrową mapę przywiązaną do nadgarstka. Cel jaśniał wyraźną, zieloną kropką. Zbliżali się. Jeszcze tylko kilka minut.

Czekali na ten moment od tygodni. Dwa tygodnie treningów, stopienia grupy pięciu osób w spójną jednostkę bojową. Potem tydzień rekonesansu – cztery dni w jedną, trzy dni w drugą stronę, przetrwanie na racjach żywnościowych, możliwie minimalne zakłócanie środowiska naturalnego. Zdjęcia satelitarne to wspaniałe wynalazki i pomaga, ale nic nie przebije zażyłości butów z ziemią. Ta przyjaźń obrodziła planem tras, najlepszą drogą na płaskowyż. Najprościej byłoby dla nich podążać ścieżką odkrytą przez Sonny'ego McGuinnessa, ale Patrick wolał nie ryzykować, że hałaśliwy tyłek poszukiwacza zwróci na siebie uwagę.

Wyruszyli po treningu, zwiadzie i planowaniu. Cztery dni w górach. Nie spieszyli się. Musieli mieć pewność, że nikt ich nie śledzi, pewność, że nie wchodzi w pułapkę. Nie było pośpiechu, poważnie – te dupki czekały tysiące lat, aby ich wybić. Kilka dni więcej nie robi różnicy.

Kupili całą wioskę pięć kilometrów stąd. Nie kilka budynków, całą wieś. EarthCore był przydatny w takich sytuacjach. Płacili za fajne rzeczy. Takie jak wioski, ale również najemników, broń

(mnóstwo broni), a nawet – uważajcie dzieciaki, bo to nie jest typowa nagroda z chrupek – rosyjską, walizkową atomówkę.

Patrick niósł ją w plecaku. Brał udział w walce uzbrojony po zęby, ale to już było przegięcie. Nic nie przebije pięćcipółmegatonowego prezentu, żeby powiedzieć „dziękuję za taniec, towarzyszu”.

Broń jądrowa. Przez to Bertha sikała w gacie. Zatrzymała się i obejrzała na niego, jakby czytała mu w myślach. Nawet dwadzieścia metrów dalej widział jej gniewnie zaciśnięte oczy. Uśmiechnął się najlepiej, jak umiał.

Odwróciła od niego wzrok, szła razem z Adrianem i Kevinem.

Kobiety.

Powiedziała mu, żeby nie brał atomówki. Powiedziała mu, żeby ktoś inny ją niósł. On nalegał. Poprosiła ponownie. Zagroziła mu. On nadal się upierał.

Potem zrobiła coś, czego nigdy nie zrobiła dla żadnego mężczyzny.

Błagała.

Jednak on się nie ugiął. Nigdy nie zmusiłby nikogo do takiego poświęcenia. Własnoręcznie zanieś tę bombę i zgładzi tę zdegenerowaną rasę atomem.

W Utah te bestie miały własną atomówkę, niezłe bydlę. Ale nie mógł mieć pewności, że cztery kilometry pod powierzchnią Mt. Fitz Roy będzie podobna. Nawet jeśli, Patrick nie miał pojęcia, czy udałoby mu się ją odpalić. Niczego nie mógł być pewny – nie wiedział nawet, czy kamieńczaki nadal tam są.

Jeśli były, czas, żeby wsiadły do atomowego pociągu do Extinctionville. Jeśli nie, EarthCore wymyśli, jak zmusić rządy Argentyny i Chile do udzielenia pozwoleń na wydobycie sześciokilometrowego platynowo-irydowego samorodka. Zemsta lub bogactwo – tak czy inaczej, Patrick, szef Patricka, Barbara Yakely i sikająca ze strachu żona Patricka, Bertha, wygrają.

Patrick zobaczył, jak Adrian minął grzbiet, przeszedł pomiędzy dwoma głazami i zniknął z pola widzenia. Prowadzący dotarł do celu. Za minutę Wagner był za krawędzią. Potem Bertha. W końcu

Patrick prześlizgnął się pomiędzy dwoma głazami i znalazł się na małym płaskowyżu.

Wyniosły, prawie prostokątny główny szczyt Mt. Fitz Roy wznosił się dumnie nad nimi, wypiętrzając się z tylnej krawędzi niewielkiej, prawie płaskiej przestrzeni. O'Doyle rozejrzył się. Troje członków zespołu, każdy ubrany w zimowe maskowanie pokrywające ich zbroje, tworzyło szeroki okrąg. Karabiny skierowali na zewnątrz. Byli zdyscyplinowani, spokojni i profesjonalni. Perfekcyjni. Na środku tego idealnego koła stał niski Murzyn z rękami skrzyżowanymi na piersi i głową ostro zwróconą w prawo.

– Sukinsyny – rzucił Sonny McGuinness. – Jesteście cichsi niż pierd w kościele.

O'Doyle nic nie odpowiedział. Trzymał prawą rękę pewnie na broni. Lewą wyciągnął przed siebie i machnął trzy razy, ponaglając Sonny'ego, żeby przykucnął.

Sonny zaczął się śmiać.

– Nie ma ich tutaj, Van Goghu. Wiedziałbym, gdyby były.

Van Gogh. O jakże śmieszne przezwisko Patricka, odnoszące się do jego dawno przypalonego prawego ucha.

– Zamknij się, Sonny. Pokaż.

Sonny skinął głową, podszedł w stronę tylnej części płaskowyżu, gdzie skalna ściana wzbijała się ku niebu. Tam, u podstawy, wskazał na małą ciemną plamkę.

Jeszcze mniejszą, niż Patrick się obawiał. Przejdzie przez nią. Musi przejść. Reszta zespołu nie powinna mieć zbyt wiele problemu. Nikt nie był wyższy niż metr siedemdziesiąt. Bertha zaczęła ich nawet nazywać Munchkinami. Mężczyźni zostali wybrani specjalnie pod kątem wzrostu, jak i umiejętności bojowych.

Marcus Weever wysunął się spomiędzy głazów. Zespół był w komplecie. Czas wejść do środka.

– Dobra, ludzie – powiedział Patrick. – Zaczynamy.

Podeszli do niego, uważnie rozglądając się na wszystkie strony.

Adrian zatrzymał się. Popatrzył na wschód, wpatrywał się w niebo.

– Słyszysz coś? – zapytał Patrick.

Adrian nadal stał nieruchomo, następnie pokręcił głową.

– Wydawało mi się. To chyba tylko wiatr.

– Tam, dokąd idziemy, nie będzie żadnego wiatru. Gotowi?

Jego ludzie, łącznie z żoną, skinęli głowami. Wszyscy nieśli ze sobą karabiny FN SCAR z amunicją 7,62 NATO. Wszyscy poupychali po trzynaście magazynków (Patrick miał dwadzieścia, Berthie udało się pomieścić piętnaście). Do tego każdy miał Glocka 22 z amunicją kaliber .40. Całe to gówno prawdopodobnie jedną kulą zatrzyma kamieńczaka albo jednego z tych srebrobaków. Prawdopodobnie. Nie miał pojęcia, z iloma będą musieli się zmierzyć, ale wchodzili do rozległej sieci tuneli i możliwe, że spędzą tam wiele dni – objętość i waga były niezmiernie ważne.

Każdy miał też takie samo nakrycie głowy: w pełni zamknięty, dopasowany na rozmiar hełm z kevlaru, z tytanową osłoną wzmocnioną włóknem węglowym; nadajnik niskiej częstotliwości do komunikacji w długich tunelach oraz opuszczane na twarz gogle noktowizyjne, dzięki którym w pozbawionych światła jaskiniach będą widzieć jak w wiosenny poranek. Pod tym wszystkim KoolSuit⁸, dopasowane do każdego skafandry, pozwalające na przeżycie wielu dni w temperaturach przekraczających sto stopni Celsjusza. Dodaj do tego granaty, liny, sprzęt wspinaczkowy, racje żywnościowe, manierki – zespół był przygotowany na speleologię wszechczasów.

Reszta to już kwestia osobistych preferencji. Bertha niosła miny Claymore. Może nie miała ciała supermodelki, ale mogła udźwignąć tyle co koń pociągowy. W plecaku Wagnera zadomowił się eksperymentalny generator impulsu elektromagnetycznego, jednorazowe urządzenie, które przepali każdą elektronikę w promieniu kilometra. Marcus dźwigał czterostrzałową wyrzutnię rakiet i swoją szczęśliwą łapkę iguany.

Adrian nie miał żadnego ciężkiego sprzętu. Był na przedzie i przy jego stu sześćdziesięciu pięciu centymetrach i sześćdziesięciu kilogramach nie nadawał się do tego. Miał za to ze sobą dwunastostrzałową strzelbę Bernelli M4 i parę pieprzonych tomahawków. W wąskich tunelach półautomatyczna Bernelli

rozsmaruje wszystko z miejsca. Kamienne ściany poprowadzą wystrzał, sprawiając, że odłamki będą odbijać się i rykoszetować w śmiertelnym deszczu ołowiu. Tomahawki wykonano z pojedynczego, czarnego, wyprofilowanego kawałka stali nierdzewnej, owiniętego skórą na rączkach. Każdy zwisał przy jednym udzie. O'Doyle uważał, że to głupie, ale niewysoki mężczyzna wielokrotnie wykazał się wprawnym wykorzystaniem broni. Nadawała się jako cichy zabójca w walce wręcz, jak i do rzucania na dystans trzydziestu metrów.

Jego drużyna wyglądała na gotową. Na ich twarzach malowała się powaga.

Nadszedł czas. Czas by walczyć z najpaskudniejszym wrogiem, jakiego kiedykolwiek spotkali.

Czas pomścić Connella Kirklanda.

Zadanie Sonny'ego było najprostsze, a zarazem wymagało największych jaj. Wspinał się po górach, samotnie, dokonując rozpoznania kilometrów niezamieszkałych szczytów i dolin. Teren oznaczono jako jeden z narodowych zabytków historycznych, przez co rząd Argentyny blokował dostęp. Nie mogli tak po prostu zrzucić zespołu badawczego, żeby zrobić odwiert albo przeprowadzić to całe tomograficzne gówno, które Angus Kool odstawił w Utah. Angus... ten mały skurwiel. Patrick często wyobrażał sobie, jak Angus umiera w jeziorze lawy, tak wolno jak tylko się da.

Niemniej, fiasko w Utah dostarczyło EarthCore wiedzę o tym, jak zbudowane są gniazda tych kosmitów. Gdzieś wysoko w tych górach powinien znajdować się długi, wąski tunel. Tunel, który prowadzi na sam dół. Na górze Pogrzebowej nazwali ten szlak autostradą Linusa.

To było zadanie Sonny'ego, żeby znaleźć autostradę Linusa na Mt. Fitz Roy, a potem przekazać położenie. Czterdzieści lat przeszukiwania i wspinaczki górskiej pozwoliły Sonny'emu przemierzać nieprzychylny górzysty teren z niesłychaną gracją. Przy nim kozica górską poruszała się jak niezdarny błazen. W tym, co robił, był najlepszy na świecie.

– Hej, Van Gogh, jesteś pewny, że zmieścisz swój wielki tyłek do tej małej dziurki?

Sonny był najlepszy, jasne, ale wśród nich stanowił najśłabsze ogniwo, z jego skłonnością do kaprysów, irytacji, zabobonności i – co najgorsze – hałaśliwości. Te wady sprawiały, że Patrick wolał wykorzystać do zwiadu byłego rangersa. Jak tylko Sonny się o tym dowiedział, zaraz na niego doniósł prosto do Barbary Yakely. Starego poszukiwacza przerażały jaskinie i nie zamierzał do nich wchodzić, ale – jak powiedział Barbarze – prędzej da się wytarzać w świńskim gównie i przeciągnąć nagi po polu kukurydzy, niż pozwoli, żeby zrobili to bez niego.

Sonny nie przyjaźnił się z Connellem, ale stary zgred chciał się zemścić jak wszyscy. Szacunek może być tak samo silną motywacją jak przyjaźń.

Barbara podejmowała decyzje. Chodziło w końcu o jej pieniądze. EarthCore to jej firma. Więc zleciła Sonny'emu zwiad. O'Doyle miał obawy, ale nie miał żadnego wyboru. Teraz, w czasie misji, żałował, że nie połamał Sonny'emu nóg, żeby go trzymać z daleka.

Patrick nie lubił rangerów, ale ranger przynajmniej by się tak nie wydzierał.

– Sonny, siedź cicho.

Sonny zmarszczył twarz w wyćwiczonym grymasie świadczącym o tym, że nikt nie będzie mu mówił, co ma robić.

– Możesz się bawić, żołnierzyku, ile chcesz, ale to nic nie zmienia. Wejście do tunelu jest czyste. Pakujcie tam swoje tyłki i róbcie, co do was należy, żebym mógł wrócić do domu.

Patrick się wyprostował na całe swoje dwa metry wzrostu. Spojrzał z góry na Sonny'ego. Idealne wejście zrujnowane, ponieważ stary głupiec musiał się odzywać.

Wiatr ucichł nieznacznie. W pustej przestrzeni O'Doyle coś usłyszał.

Coś... mechanicznego.

Adrian spojrział na wschód.

– Znowu.

Patrick skinął głową.

– Nie wiem, co to. – Brzmiało prawie jak ultralekki silnik. Patrick omiół wzrokiem horyzont, popatrzył w górę, szukał jakiegoś

pojazdu, który miałby silnik i śmigło zwisające z lotni. Pusto.

Adrian podszedł do skraju płaskowyżu. Rozglądał się to w lewo, to w prawo, następnie spojrział w dół na zbocze.

– Cholera! Co to jest?

Patrick i Sonny podbiegli do Adriana, zobaczyli to co on, ale Patrick nadal nie znał odpowiedzi. Na tle szarości późnego, zimowego popołudnia wyglądały jak sześć samolocików – dwa śmigła na skrzydłach przymocowanych do czegoś, co przypominało opływową trumnę. Całość pomalowana tak, aby pasowała do bieli i szarości szczytu i otaczających wzgórz. Cztery małe, skrzyżowane stateczniki tworzyły ogon. Dużo cichsze od helikoptera i wystarczające małe, żeby zbliżyć się niepostrzeżenie.

Znajdowały się w odległości dwustu metrów. Dwa przednie odchyliły się, podleciały wyżej, a następnie wyrównały lot wzdłuż płaskowyżu.

– Na ziemię! – Patrick sięgnął i złapał Sonny’ego, obejmując go lewym ramieniem jak dziecko trzymające pluszowego misia.

Wiatr się nasilił, ale nie na tyle, żeby zagłuszyć odgłos wystrzału ciężkiego karabinu maszynowego.

Jego oddział poruszał się szybko i skutecznie, pięcioro dobrze wyszkolonych zawodowych żołnierzy, ale nie wystarczająco. Pierwsza seria wzbiła w powietrze jaskrawe iskry, gdy kule uderzyły o granitową powierzchnię. Trzy z nich dosięgły pleców Wagnera. Jedna trafiła w osłonę na plecach, druga w naramiennik. Do przeżycia. Zginął od tej, która trafiła w prawy pośladek. Pocisk przebił ubranie i skórę, potem rozerwał biodro. Jak kula armatnia porcelaną. Mężczyznę zarzuciło od uderzenia, większość ciała poleciała w jedną stronę, natomiast jego prawa nogą w drugą.

– Sukinsyn! – krzyknął Sonny, którego nadal obejmowało ramię Patricka.

Wszyscy zanurkowali za skały, wychylając się jedynie, żeby odpowiedzieć ogniem. Jeden samolocik skręcił ostro w prawo, znikając z pola widzenia.

Niewielka rakietka wystrzeliła z nosa drugiego, ciągnąc za sobą smugę białego dymu.

Patrick rzucił się za głaz chwilę przed tym, jak po płaskowyzu rozległ się wybuch poprzedzający dźwięk uderzających o skały odłamków.

Weever wychylił się z wyrzutnią raket na ramieniu. Smuga jego dymu wpasowała się prawie równolegle do pierwszej. Dosięgła celu w mniej niż sekundę. Dwusilnikowy samolot zamienił się w kulę ognia. Z opadających szczątek unosił się smolisty dym.

Sto metrów dalej wносиła się następna para maszyn – rozpoczynały atak.

Patrick widział już w życiu wiele obrażeń. Zdążył jedynie rzucić okiem, ale to wystarczyło. Musiał doprowadzić swoich ludzi do tunelu, zanim przylecą samoloty – rana Kevina Wagnera była zbyt poważna. Nawet jeśli Patrick weźmie go ze sobą, on i tak umrze.

– Do tunelu! Ruchy, ruchy!

Gdy biegł do małego otworu, nadal trzymał Sonny'ego. Posadził go i wepchnął do środka. O'Doyle odwrócił się, ukląkł, wymierzył i posłał w stronę następnych dwóch samolotów ciągłą serię pocisków. Maszyny wyrównały lot i odpowiedziały ogniem.

Kule kruszyły skały, Adrian i Marcus wślizgnęli się w objęcia tunelu, za nimi podążyła Bertha.

Patrick odwrócił się i zanurkował za nią.

Zakleszczył się – był zbyt duży. Wił się i szamotał z rękami przed sobą, czekając na uderzenie, które zmasakruje mu tyłek, nogi, stopy.

Dłonie złapały go za nadgarstki, pociągnęły. Wyposażenie i skały wbiły mu się w biodra, uda. Wreszcie się precisnął.

– Idźcie w dół tunelu! – ryknął, przykucając pod niskim sklepieniem. – Nie mają gdzie wylądować, więc mogę się założyć, że za nimi idą ludzie.

To tyle jeśli chodzi o siedzenie cicho, przynajmniej na razie. Jeśli w tunelach są kamieńczaki, już wiedzą, że mają towarzystwo.

Kevin Wagner leżał na ziemi, ciężko dyszał, próbując poradzić sobie z bólem. Nie był żółtodziobem. Ani głupi. Umrze tutaj. Chciał

krzyknąć do O'Doyle'a, żeby wrócił, ale nie mógł. Już ogarniał go chłód. Nie zostało mu wiele czasu.

Próbował kontrolować swój ostatni oddech, próbował poczuć smak powietrza. Czy nie powinno się cieszyć każdą ostatnią sekundą, czy jakieś inne gówno w tym stylu? Kto zadba o jego dziecko? Czy facet, który pieprzy jego żonę, nadal będzie to robił? Może dupek się z nią ożeni, może wychowa jego syna jak swojego.

Nie byłoby tak źle. Chłopak potrzebował taty.

Może gość będzie karmił Bubbaha. Kevin poczuł ukłucie straty – staremu, czarnemu labradorowi pęknie serce.

Buczenie wypełniło mu uszy. Kilka ostatnich sekund życia zajęło mu zrozumienie, że to nie odgłos umierania, żadne majaki. Dźwięk był prawdziwy. To te dziwne samolociki.

Były nad nim. Wisiały pionowo, obniżały lot czterostatecznikowym ogonem w dół.

W ostatnich chwilach życia Kevin Wagner zaczął się śmiać. Pieprzone jednoosobowe samoloty pionowego startu? Jak do cholery mieli przewidzieć coś takiego? Obserwował, jak najbliższy opada coraz niżej i niżej, dwa silniki działały teraz jak wirniki helikoptera. Ogon dotykał już prawie ziemi, gdy cztery stateczniki przekształciły się w szeroką piramidę podwozia. Pojazd osiadł. Małe silniki zaczęły zwalniać.

Co powiedział Sonny? A, tak... Skurwiel.

Pozostałe samoloty powtarzały manewr, lądowały ogonami na skałach. Kevin drżał.

Obraz zaczął się rozmazywać. Słyszał rozmowę, ale nie mógł już zrozumieć słów.

Na samym końcu zastanawiał się, czy istnieje życie po śmierci i czy wpuszczają tam psy – miał taką nadzieję, liczył, że kiedyś jeszcze zobaczy Bubbaha.

Ostatni Maskonur wylądował na płaskowyżu. Gdy para silników zwalniała, z pojazdu wysiadł mężczyzna. Był dużo niższy niż pozostała trójka czekających na niego uzbrojonych mężczyzn.

Prawą stronę twarzy i głowy zdobiła siatka blizn po poparzeniach, jakby ktoś ochlapał go wrzącym olejem. Brakowało większości włosów, te, które zostały, miały rudą kolor i sterczały w chaotycznych kępkach. Podszedł do jednonogiego ciała i je obrócił.

– Cholera – zaklął. – Nie żyje. Jesteś następny, O’Doyle.

Angus Kool rozglądał się po płaskowyżu. Cztery maszyny stały dęba, skierowane w ciemniejące niebo – widok jak z okładki czasopisma science-fiction z lat siedemdziesiątych. Liczył, że pójdzie ze wszystkimi pięcioma ludźmi, ale dwóch było na tyle nieuważnych, że dało się zabić. Sześć kolejnych Maskonurów było w drodze. Na płaskowyżu wystarczy miejsca jedynie na cztery. Pozostała dwójka będzie musiała wylądować najbliżej jak się da i ich dogonić.

Nie zamierzał czekać. Wejdzie do środka z trojgiem ludzi, których ma.

– Idziemy – powiedział i podszedł do wejścia do tunelu. – Idźcie tam, znajdźcie ich i zabijcie. Jak nam się uda, zgarniemy dla siebie górę czystej platyny.

Calderon odwrócił się do niego. Najpodlejszy z grupy, może nie największy, ale niekwestionowany przywódca.

– A te inne rzeczy, o których mówiłeś? Te kamieńczaki?

– Jeśli się rusza, zabij – odpowiedział Angus. – Czego chcesz więcej?

Najemnik skinął głową i wszedł do tunelu. Za nim podążyli pozostali. Angus wszedł ostatni.

Platyna była głównym powodem tej podróży, ale teraz pojawiła się jeszcze lepsza motywacja.

Angus Kool zobaczy, jak umierają Patrick O’Doyle i Bertha Lybrand.

Czego chcesz więcej.

Uwagi autora do *Mt. Fitz Roy*

To długa notka. Możecie ją pominąć, jeśli chcecie i lecieć dalej. Nie mam nic przeciwko, jeśli przeczytacie tylko ciekawe rzeczy, dopóki jesteście zadowoleni.

Kiedy popatrzę wstecz na swoją nieprzewidywalną karierę pisarza, mogę wskazać jeden kluczowy moment, kiedy przeszedłem z niepublikowanego „chcę być pisarzem” do prawdziwego gościa sprzedającego wymysły na pełny etat. Co było tym momentem? Postanowienie opublikowania mojej powieści *EarthCore* za darmo jako podcast.

Kiedy mówię, że byłem „niepublikowany”, nie jest to do końca prawda. W 1999 roku *EarthCore* zainteresowało się iPublish, oddział AOL/Time Warner. iPublish wyprzedzało swoje czasy. Wyprzedzało tak daleko, że to przyczyniło się do jego ostatecznego upadku. Imprint miał śmiały pomysł – pozwolić autorom umieszczać pierwsze trzy rozdziały manuskryptów, a następnie kazać tym samym autorom czytać inne propozycje i głosować na swoich faworytów. W zasadzie trzeba było przeczytać i zagłosować na trzy manuskrypty, zanim dało się zgłosić własny. Prosty sposób na nakręcenie całego przedsięwzięcia. Pomysł iPublish był genialny, zmienili początkujących autorów w darmowych recenzentów pomyj literackich. Redaktorzy w iPublish obserwowali głosowanie, a potem czytali i rozważali wydanie manuskryptów, które zdobyły najwyższe oceny. Dzięki temu nie tylko zmniejszyli ilość gówna, które musieli przeczytać, ale mieli wgląd w książki, które zignorowałiby tradycyjni redaktorzy, za to podobały się czytelnikom.

Pamiętajcie, że to było w 1999, długo przed Digg.com czy podobnymi stronami, gdzie głosy użytkowników określają jakość treści.

Zgłosiłem *EarthCore*. Przeszło szereg głosowań i było wystarczająco dobre, żeby redakcja wzięła je pod uwagę. Przed iPublish wielu, naprawdę wielu redaktorów odrzuciło tę książkę, twierdząc, że nie wiedzą, na jakiej półce ją postawić albo że miesza tyle gatunków, że nie wiedzą czy to groza, czy science-fiction, czy

thriller. Cóż, system głosowania na iPublish miał gdzieś gatunek – czytelnikowi po prostu się podobała.

Paul Witcover z iPublish zaryzykował, spodobała mu się i zaproponował mi umowę. Umowę na książkę! Hura! Wydawnictwo wypuściło *EarthCore* najpierw jako e-book (około dziesięć lat przed obecną powszechnością tego formatu), potem w druku na żądanie (również na tym polu iPublish mocno wyprzedzało konkurencję).

Książka sprzedawała się wystarczająco dobrze w obu formatach, więc zdecydowali wydrukować ją w dużym nakładzie w maju 2002. Witaj świecie, przybyłem! Miałem być w każdej księgarni w Stanach Zjednoczonych! Marzenie się spełniło, prawda?

I przychodzi recesja po 9/11, ze swoimi zmierzwionymi włosami, spodniami na sznurku i wywiniętym kołnierzykiem. Gospodarka mocno ucierpiała. AOL/Time-Warner postanowiło rozwiązać wszystkie działy nieprzynoszące zysku. Ponieważ iPublish jeszcze nie zarabiał – wraz z Paulem i wszystkimi wyprzedzającymi swoją epokę pomysłami – zostało wyrzucone na śmietnik.

Razem z *EarthCore*.

Marzenie zdruzgotane. Książka w miękkiej oprawie odwołana.

Odzyskanie praw zajęło mi i mojemu agentowi trzy lata. Kiedy nam się w końcu udało i zacząłem wysyłać ją do innych wydawców, wszelki słuch o iPublish zaginał. Do widzenia oferty publikacji, witaj mój stary przyjacielu panie Liście z Odmową.

Nadszedł 2005, gdy dowiedziałem się o „podcastowaniu”, tej niepozornej rzeczy stworzonej przez Adama Curry’ego i Dave’a Weinerja. Hmm, cotygodniowa treść audio? Zapisy przez Internet? Za darmo?

Jakieś brednie. Opowiadałem tę historię wiele razy przy różnych okazjach, więc pominię parę kroków. Wystarczy, że powiem, że mój darmowy audiobook *EarthCore* zrodził wielu internetowych fanów. To była pierwsza podcastowa powieść, jaką wypuściłem, w związku z tym mnóstwo fanów domaga się kontynuacji.

Mówiłam, że *EarthCore* ukazało się w 2005? Tak, pierwszy odcinek, marzec 2005. Ukończyłem historię cztery miesiące później. Co oznacza, że ci fani czekają na drugą część sześć lat. Oj. Dodajmy

do tego, że w sumie co roku obiecywałem „za rok” przez te sześć lat, co oznacza, że jestem kłamcą po sześciokroć (po wielokroć, ale w tym konkretnym przypadku sześć).

Chyba w 2006 brałem udział w Podcast Expo. Napisałem pierwszy rozdział kontynuacji do nagrania na żywo. Wesoło! Ludzie – łącznie ze mną – myśleli, że cała książka wyjdzie w 2008 albo okolicy. Kłamstwo! Jak widać, tak się nie stało. Cały dalszy ciąg mam w głowie, nigdzie na papierze, z wyjątkiem fragmentu, który przeczytaliście.

Szczęściarze.

HUNTER HUNTERSON I SYNOWIE

Fragment Dziennika myśliwego Huntera Huntersona, Opowieść myśliwska

Polujemy na potwory. Oto czym się zajmujemy.

Łapiemy również uciekinierów, którzy wyszli za kaucją i na zwolnieniu warunkowym, najbardziej poszukiwanych przestępców w Zaświatach, całe to dziadostwo, jednak na wizytówkach mamy napisane: „Polujemy na potwory” i dzięki temu nie brakuje nam zleceń, więc się tego trzymamy.

Nazywam się Hunterson, Hunter Hunterson. Razem z rodziną prowadzimy interes. Niebezpieczny interes. Oczywiście wszystkim współzarządza moja żona Betty Lou, a ja jestem kimś w rodzaju głowy firmy. Jeśli trzeba rozdeptać tyłek jakiemuś zombie albo zrealizować zlecenie na widmo trzeciej klasy, Betty Lou zwykle zostaje w samochodzie. Co innego moi chłopcy. Oni wtedy idą ze mną.

Mam trzech synów: Bo, Luke’a i Billy’ego Maca. Bo i Luke to dobre dzieciaki – wysocy, silni, ciężko pracują. Tylko czasem wymykają się spod kontroli, zwłaszcza, gdy popłynię piwo. Mają to pewnie po ojcu, a że wyrosłem na porządnego człowieka, to nie ma się czym martwić. Nie to, żebym puszczał ich samopas – jak napisano w Biblii: nie oszczędzaj różgi, bo zepsujesz dziecko. Czasami trzeba wyplewić ogródek, wiecie, o czym mówię.

Bo i Luke? Ich w sumie nie obchodzi czas plewienia.

Co innego mojego trzeciego syna, Billy’ego Maca. Chyba wdał się w rodzinę swojej matki. U nas w Kentucky takich jak on nazywamy pieprzonymi zębami, niestety tu, w San Francisco,

najwyraźniej nie przepadają za taką nomenklaturą, więc nazywamy go takim, jakim jest: leniwym, nienadającym się do niczego idiotą.

Mam jeszcze córkę o imieniu Sunshine. Sunshine Hunterson. Boże, jak ona wspaniale wywija mieczem. Do tego moja słodka, trzynastoletnia dziewczynka potrafi odstrzelić pryszcz na jajach wilkołaka z odległości dziewięćdziesięciu metrów przy takim wietrze, że nawet się nie wysikasz, choćbyś nie lał od tygodnia. Kocham ją na zabój, mówię wam.

Tak, to rodzinny interes. Ale ponieważ dziewczyny się nie liczą, to nie nazwałem go: Hunter Hunterson i dzieciaki. Możecie tupać, awanturować się, pluć i wrzeszczeć ile chcecie, nazwijcie mnie seksistą, mizoginistą czy kim tam jeszcze. To moja firma i mogę z nią zrobić, co chcę. Nie podoba się? To sami zacznijcie polować na potwory i wywieście sobie taki szyld, jaki wam się podoba. Jeśli o mnie chodzi, zostanę przy męskim nazywaniu rzeczy.

Nasza działalność to Hunter Hunterson i synowie, a książka, którą czytacie, to nasz *Dziennik wojenny*.

(Tak na boku, do wszystkich rozemocjonowanych, liberalnych szmaciarzy, którzy mają problem z określeniem „dziennik wojenny” – możecie zamknąć książkę, przestać czytać i powymachiwać swoimi miękkimi fajami, rzucając w siebie kwiatkami i tańcząc do bębnow z drzewa wrózek – w tym dzienniku zapisane są prawdziwe wydarzenia i będziemy je nazywać po imieniu. Jeśli nie to chcieliście usłyszeć, to z całym szacunkiem, możecie iść się pierdolić. I mówię to w najmilszy możliwy sposób).

No to się przedstawiłem. Dzień dobry, nazywam się Hunterson. Zewrzyjcie pośladki, bo nadciąga mrożąca krew w żyłach opowieść o wampirach, mumiach, wilkołakach, duchach, goblinach, demonach, pomniejszych demonach, czarodziejach, wiedźmach, smokach, wrózkach (co, myśleliście, że żartuję z tymi zgromadzeniami bębniarzy, wartymi tyle co gówno aligatora?), upiorach, widmach, ghulach, innych, przeróżnych nieumarłych, a czasami wściekłych jednoroźcach.

(Tak przy okazji, jeśli jesteście amatorami łowiectwa i czytacie ten dziennik wojenny jak podręcznik, którym jest, przypadkowego wściekłego jednoroźca *nie wolno* lekceważyć).

A, jeszcze ostatnia uwaga. Polowanie na potwory to moja praca, ale pisanie to hobby. Myślę o sobie jak o autorze, jak ten gość Greg Crites. Więc reszta tego dziennika jest dramatyzowana (z dodanymi czasem dygresjami o istotnych informacjach, którymi chciałem się podzielić).

Chcę wam przedstawić moją rodzinę i naszą firmę, usiądźcie z nami do stołu. Mam nadzieję, że dziennik wojenny wam się spodoba.

WITAMY W SAN FRANCISCO

– Kurwa, tato – rzucił Bo. – Nie ma nic gorszego od wampira ćpuna na warunkowym.

– Tylko bez przekleństw, synu – odpowiedziałem bez przekonania. To mój najstarszy. Ma osiemnaście lat, wystarczająco dużo, żeby walczyć i umrzeć za kraj, więc ma prawo mówić, jak chce. Oczywiście, kiedy nie jesteśmy na otwartym kanale i jego matka nie słucha. Jeśli go nie zganię za takie słownictwo, ona urwie mi jaja, gdy wrócimy do domu. Metaforycznie, oczywiście. W domy Huntersonów czynności dotyczące jaj są bezbolesne. Przynajmniej zwykle – czasem Betty Lou ponosi fantazja.

– Przepraszam, tato – odpowiedział Bo. Ale wcale nie było mu przykro. Zrobił to z tego samego powodu co ja. W terenie rządzą. Jednak dom to jej folwark i nie chcesz znaleźć się na linii strzału.

Razem z Bo siedzieliśmy w fordzie. Czarny F-250 z podniesionym zawieszeniem. W sumie podniesione zawieszenie jest konieczne w każdym pojeździe, jakim jeździ Bo. W kulturze masowej jest mnóstwo znanych pojazdów do łapania duchów, takich jak Ecto-1 albo General Lee, albo Mystery Machine, więc pomyślałem, że mój zmodyfikowany pick-up musi mieć imię. Więc nazwałem go „Książę”, po moim psie rasy bluetick, którego miałem w dzieciństwie. Minęło trzydzieści lat, a nadal strasznie tęsknię za tym psiskiem, mówię wam.

Wiecie, kiedy mówię, że Książę jest przerobiony, nie mówię tylko o zawieszeniu. Udało nam się zarobić trochę na rozdeptywaniu potworów, więc inwestujemy zyski. Dodaliśmy stalowy pancerz, zabezpieczony przed przebiciem bak paliwa i minikartaczownicę gatlinga Dillon Aero M134D z trzy i pół tysiadcem pocisków. Nazywam ten karabin „moją grubą pałką”. Nie zapominajmy jeszcze o czymś naprawdę wyjątkowym, do użycia w nagłych wypadkach, czymś co nazywam „Łaskotka”. Na razie przemilczę, co to takiego.

Może u nas w Slayerville matowo czarny, czterotonowy Ford F-250 z przyciemnionymi szybami mocno się nie wyróżnia. Lecz tu, w San Francisco? Razi po oczach jak ekshibicjonista w kościele.

Radio zatrzeszczało:

– Tato, jesteś tam?

Luke siedział w kombi razem ze swoją matką. Nienawidził zostawać z tyłu, ale miał dopiero szesnaście lat i jeszcze nie był gotowy na wszystkie atrakcje, które mogą się pojawić. Nie żeby był mięczakiem, co to to nie – mam sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu i dziewięćdziesiąt kilogramów, a on już jest wyższy ode mnie. W wieku *szesnastu* lat. Jak chłopak skończy rosnać, będzie prawdziwą bestią. Trochę żałuję, że nie zostawiliśmy go w szkole, żeby pograł w futbol, zmężniał. Niestety istnieją ważniejsze rzeczy niż dziecięce przyjaźnie.

Takie jak na przykład tropienie wampirzego degenerata na zwolnieniu warunkowym.

Podniosłem słuchawkę.

– Słucham cię, Luke.

– Tato, ten pick-up rzuca się w oczy jak wujek Jake w konkursie strojów kąpielowych na festynie. Wiem, że Vlad to narkoman, ale jak ją zobaczy, będzie wiedział, że go ścigamy.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę, w połowie zirytowany, że syn śmie mnie krytykować, w połowie dumny, że ma rację. Jeśli jesteś ojcem nastolatka, to znasz to mieszane uczucie. Starszy syn – Bo, nie jest głupi, w żadnym wypadku, niemniej, gdy ludzie mówią o moich dzieciach, nazywają go *ten duży*. Czasem nazywają go jeszcze inaczej, co zwykle źle się kończy. Mniejsza z tym, on to *ten duży*, natomiast Luke to *ten mądry*. Wygląda jak anorektyczne dziecko stracha na wróble i niedożywionego bociana, mówię wam, za to jest uzbrojony po zęby, jeśli chodzi o mózg.

– Betty Lou – powiedziałem, doskonale wiedząc, że mnie słyszy przez CB radio. – Podjedź tu kombi i wysadź Luke’a. Pojedzie Księciem z powrotem do hotelu. Jedź za nim i upewnij się, że tam dotrze.

– Ale tato! – zaprotestował Luke. – Chcę iść z wami.

– Cicho – odpowiedziałem. – Rób, co ci każę, chłopcze, bez dyskusji. Daj swoją matkę.

Po chwili usłyszałem głos należący do miłości mojego życia.

– Kochanie, dopilnuję, żeby Luki był posłuszny.

– Dziękuję, słońce.

– Tylko uważaj na mojego Bo – dodała. – Nie znamy tego miasta. Tutaj jest inaczej niż domu.

– Tak, proszę pani – odparłem. – Jakieś informacje z PZ?

– Nic, nawet szeptu. Weź komórkę, dam znać, jak coś się zmieni. Sunshine, Luki, *zamknijcie się!*

Te ostatnie słowa zmusiły mnie do gwałtownego oderwania słuchawki od ucha. Wiem z doświadczenia, że Luke i Sunshine marudzili, że chcą z nami polować, a Betty Lou obróciła się, żeby ich upomnieć. Problem w tym, że nigdy nie pamiętała, że mikrofon ma nadal przed twarzą.

– Hunter – powiedziała normalnym, słodkim głosem. – Pamiętasz, co ci mówiłam? O mojej wizji?

– Owszem – odpowiedziałem. – Czerwona markiza, białe litery. Nadal nie wiesz, co tam było napisane?

– Brakowało tego w mojej wizji. Ale nie mówię o markizie i dobrze o tym wiesz.

Westchnąłem.

– Tak, wiem.

– Vlad jest z czymś naprawdę złym – powiedziała. – Nawet jego to przeraża. Idź, zrób swoje, kochany, tylko uważaj. Wróć do mnie.

Pociągnąłem lekko nosem. Zawsze się rozczulam, gdy mówi takie rzeczy. A jeśli chcesz się naśmiewać z faceta, który robi się trochę emocjonalny, gdy rozmawia z miłością swojego życia, cóż, jestem pewny, że gdzieś w okolicy jest las, a w nim pejcz z twoim imieniem. Możemy sprawę rozwiązać później, jeśli chcesz.

Odłożyłem słuchawkę na CB radio.

– Synu – zwróciłem się do Bo. – Jesteś gotowy?

Bo skinął głową, otworzył drzwi i wysiadł. Chwyciłem kierownicę, gdy Książę, jak tylko uwolnił się od wagi Bo, uniósł się o dobre piętnaście centymetrów. Czasem zapominam, jaki ten dzieciak jest ogromny. Bo wyciągnął srebrny kij bejsbolowy z uchwytu przy drzwiach pasażera. Zawiesił go na mocowaniu wewnątrz swojego czarnego prochowca. Ten kij napawa go prawdziwą dumą. Zrobił go na zajęciach technicznych w pierwszej klasie Magoffin County High School. A płaszcz? Cóż, Betty Lou

zrobiła go własnoręcznie. A właściwie zmodyfikowała – znalazła go w Hidden Treasures Consignment na Church Street, u nas w Slayerville. Powszywała każdy pasek antyjekto i doszyła kevlarową podszewkę.

Nasze rodzinne miasto nazywa się S-A-L-Y-E-R-S-V-I-L-L-E, jednak ci, którzy zajmują się naszą profesją, mówią na nie „Slayerville”, z uwagi na to, że stąd pochodzi większość pogromców i łowców. Slayerville jest źródłem międzywymiarowej szczeliny, przez którą przedostały się te wszystkie nadnaturalne problemy. W czasach, gdy mieszkali tam jeszcze Shawnee, wszelkie plugastwo przeszło przez pęknięcie, pozabijało część ludzi, zaraziło innych, a jeszcze innych przemieniło w potworne rzeczy, których potomkowie nadal chodzą po Ziemi. Ludzie zastanawiają się, czemu Shawnee byli tacy wredni? Spróbuj walczyć z niedźwiedziolakiem jedynie tomahawkiem i włócznią, to zobaczymy, czy pomyślisz o tym, żeby kulturalnie poprosić o cukier do kawy.

W Slayerville ma siedzibę również Protektorat Zaświatów, nazywamy go w skrócie „PZ”. To organizacja, która monitoruje potwory i to całe tałatajstwo, pełni funkcję sądu, ławy przysięgłych, dozorczy, a – jeśli trzeba – kata. Nie zrozumcie mnie źle, mnóstwo pozawymiarowych istot żyje sobie całkiem dobrze wśród zwykłych ludzi. Osobiście uważam, że są dwa rodzaje potworów – te, które płacą podatki i te, które ich nie płacą. W rodzinie Huntersonów nikogo nie osądzamy. To nie nasza praca. Ale jeśli PZ wyznacza nagrodę za kogoś lub coś, to cóż, trzeba za coś jeść. Łapiemy i odbieramy nagrodę. Nie jesteśmy jak mój brat Jake – zabijamy jedynie w samoobronie albo żeby uratować czyjeś życie.

Tak znaleźliśmy się na tropie Vlada McCoya. Mieszkał w Slayerville przez całe swoje życie i większość swojego nieżycia. Do diabła, Bo chodził z nim do szkoły do Magoffin County High. Razem grali w koszykówkę. Ze swoim wzrostem Vlad był wspaniałym środkowym. Przynajmniej dopóki nie dorwał się do narkotyków.

Metamfetamina jest ogromnym problemem w Kentucky. Wiem, że gdzie indziej w naszym wspaniałym kraju też wcale nie jest różowo, ale u nas ten chemiczny demon niszczy więcej żyć niż

skarbowka. I nie mówię tylko o ludzkim życiu. Zombie raczej nie mają z tym problemu, zmiennokształtni metabolizują to gówno tak szybko, że prawie na nich nie działa. Pomijając ich, reszta zaświatowych ludzi może się zaćpać tak samo jak dzieciak z gastrofazą z sąsiedztwa.

Łącznie z wampirami. Wampirami takimi jak Vlad McCoy.

Wysiadłem z Księcia i stanąłem na chodniku. Zobaczyłem, że dwie wielkie, prawe opony forda stoją w połowie na krawężniku, w połowie na jezdni.

– Niezłe parkowanie, tato – rzucił Bo. – Może lepiej następnym razem pozwolisz mi prowadzić?

– Możesz mnie zawieźć na mój pogrzeb – odparłem. – To jest jedyny moment, w którym pozwolę twoim parówkowatym paluchom złapać za kierownicę Księcia. Idziemy, synu. Mamy robotę do zrobienia.

Ruszyliśmy. Betty Lou miała rację, nie znaleźliśmy San Francisco. Nie zrozumcie mnie źle, mamy w Kentucky hippisów, szumowiny i przekonanych o swojej wyższości hipsterów, tylko nie tak dużo, nie tak maltretowanych i trochę mniej śmierdzących. Weszliśmy na Haight Street.

Zwykle nieznajomi schodzą mi z drogi. Żona mówi, że rzucam zbyt gniewne spojrzenia, że miejsce pomiędzy oczami mam zmarszczone jak byk z zatwardzeniem i że – nawet jeśli *próbuję* być miły – większość ludzi ma wrażenie, że chcę przestawić im wątrobę tam, gdzie mają nerki, a ich nerki tam, gdzie była wątroba.

A jeśli chodzi o Bo? Jemu obcy *zawsze* schodzą z drogi. Pewnie z uwagi na jego rozmiar, głównie, bo muszę wam powiedzieć, że mój syn ma najżyczliwszą twarz, jaką możecie sobie wyobrazić. Mógłby jednak odpocząć od jedzenia gotowanego przez moją żonę.

Zatem przy mojej typowej, przyjaznej postawie i postawnej wielkości mojego syna większość ludzi nas unika. Ci, którzy tego nie robią, już się w ogóle nie ruszają. Nie odeszliśmy nawet trzech metrów od Księcia, a już natknęliśmy się na zdolnych, młodych chłopców i dziewczęta. Leżeli tam, cali zaniedbani i prosili o jałmużnę.

Zignorowaliśmy ich. Betty Lou zobaczyła w wizji, gdzie mniej więcej znajduje się Vlad i tam zmierzaliśmy.

– Bo – powiedziałem, gdy szliśmy. – Zanim tam dojdziemy, musimy porozmawiać.

Skinął głową.

– Wiem, o co ci chodzi, tato, ale mów.

Szedł z prawej. Spojrzałem na niego, na tę przemiłą twarz. Światła uliczne oświetlały jego ciemną skórę, tak cholernie czarną, że czasem, gdy polowaliśmy po ciemku, mogłem zobaczyć jedynie jego wielkie oczy.

Cóż, wiem, że pewnie zastanawiacie się, *jak taki burak z południa jak ja skończył z chodzącą, czarną górą za syna*. Wcale nie dlatego, że Betty Lou znalazła sobie kochanka, co to to nie – jestem jedynym, z którym kiedykolwiek miała małżeńskie stosunki, a ona jedyną, z którą ja kiedykolwiek miałem małżeńskie stosunki. Nie moglibyśmy inaczej i trochę współczujemy tym, którzy tak mają.

Mam czarnego syna, bo mężczyźni czasem popełniają błędy. Czasem po prostu źle cię wychowano. Czasem robisz rzeczy, które wydają się słuszne, gdy jesteś młody, a potem stają się mocno wstydlive, gdy już się zestarzejesz i zobaczysz, jak świat naprawdę funkcjonuje. Osiemnaście lat temu określiłbym takiego chłopaka jak Bo jednym słowem, a byłoby to *czarnuch*. Przynajmniej zanim jego prawdziwy tato – całkowicie mi nieznany – uratował mi życie i przy tym umarł. Gdy ten człowiek umierał, zmusił mnie, żebym zaopiekował się jego niemowlęciem. Wtedy nie wiedziałem o tym mężczyźnie nic, ale teraz już go znam. Poszperałem trochę, żeby Bo wiedział, skąd pochodzi.

Tato Bo nazywał się Adonis Jackson. Kiedyś zajmował się zawodowo zapasami. Podróżował po świecie, zabawiając ludzi i kopiać tyłki. Z tego co się dowiedziałem, wydaje mi się, że Adonis byłby świetnym ojcem dla Bo. Niestety życie często nie działa tak, jak powinno. Przez osiemnaście lat Bo Hunterson był *moim* synem. I przez wszystkie następne, Bo Hunterson będzie *moim* synem. W pierwszej połowie mojego życia pobiłem mnóstwo czarnych chłopców i czarnych mężczyzn, bo to czarnuchy. W drugiej połowie

pobiłem znacznie więcej białych chłopców i białych mężczyzn, bo nazwali mojego najstarszego syna czarnuchem.

Czasem życie jest przekorne.

– Bo, grałeś razem z McCoyem w kosza – powiedziałem. Nie potrafiłem nazwać *Vlada* jego imieniem, przynajmniej nie na głos. – Zastanów się chwilę, synu. Jeśli cię zaatakuje, albo mnie, wiem, że się nie zawahasz, ale jeśli będzie tam tylko stał i nie będzie nam zagrażał, czy dasz radę wykonać zadanie?

Bo szedł. Zastanawiał się. Niektórzy myślą, że takie długie przerwy świadczą o tym, że nie jest zbyt bystry, a on po prostu nie chce podejmować pochopnych decyzji. Co innego Luke. On odpowie, zanim skończysz pytać. Cholernie irytujące, bo chociaż chłopak zwykle ma rację, taka natychmiastowa reakcja może sprawić, że palniesz coś, czego potem nie odszczekasz. Bo wiedział, że nie jest tak mądry jak jego młodszy brat. Więc nie spieszył się, gdy odpowiadał. To dobrze, ponieważ szczególnie w tym przypadku musiał wiedzieć dokładnie, *bardzo* dokładnie, jak zareaguje na *Vlada*.

Vlad. Pamiętam, jak Vladdie miał osiem lat; zanim został przemieniony, przychodził do nas na Halloween przebrany za malutkiego Hrabiego Draculę. Wyobraźcie sobie, chłopiec o imieniu Vlad udający wampira.

Nie jestem zbyt fanem ironii.

Całe życie zajmuję się ludźmi z zaświatów i potworami. Załatwiłbym *Vlada* bez mrugnięcia okiem, a potem pomartwił się przy sześciopaku. A Bo? To nadal żółtodziób. Wbicie kołka w serce przyjaciela z dzieciństwa i kolegi do koszykówki to nie przelewki.

– Cóż... – odezwał się w końcu Bo. Jego ogromne stopy chrzęściły na kawałkach butelki po whiskey rozbitej przez jakiegoś menela. – Cóż, tato, wydaje mi się, że zajmujemy się rozdeptywaniem potworów. Vlad uciekł po wyjściu za kaucją. Nie wiemy, czy kogoś zabił, ale widzieliśmy szereg ofiar, które pozostawił wzdłuż I-80. Może i jestem młody, ale nie ślepy. Wiem, że robimy to dla pieniędzy, głównie, ale również pomagamy. Vlad to mój przyjaciel, jednak jeśli go nie powstrzymamy, na pewno

kogoś zabije. Jeśli go teraz złapiemy, może PZ mu pomoże. Jeśli zostanie mordercą, cóż, nauczyłeś mnie, co robimy z zabójcami.

Zatrzymałem się, popatrzyłem na niego i pociągnąłem nosem. Odwrócił wzrok. Nie radził sobie za dobrze z emocjami. Tak jak jego tatuś. A jeśli masz zamiar naśmiewać się ze mnie za to, że kocham swoje dorastające dziecko? Już ci mówiłem o pejczu z twoim imieniem. Nie zmuszaj mnie, żebym go poszukał, nikomu nie będzie do śmiechu. A na pewno tobie jeszcze mniej niż mnie. Cóż, w zasadzie może się nawet pośmieję. Tylko troszeczkę.

Doprowadziłem się do porządku. Ruszyliśmy dalej. To nie czas na rozczulanie się, to czas na realizację zlecenia na Vlada.

Zatrzymaliśmy się przy Walgreen na rogu Haight i Fillmore. Naprzeciwko wisiała markiza z białymi literami: SKLEP Z TANIM MIĘSEM I RYBAM. Nad nim dwa piętra mieszkań.

– To tu? – zapytał Bo. – Sklep z rybami?

– Synu, a widzisz jakąś inną markizę z białymi literami na rogu Haight i Fillmore?

– Nie, proszę pana.

– Więc, wszystko wskazuje, że to tu.

– Tak, proszę pana.

Podoba mi się ostrożność Bo, niemniej czasem za dużo myślenia może zaszkodzić.

Wyciągnąłem telefon komórkowy i zadzwoniłem do Betty Lou. Czasem wykorzystuje tę całą swoją telepatię, ale nie jestem do tego przekonany. Zdarzają mi się nieprzyjemne myśli i lepiej, żeby moja żona tam nie zaglądała.

– Kochanie? – odpowiedziała.

– Jesteśmy. Czerwona markiza, białe litery, to tu.

– W porządku. Odezwało się do mnie PZ. Mówią, żebyś uważał, bo do miasta przyjechał *oni*. Podejrzewają, że rekrutuje do swojego legionu.

– Cholera – odpowiedziałem. – Niedobrze.

– Owszem, kochanie. PZ mówi, że ich nowi agenci w mieście już go szukali.

– I gdzie są ci miejscowi agenci? Ci, którzy już tu powinni być?

– *Oni* ich zjadł.

– Cholera – odpowiedziałem. – Niedobrze.

– Owszem, kochanie. PZ mówi, że powinniście poczekać na nowych agentów.

– A powiedzieli, kto to?

Zawahała się. Robiła tak tylko, jeśli wiedziała, że nie spodoba mi się odpowiedź.

– Betty Lou? Wyduś to z siebie. Kto to?

– Meg Marshall.

Ta australijska dziwka.

– Cholera – odpowiedziałem. – Niedobrze.

– Nie jest tak źle, skarbie. Po prostu na nią poczekaaj.

– Zaczekać na nią? Ona już tu jedzie?

Znowu cisza. Tym razem dłuższa.

– Betty Lou, czy powiedziałaś im o wizji? Wiedzą, gdzie jesteśmy?

– Skarbie, przepraszam, ale tak. Martwię się o was. Przecież to *oni*. Myślę, że powinniście poczekać.

Właśnie przez takie gówno nasza firma nie nazywa się *Hunter Hunterson i żona*.

Kobiety.

– Ta podróż kosztowała nas sporo pieniędzy – powiedziałem. – Jeśli nie zgarniemy Vlada, będziemy w dupie.

– Damy radę. Znajdziemy inne zlecenia. Mogę się u nas zatrudnić w restauracji. To *oni*, Hunter, tam nie jest bezpiecznie ani dla ciebie, ani dla Bo.

Słyszałem to w tonie jej głosu. Nie martwiła się tak bardzo o mnie, za to trzęsła się ze strachu o swojego dwumetrowego, stuczterdziestokilowego chłopczyka. Zatrudnić w restauracji? Poważnie? Zalegaliśmy dwa miesiące z kredytem na dom i trzy na Księcia.

– Hunter? Zaczekasz, prawda?

– Jasne. Zaczekamy. Kocham cię.

Rozłączyłem się, zanim zdążyła odpowiedzieć. Spojrzałem na syna, który słyszał tylko moją część rozmowy.

– Tato, naprawdę zaczekamy?

– W życiu. Nie zamierzam dzielić się nagrodą z Meg Marshall ani z nikim innym. Poza tym Meg jest subtelna jak mokry pierd. Zabije wszystko, co się rusza. Najpierw przebiję Vlada kołkiem, a potem zacznę zadawać pytania. Musimy za coś jeść, synu, jednak jesteś na tyle dorosły, żeby mieć głos w tej sprawie. Prawdopodobnie w tym mieszkaniu jest *oni*. Możemy poczekać albo idziemy.

– *Oni*? Są niebezpieczne?

Utkwiłem w nim wzrok na tak długo, aż spojrzał pod nogi.

– Synu, znowu zaniedbałeś lekcje?

– Nie, proszę pana.

To niesamowite, że dzieci myślą, że ich kłamstwa są przekonujące, prawda?

– W porządku, to powiedz mi, czym jest *oni*?

– Yy... to kitajec, prawda?

– Japończyk – odpowiedziałem. – Nie używaj rasistowskich określeń, synu, brzmisz jak ignorant. Znasz narodowość. A co z ważnymi rzeczami?

Wzruszył ramionami.

– Chyba tego się jednak nie nauczyłem.

Spojrzałem ponownie na czerwoną markizę. Chyba zabrałem ze sobą niewłaściwego syna. Bo powinien się uczyć albo marnie skończy. Zajmę się tym kiedy indziej. Trzeba go odciąć od oglądania MMA, dopóki nie uporządkuje swoich priorytetów. Bo zafascynował się tym, gdy tylko dowiedział się, że jego prawdziwy ojciec zajmował się zapasami.

– *Oni* to demon – powiedziałem. – Zjada ludzi. To źle. Nie patrz mu w oczy, bo może cię zahipnotyzować. Ma wielkie zęby i ostre pazury. Bardzo silny. Niektóre z nich mogą się zamienić w ducha. Jeśli tak się stanie, łapiemy Vlada i spieprzamy. Czasem *oni* używa nabitej gwoździami pałki. Do tego jest paskudny.

– Jak bardzo?

– Widziałeś te japońskie maski z powykręcanyimi twarzami?

Bo skinął głową.

– Właśnie tak – powiedziałem. – Nie tak brzydki jak twój wujek, ale dużo mu nie brakuje.

Bo zadrżał.

– To dość brzydki, tato.

– No to już wiesz. Nie ucząc się, narażasz nas na niebezpieczeństwo, synu. Porozmawiamy o tym w domu. A teraz decyduj. Zostajemy czy nie?

Bo zamyślił się, lecz nie zajęło mu to dużo czasu.

– Tato, wyłączyłeś telefon?

Wyłączyłem, jednak na wszelki wypadek sprawdziłem i skinąłem głową.

– Pieprzyć czekanie. Potrzebujemy pieniędzy. Chodźmy rozdeptać tyłki.

– W porządku. Idziemy.

Przeszliśmy przez ulicę. W pobliżu było kilkoro ludzi. Niezbyt dużo. O pierwszej w nocy oświetlona przez latarnie okolica wyglądała na żywszą niż większość Louisville o dowolnej porze, a jednocześnie na wyludnioną w porównaniu do Nowego Jorku.

– Tato, jak już skończymy, możemy wstąpić do Walgreen? Jestem głodny.

– Zawsze jesteś głodny. Ale jasne, zajmijmy się rozdeptywaniem, a potem wrzucmy coś na ruszt.

Oczywiście, sklep mięsny już zamknięto.

Niedaleko znajdowało się wejście do mieszkań powyżej.

Wejście stanowiła fantazyjna, metalowa brama. Jej elementy przepleciono tak, aby żelazo i stal wyglądały elegancko. Betty Lou otworzyłaby to siłą woli, szkoda, że jej tu nie było.

– Bo, otwórz to.

– Tak, proszę pana.

Pod lewą połą płaszcza chłopak trzymał swój srebrny kij. Pod prawą miał przeróżne cuda, łącznie z małą wiertarką z diamentowym ostrzem. Nie marnował czasu, wiercił przez sam środek zamka. Rozniósł się pisk, który próbowaliśmy blokować ciałami, żeby nie dotarł na ulicę. Dostanie się do środka zajęło Bo trzydzieści sekund. Przeszliśmy przez śliczną bramę do drewnianych drzwi. Bo tylko się przy nich nachylił i wyłamał zamek.

Weszliśmy do środka.

Śmierdziało śmiercią. Niezbyt mocno, nie na tyle, żeby zarejestrował to zwykły człowiek, ale mój nos uwrażliwił się już na

takie rzeczy.

– Tato? – zapytał Bo. – Jak twoje klejnoty?

Możesz pomyśleć, że to niestosowne, aby syn pytał ojca o takie rzeczy i w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto macie rację. Jednak nie w tym. Mój szósty zmysł nie napawa mnie szczególną dumą. Jeśli chodzi o nadnaturalność, to jeśli mnie nie krzywdzi, nie wyczuwam, że coś się dzieje. A gdy pojawia się niebezpieczeństwo? Cóż, wtedy moje klejnoty marszczą się, jakbym zanurzył się po szyję w górskim jeziorze, w którym nadal pływają kawałki lodu. A co z Małym Hunterem? W zależności od poziomu zagrożenia skraca się do raczej smutnych, podróżnych rozmiarów.

Tak jest, gdy coś zagraża wielkiemu, złemu Hunterowi Huntersonowi; kurczą mu się jaja.

– Mój interes jest w połowie drogi do Kentucky – odpowiedziałem. – Możemy mieć problem z tym *oni*.

Bo jedynie skinął głową.

Hol był mały i elegancki, typowy przykład zdobionej architektury lat dwudziestych i trzydziestych. Dekoracyjne kafelki. Po prawej stała mała kanapa. Po lewej wносиły się schody prowadzące na piętro – trzy stopnie prowadziły w górę w lewo, następnie kwadratowa platforma skręcała pod kątem prostym, kolejne trzy stopnie, potem zakręt o dziewięćdziesiąt stopni i na końcu sześć stopni w górę i w prawo, które znikwały na drugim piętrze. Pod ostatnimi sześcioma stopniami znajdowała się ściana – jeśli ktoś przysunąłby się do niej plecami, nikt z dołu schodów by go nie zobaczył.

Na ścianach wykonano półkolumny z floresami na szczycie, mnóstwo zawijasów i ornamentów, czy jak to tam zwał. Rozpoznałem co najmniej cztery japońskie runy. Od samego początku ten budynek przeznaczono do zasiedlenia przez zło. Zastanawiałem się, ile takich mieszkań można znaleźć w San Francisco.

I ile w tym mieście mieszka potworów do rozdeptania.

Nagle moje klejnoty skurczyły się jeszcze bardziej.

Usłyszeliśmy ciężkie kroki. Schody brzmiały, jakby dźwigały spory ciężar. Popchnąłem Bo na ścianę pod najwyższymi sześcioma

stopniami. Przyparliśmy do niej plecami, próbując stać się tak chudzi, jak się da (udało mi się trochę bardziej niż mojemu synowi).

– Muszę kupić towar, stary.

Głos Włada nie brzmiał wcale inaczej, niż gdy miał osiem lat. Trochę głębszy, lecz bardziej jękliwy. Może bardziej syczący. Nie w niepokojący sposób, raczej jak ktoś, kto za bardzo zniszczył sobie płuca.

– Najpierw idziemy na chińszczyznę.

Drugi głos, złowieszczy, charczący, pełen nienawiści. Moje jaja spróbowały schować się w żołądku i wiedziałem, że to *oni*. Miałem nadzieję, że natkniemy się na nich w mieszkaniu, a nie tutaj w holu, gdzie każdy może wejść. To już jednak nie miało znaczenia.

Sięgnąłem za koszulę i wyjąłem mój ametyst. Betty Lou zakłęła go jakoś jednym ze swoich zaklęć. Jeśli go potrzebujesz, można patrzeć przez zabezpieczenia, uroki i całe to gówno, zajrzeć za magiczne maski noszone przez potwory i inne stworzenia. Dla większości społeczeństwa ci nadnaturalni wyglądają jak zwykli ludzie. Nam, przynajmniej, gdy używamy zaklęć Betty Lou, ukazują prawdziwe oblicze.

Czas na Minioną Chwałę.

Tak nazywam swój srebrny kastet. Wiem, że kastety do kopania tyłków są wykonane z mosiądzu, lecz nie mój. Czyste srebro. Do tego trochę kamieni szlachetnych i co tam jeszcze dodała Betty Lou. Pewnie, możesz chodzić z pistoletem, włócznią, kuszą czy czym tam chcesz, jednak w starciu z nadnaturalami prędzej niż później skończysz w walce twarzą w twarz.

Kiedy zejdu z schodów, staną góra metr od nas. Czas na potańcówkę.

Wład zszedł pierwszy.

Patrzył za siebie, marudził o działce. Nie zwracał na nic uwagi. Zauważył nas dopiero, gdy mężczyzna w czerwonym garniturze się zatrzymał.

Zatrzymał i utkwiał wzrok we mnie i w Bo.

Ale paskuda. Nieprzyjemna, pomarszczona twarz pasująca do garnituru kolorem. Wielkie policzki, szerokie, czarne oczy, grzywa falowanych, czarnych włosów. Niebieska koszula, żółty krawat,

czerwone buty. Dwóch rzeczy jestem pewny – nie wybierasz rodziny i nikogo nie nauczysz gustu. Nie miał ze sobą pałki, niemniej niektórzy z nich potrafią ją ukryć urokiem albo zaklęciem głębokich kieszeni. Liczyłem, że do nich nie należy – pokonanie go bez broni będzie znacznie łatwiejsze.

Za *onim* stał jeszcze jeden człowiek. Niski, żylasty, z długą, białą brodą. Albo to czarodziej albo fan Grateful Dead. Miałem nadzieję, że ani jedno, ani drugie, nie ma nic gorszego niż mag gustujący w muzyce improwizowanej.

– Vlad – odezwał się *oni*. – Patrz, gdzie idziesz.

Vlad rozejrzył się gwałtownie. Zmarszczył brwi, a następnie otworzył szeroko oczy.

– Wujek Hunter?

Oni westchnął i złapał się za nasadę nosa. Zobaczyłem żółte pazury na jego palcach.

– Vlad, jeśli dobrze rozumiem, ten człowiek, który stoi przede mną, to łowca potworów?

– Owszem – odpowiedział Vlad. Wzrok chłopaka przeskakiwał pomiędzy mną i Bo, stojącym za mną.

– Vlad – kontynuował *oni*. – Nie wydaje ci się, że informacja o tym, że twój wujek to łowca potworów, mogłaby być przydatna?

– Cóż. Nie jest moim prawdziwym wujkiem. Nie jest rodziną. Jedynie opiekował się mną w młodości.

Nadal trzymając za nasadę nosa, *oni* skinął głową.

– Tak, oczywiście. Nie ma sensu opowiadać mi o nim, bo to nie krewny. Vlad, sprawiasz, że zaczynam żałować, że cię zrekrutowałem. Zabij ich.

Wskazałem na Vlada, a potem na ławkę pod ścianą.

– Chłopcze, usiądź tam i pozwól mi się tym zająć, albo się to dla ciebie źle skończy. Bardzo źle.

Vlad znalazł się między młotem a kowadłem. Przełożyłem go kilka razy przez kolano, zarówno przed jak i po tym, jak został przemieniony. Bał się mnie, niestety czerwony człowiek za nim go przerażał.

– Vlad – odezwał się *oni* – nie będę powtarzał.

Wampir spojrzał na mnie i skoczył przed siebie, odpychając się od dolnego schodka. Obróciłem się, pozwalając mu się minąć, jednocześnie ruszyłem do przodu. Miałem nadzieję, że Bo zareaguje równie szybko, najważniejsze, aby unieszkodliwić *oniego*.

Vlad, gdy przeleciał obok mnie, uderzył w powietrze.

W błysku, ogniu i dymie w dłoni *oniego* pojawiła się nabita gwoździami pałka.

Cholera... jednak teleporter.

To ostania rzecz, o jakiej pomyślałem, zanim ta sama pałka uderzyła mnie w głowę. *Oni* są silne. Zatoczyłem się i upadłem przy jego stopach. Byłem pewny, że uniósł drąg, żeby mnie wykończyć, jednak to, że leżałem, nie oznaczało wcale, że wypadłem z gry. Wyprowadziłem sierpowy Minioną Chwałą prosto w krocze *oniego*. Uderzyłem tak mocno, że aż sam skrzywiłem się, współczując. Cóż poradzę, mam miękkie serce.

Wydał jakiś dźwięk, który pewnie w piekle oznaczał kwilenie. Na plecach poczułem jego pazurastą dłoń. Próbował mnie podnieść, ale oplotłem ramiona wokół jego ud, a potem go ugryzłem.

Co, myślicie, że tylko zwierzęta gryzą? To chyba nie nadajecie się do tej pracy.

Tym razem krzyknął już klasycznie. Przejechał mi pazurami po plecach. Na szczęście Betty Lou również i mi wszyła paski antyektu i kevlarową podszewkę. Pieprzony, japoński demon rozszarpał moją kurtkę Cardharta, ale nie naruszył skóry.

Trzymałem jego prawą nogę. Uniósł ją i wymierzył kolanem w ścianę klatki schodowej. Problem w tym, że znajdowałem pomiędzy tym kolanem i ścianą. Na plecach poczułem kruszony tynk, poczułem również belkę nośną. Puściłem go ogłuszony. Usłyszałem świst kija, a po nim głucho echo uderzenia magicznego metalu o nadnaturalne ciało. *Oni* ponownie zaskomlał.

To mój chłopak.

Usłyszałem i poczułem kroki na wyłożonym dywanem schodach, gdy *oni* biegł przez hol, kierując się do drzwi. Wstałem tak szybko, jak mogłem, jednak biorąc pod uwagę mój kręgosłup, nie tak szybko, jakbym chciał. Z prawej coś mi mignęło – Bo i Vlad.

Mój syn przyparł wysokiego chłopaka do rogu. Musiał sobie jakoś poradzić, nie miałem czasu mu pomóc – hippis/czarodziej wycofywał się na piętro. Nie wyglądał na przestraszonego. Trzeba to zmienić.

Spróbowałem go złapać. Lepiej skopać mu tyłem od razu, a potem zadawać pytania.

Czarodziej – teraz wiem, że to czarodziej, chociaż dalej nie znam jego gustu muzycznego – machnął lewą ręką, wnętrzem dłoni do przodu i nagle ją zatrzymał, jakby uderzył o szybę. Poleciałem do tyłu, na tę samą cholerną ścianę. Ta sama cholerna belka nośna uderzyła mnie w to samo cholerne miejsce na plecach.

Cholera, jak to zabolęło.

Zobaczyłem, jak niewielki gość mknie na górę, jego włosy podążały za nim jak hipisowska kometa.

Ponownie odepchnąłem się do pionu, żeby go dogonić, niestety Vlad zdobył przewagę nad Bo. Powalił go na plecy.

Bólem zajmę się później.

Zeskoczyłem z ostatniego stopnia, tak jak przedtem Vlad. W całości absorbowwała go próba przedarcia się przez wielkie ręce Bo i dostania do szyi chłopaka. Wymierzyłem Minioną Chwałę w nerkę Vlada. Wyprostował się jak nakręcona zabawka, dłońmi złapał się za podstawę pleców. Też byś tak zrobił, gdybym cię tam uderzył, możesz mi wierzyć.

Jego twarz rozdarł grymas bólu zmieszanego z nienawiścią, wampir obrócił się w samą porę, żeby zjeść pięść pełną srebra. Całkiem niezłe uderzenie. Oba kły poszybowały w powietrze, tracąc kontakt z odrzuconą do tyłu głową. Muszę zapamiętać, żeby zrobić zdjęcie komórką, zanim te szczeniaczki odrosną.

Vlad upadł na Bo, bezwładny i nieruchomy jak zdechła świnia.

Plecy bolały mnie jak cholera.

– Synu – odezwałem się. – Zapakuj Vlada. Musimy biec za *onim*.

Ale nie musieliśmy, bo właśnie do nas wracał.

Frontowe drzwi bloku eksplodowały drzazgami i odłamkami szkła. Zobaczyłem srebrny kij Bo pod stopami, złapałem go i przygotowałem do zadania kończącego uderzenia, jednak nie miałem okazji go wykonać.

Oni nie atakował – on uciekał.

Zdażyłem jedynie zobaczyć rozmyty ruch i usłyszeć syk powietrza, zanim zakrwawione ostrze włóczni przebiło się przez otwarte, krzyżące usta. Impet broni porwał *oniego* ze sobą i rzucił półtora metra dalej, na ścianę klatki schodowej, gdzie staliśmy. Ledwo zdażyłem uskoczyć nim grot – nadal wystający z ust – wbił się w ścianę.

Oni zadrżał i zawisł jak marionetka ze zgiętymi kolanami i stopami za sobą. Nie ruszał się. Krew ściekała na podłogę. Demon, człowiek, wampir, wściekły jednorożec, łączy nas jedno – czerwień krwi.

Włócznia? Rzucona w ten sposób? Cholera. Nie zdażyliśmy.

Weszła nonszalancko, niosąc krótki miecz z brązu, długości mojego przedramienia. Miała na sobie czarny, skórzany prochowiec, który pasował do jej przetkanych siwizną czarnych włosów. Zauważyłem, że jeśli ktoś pracujący w naszym zawodzie nosi prochowiec, zwykle okazuje się dupkiem.

Zobaczyła mnie i uśmiechnęła się.

– Hunter? Hunter Hunterson. Co robisz na West Coast?

– Siema, Meg – odpowiedziałem. – Kopę lat.

– Za dużo. – Wskazała głową na Vlada i Bo. Gdy się obracałem w ich stronę, miałem szczerą nadzieję, że Bo zrobił wszystko jak należy, że Vlad jest związany, inaczej kobieta zabije nieszczęsnego dzieciaka. Nie udało mi się ukryć ulgi, gdy zobaczyłem wampira z opuszczoną głową i białą liną oplatającą nadgarstki. Sznur mienił się magią. Vlad był nasz.

– No proszę. Zabiłam pięciopoziomowego *oniego* włócznią z osiemnastu metrów – nie wspomnę, że ruch uliczny nie ułatwiał – a wam udało się złapać uzależnionego od metamfetaminy nastoletniego wampirka. I wygląda, że mieliście pełne ręce roboty.

Nienawidzę tej kobiety. Kiedyś opowiem wam, dlaczego.

– Masz głupi akcent – rzuciłem. Czasem, kiedy się wścieknę, moje trybiki nie pracują zbyt dobrze.

Bo się wyprostował, podniósł Vlada jedną ręką i przerzucił go sobie przez ramię.

Meg rozszerzyła oczy w zdumieniu. Jej uśmiech zmienił się gwałtownie, oznaczał teraz coś zupełnie innego.

– A kim jest ten przystojniak?

– Nazywam się...

– Cicho – rzuciłem. – Nie rozmawiaj z nią synu, nigdy.

Meg udała oburzenie.

– Ah, Hunter. Nadal się na mnie gniewasz?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, do holu weszło jeszcze dwoje ludzi. Mężczyzna i kobieta. Oboje mieli na sobie wełniane kamizelki w kratę i beżowe spodnie. Protektorat Zaświatów nie nosił mundurów, ale z jakiegoś powodu wszyscy przejawiali zamiłowanie do ubierania się jak Ward Cleaver.

Rozpoznałem mężczyznę – Yngve Sjoelset. Mogę przeliterować jego nazwisko, tylko nie proście mnie, do cholery, żebym je wymówił. Nie miałem pojęcia, kim była kobieta.

– Hunter – odezwał się Yngve. – Wszystko w porządku?

– Dzięki mnie tak – wtrąciła się Meg. – Dopadłam *oniego* w ostatniej chwili.

Zacisnąłem zęby i powstrzymałem język. Ta nieznośna kobieta.

– Nic mi nie jest, Ing. Myślałem, że rozdeptujesz w Chicago. Co robisz w San Francisco?

Wskazał na *oniego*.

– Wygląda na to, że San Francisco ma problemy kadrowe. Aktywność wrosła.

– Przez *problemy kadrowe* masz na myśli zjedzonych ludzi, prawda?

Yngve skinął głową.

– Zniknęli. Nie wiemy, kto ich dopadł. – Wskazał głową na Vlada. – Uciekinier na warunkowym?

– Owszem – odpowiedziałem. – Jest ze Slayerville. Zabieramy go ze sobą.

Meg się uśmiechnęła.

– Chętnie cię wyręczę, Hunter. Kiepsko wyglądasz.

Bo pokręcił głową.

– Nie, proszę pani. Poradzimy sobie.

Meg ponownie się nadała, lecz nie potrafiła ukryć uśmiechu w spojrzeniu.

– Szkoda.

Hunter?

Poczułem łaskotanie w mózgu – Betty Lou. Miała najpierw dzwonić. Wyjąłem telefon z kieszeni, spodziewając się tego, co zobaczę. Aha, zmiażdżony w cholerę. Pewnie próbowała, nie mogła się dodzwonić, więc odstawiła to gówno z umysłem.

Boże, jak ja nienawidzę telepatii.

Jestem.

Kochanie! Wszystko w porządku?

Tak. Przyjedź po nas. I wynoś się z mojej głowy.

Łaskotanie ustało.

Podaliśmy Bo jego kij, wymieniając go na Vlada, którego przerzuciłem sobie przez ramię.

– Cóż, Ingi, wracamy do Kentucky. Zakładam, że zajmiecie się sprzątnieniem?

Yngve skinął głową.

– Zanim wyjdziecie, może dałbyś się przekonać do pozostania w San Francisco?

Zaśmiałem się. Tylko przez chwilę, od śmiechu zaboląły mnie plecy. Wiedziałem, że przez następny tydzień będę sikał krwią. Pieprzony *oni*.

– Nie, nie sądzę – odpowiedziałem. – Chcemy jedynie wrócić do domu.

– Mamy mało ludzi. Potrzebujemy Marshalla.

Meg spojrzała na niego, z jej ust zniknął uśmiech.

– A co ze mną?

Yngve popatrzył na nią, zastanowił się, a potem pokręcił głową.

– Nie znam cię za dobrze, Meg. Z tego co wiem, twój... temperament... nie pasuje do tej roboty. W San Francisco potrzebujemy delikatności.

Opadła jej szczęka. Wskazała na mnie.

– I uważasz, że taki wsiok niczym Jed Clampett będzie *delikatny*? W San-pieprzonym-Francisco? Lubisz, jak twoje potwory kwiczą jak świnię przy akompaniamencie banjo?

Yngve uśmiechnął się do niej.

– Przez *delikatny* miałem na myśli kogoś, kto nie zabije wszystkiego, co się rusza. Moim zdaniem lepiej nadajesz się jako najemnik. Poza tym, twoje nazwisko to Marshall. Musielibyśmy cię nazywać *Marshall* Marshall. To głupie, nie uważasz?

Meg gapiła się na niego, a potem skierowała swoje gniewne spojrzenie na mnie.

– Nie wierzę.

Patrzyłem w stronę drzwi.

– Meg, nie martw się tym, zaraz nas tu nie będzie. Yngve, jestem wdzięczny za propozycję, ale czeka nas długa droga, a przez to miasto swędzi mnie tyłek.

– Do stanowiska jest wynagrodzenie.

Zamartem.

– Wynagrodzenie?

– Całkiem spore – dodał. – A biorąc pod uwagę sytuację, również dodatek za trudne warunki.

Pensja. Dodatek. Prawda, zgarniemy nagrodę za Vlada, jednak biorąc pod uwagę nasze rachunki... Opłata za Księcia. Kredyt na dom. Może i Bo nie wybierał się do koledżu, jeszcze nie zdecydował, za to Luke już wymarzył sobie Harvard – nie dawał mnie ani Betty Lou żadnego wyboru. Wiecie, ile kosztuje dzisiaj koledż? Sprawdźcie sobie. A gdy zrobicie – uwierzcie mi, narobicie w gacie.

– Hmm. Może dałbym się skusić, tylko słyszałem, że czynsz w San Francisco jest dość wysoki.

Yngve się rozpromienił.

– Tak jak wspominałem, poprzedniego Marshalla już nie ma. Jego dom stoi pusty.

Oczy Meg zwęziły się tak ciasno, że nie miałem pewności, czy jeszcze coś widzi. Obróciła się i wymaszerowała z budynku.

Yngve zaczął mówić. Słuchaliśmy go uważnie z Bo.

Tak właśnie, czytelniku, wywiesiliśmy swój szyld w Mieście nad Zatoką. Yngve nie żartował – w San Francisco mieli piekielnie wielki paranormalny problem. W Oakland również, a nawet czasem na półwyspie. O winnicy za mostem nie wspomnę. Prawdziwy koszmar, mówię wam.

Wiecie, tak jak w Slayerville, tam też mieszka mnóstwo nadnaturali, którzy sobie nieźle radzą. Ale w tym Mieście coś jest nie tak, tylko nie potrafię dojść do tego, co.

Powiem wam jedną rzecz – nasze warunki mieszkaniowe ogromnie się poprawiły. Nigdy nie sądziłem, że uda mi się zamieszkać w willi, ale zapewniam was, tak się właśnie stało. Każdy dzieciak ma swój pokój. To dobrze dla Sunshine. Jest w takim wieku, w którym dziewczyny potrzebują prywatności.

Betty Lou wścieka się z powodu przeprowadzki. Jest również przeszczęśliwa. W zależności od dnia. Urodziła się w Slayerville, mieszkała tam całe życie. Duże miasto ją przeraża, ale i ekscytuje. Jednak, dopóki jest przy mnie, poradzimy sobie. Wie, że nie możemy zmarnować takiej szansy, żeby odłożyć trochę pieniędzy, żeby stanąć na nogi.

Bo chyba jest wszystko jedno. W jego wieku chłopcy stają się mężczyznami, lubi spędzać czas ze swoim tatą, uczy się tyle, ile zdoła, powoli traktowany jest jak dorosły. To ważny okres w jego życiu. Cieszę się, że nasze relacje są na tyle dobre, że się mnie trzyma. Niektórzy synowie walczą z ojcami jak szaleni w tym wieku i opuszczają dom, żeby wytyczyć własną ścieżkę. Wiem, że Bo też kiedyś to zrobi; do tego czasu będę wdzięczny za każdą minutę, którą mogę z nim spędzić.

A Luke przeciwnie, cholernie się wścieka. Nie przepada za miastami. Trzeba go będzie trochę wyplewić, jeśli nie przestanie kłapać ozorem. Na pewno wyjdzie mu to na dobre. W mieście są cztery koledze. Mam nadzieję, że któryś mu się spodoba. Wspominałem, ile kosztuje Harvard? Sprawdziłem i powiem wam szczerze, że nigdy nie dopiorę tych bokserek.

A Sunshine? Z potworami, demonami i tym podobnymi sobie poradzę. Nastolatka w San Francisco mrozi mi krew w żyłach. W Slayerville wszyscy znali wszystkich. Mogłem jej pilnować.

Tutaj? O Boże, daj mi siłę, abym potrafił dać dziewczynie trochę swobody. Jeśli masz za córkę lolitkę, która rozpala mężczyzn bardziej niż piec hutniczy, to wiesz, o czym mówię. Jednak prędzej czy później muszę zacząć jej ufać. Wiem, staje się kobietą, ale dla mnie nadal jest moją dziewczynką. Nie jestem jeszcze gotów, żeby dorosła.

A co z moim drugim synem? Co z Billym Maciem? Okazuje się, że w dużym mieście da się być takim samym pieprzonym zębem jak w małym. Zajął piwnicę. Siedzi tam w bieliźnie cały dzień, gra na X-boxie i je Twinkies. No co, jeśli chodzi o dzieci, udało mi się troje na czworo, to chyba nieźle.

Trochę nam zajmie przyzwyczajenie się do tego wszystkiego. Damy radę. Jesteśmy razem i tylko to się liczy.

Cieszę się, że doczytaliście to wszystko. Czyli nie piszę jak idiota. Albo, jeśli piszę, też jesteście po części idiotami. Obie wersje mi pasują. Teraz już wiecie, jak skończyliśmy w San Francisco. Muszę wracać do pracy – mam całe miasto do zrozumienia.

Pamiętajcie, bądźcie mili dla wszystkich – nigdy nie wiadomo, kto jest nadnaturalnym. Nie wkurzajcie ich.

A jeśli wasze klejnoty nagle się skurczą bez powodu, mam nadzieję, że zdążycie uciec.

– Hunter –

Uwagi autora do *Huntera Huntersona i synów*

Nawet nie wiecie, ile razy słyszałem: „Hej, Scott, kiedy napiszesz historię o wampirach?”. Może nie tyle, ile proszono mnie, żebym: „uspokoił się, do cholery, albo mnie wyrzuci”, ale jednak.

Zawsze broniłem się przed *genre de jour*⁹. Nie jestem człowiekiem, od którego usłyszysz: „to moja historia o zombie”, a za tydzień: „to moja opowieść steampunkowa”, a za następnie: „to moja powieść romantyczna dla młodzieży”. Piszę, co piszę. Jak na razie udało mi się uniknąć wzlotów i upadków tego co „modne”. Nie lubię zarabiać na cudzych pomysłach. To, a do tego moja wredna miłość do takiej rzeczy jak „nauka” zwykle trzymały mnie z daleka od nadnaturalności – lubię *czytać* historie z realistycznymi, wiarygodnymi środkami, takie też lubię pisać.

Lecz czasem historia wyskoczy i złapie cię za kędziorki. Obejrzałem kilka odcinków *Dog the Bounty Hunter* i natychmiast pomyślałem: „a co, jeśli Dog próbowałby skopać tyłek wilkołakowi, który wyszedł za kaucją i próbowałby zjeść mu tę pieprzoną *twarz!*”. Jak dla mnie program Doga był świetny. Bohater to olbrzymi, muskularny, ostrzyżony na czeskiego piłkarza goś

, który poważnie martwi się o ludzi, których próbuje złapać. Dog z rodziną spróbują ci pomóc, ale też skopią tyłek, jeśli jest to konieczne.

Jak wspominałem, nie wystarczy mi jeden pomysł, żeby powstała historia. Sama idea nadnaturalnego łowcy nagród o miękkim sercu jest boska, lecz kiedy wpadła mi do głowy, od razu złała się z ponadczasowym klasykiem – *The Beverly Hillbillies*. Wyobraźcie sobie Jethro, Jeda i Elly tropiących ujaranego, wykolejonego, demonicznego alfonsa? Cóż, ja potrafię, pewnie dlatego to czytacie.

Do tego pomyślałem, że zrobię to w postaci epizodycznej. Coś jak *Magnum P.I.* (najwspanialszy serial na świecie i prawdopodobnie największe kulturowe osiągnięcie ludzkiej rasy), MMiS przeznaczony jest do konsumpcji w małych dawkach. Każda część ma początek, rozwinięcie, a główna fabuła zamyka się na

końcu. To, tak mi powiedziano, jest kwintesencją, jeśli planujesz syndykację serialu.

Nie, nie podpisałem umowy z telewizją. Jeszcze nie. Ale jeśli słuchacie mojego darmowego, cotygodniowego podcastu na scottsigler.com, to możecie być pewni, że nadciąga dużo więcej odcinków *Huntera Huntersona i synów*.

Scott Sigler

Powieściopisarz, autor takich bestsellerów New York Times jak trylogia „Infected” (*Infected, Contagious, Pandemic*) czy powieści *Ancestor* i *Nocturnal*. Jest współzałożycielem wydawnictwa Empty Set Entertainment, w którym publikuje swoją serię „Galactic Football League” (*The Rookie, The Starter, The All-Pro* i *The MVP*).

Scott, zanim wydano jego książki, zdążył zebrać grono internetowych fanów oddając za darmo w ich ręce nagrany przez siebie audiobook, w postaci podcastu. Jego lojalni fani, nazywający siebie „Junkies”, pobrali do tej pory ponad osiem milionów odcinków jego historii.

Scott zmienił całkowicie sposób wydawania książek, gdy wypuścił *Earthcore* jako pierwszą na świecie powieść wydaną tylko jako podcast. Wydana w 20 odcinkach, *Earthcore* nawiązuje do czasów słuchowisk radiowych. Innowacyjne wykorzystanie technologii przez Siglera stawia go w czołówce nowoczesnego podejścia do wydawania i umożliwiło mu stanie się marką samą w sobie wśród setek tysięcy fanów fantastyki i miłośników techniki.

Znalazł się na okładkach Time Magazine, Washington Post, New York Times, San Francisco Chronicle, Entertainment Weekly, Publisher's Weekly, Huffington Post, Business Week i Fangoria. Wciąż nagrywa swoje audiobooki i rozdaje każdą historię – za darmo – dla swoich Junkies na www.ScottSigler.com.

Scott pochodzi z rodzimego Michigan, mieszka w San Francisco ale dalej kibicuje swoim ukochanym Detroit Lions.





Tytuł oryginału:
BLOOD IS RED

Copyright © 2011 by Scott Sigler

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo GMORK Świątkowska Ryba sp.j.
Wrocław 2018

Copyright © for the Polish translation by Przemysław Ryba, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All Rights Reserved.

Korekta i redakcja:

DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Skład:

DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

(ebook) PRZEMYSŁAW RYBA

Projekt okładki:

PRZEMYSŁAW RYBA

Wydanie I

Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba Sp.j.

ul. Domeyki 16, 53-209 Wrocław

tel: 795 626 546

www.gmork.pl

wydawnictwo@gmork.pl

ISBN (ebook): 978-83-951333-2-9

Przypisy

- [1.](#) Do roku 2011 (przyp. red.)
- [2.](#) Powszechnie przyjęta przez fanów Siglera nazwa, nawiązująca do uzależnienia od podcastu i oczekiwania na kolejny odcinek (działkę).
- [3.](#) Autorem *Dog Named Wolf* jest Erik Munsterhjelm (przyp. tł.)
- [4.](#) Bekas (ang. *snipe*), gatunek ptaka wędrownego. Polowanie na snipa (ang. *Snipe Hunt*) jest rodzajem żartu, który pochodzi z 1840 roku z Ameryki Północnej, w którym osoba namawiana jest do próby schwytania nieistniejącego zwierzęcia zwanego snipem.
- [5.](#) Zawodnik grający w drugiej linii obrony w futbolu amerykańskim.
- [6.](#) Opiekun akademika.
- [7.](#) Drugie wydanie *EarthCore* ukazało się w 2017 (przyp. red.)
- [8.](#) Gra słów: cool – chłodny i Kool – nazwisko wynalazcy skafandra chłodzącego (przyp. tł.)
- [9.](#) Gatunek dnia (fr.)

KONTYNUACJA BESTSELLEROWEJ **INFEKCJI**

SCOTT SIGLER
ZAKAŻENIE

